

MAY GRETHE LERUM

GRZECHY OJCÓW

Cykl Córy Życia 31

Z norweskiego przełożyła ANNA MARCINIAKÓWNA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Lyster, 7 nocy przed świętym Szymonem 1764

Stała całkiem spokojnie i śledziła spłoszonego ptaka. Tyleż własnymi oczyma, co i jego, dostrzegła to, o czym już i tak wiedziała. W niebieskawym cieniu pod jarzębinami krył się Arill i był tak samo przestraszony jak ona.

Reina nappełniła obolałe płuca czystym, rześkim jesiennym powietrzem. Noc była chłodna i przezroczysta niczym okienna szyba. Dziewczyna spostrzegła, że młody mężczyzna z wahaniem wysuwa najpierw jedną nogę, staje, potem podnosi drugą. Szedł ku niej. Widocznie podążał jej śladem. Dziwiła się, jak to możliwe, że go wcześniej nie zauważyła. Biegła jednak do domu, bo martwiła się o matkę, a jej niepokój był jak najbardziej uzasadniony: Johanna znalazła się ponownie w absolutnej władzy zadawnionej nienawiści.

Reina złapała się na tym, że z przymkniętymi oczyma studiuje zbliżającego się mężczyznę. Otaczała go połyskliwa, błękitna aura, przerywana gdzieniegdzie czerwonioliliowymi płomieniami strachu.

To ona pierwsza musiała się odezwać, czuła, że on się na to nie odważy. Długo stała i wpatrywała się w jego czarne oczodoły. Noc wokół była wciąż taka ciemna, że tylko blask wilgotnych gałek ocznych wskazywał, że mimo wszystko w tej mrocznej masce tli się życie.

- Arill Storlendet... powinnam ci podziękować za towarzystwo, choć o nie nie prosiłam.

Mimo że słowa były dość ostre, starała się mówić tonem łagodnym i pojednawczym.

On przełknął ślinę tak głośno, że to usłyszała. Uśmiechnęła się

leciutko sama do siebie.

- Nie mogłeś wybrać gorszej godziny - mruknęła cicho. Po czym zrobiła ostatni krok i w ciemnościach złapała go za rękę. - Arill, chcę być twoją przyjaciółką. Jeśli się odważysz, razem podejmiemy tę walkę.

Zaśmiał się krótko.

- Walkę? W Storlendet odbywa się właśnie wesele, w żyłach panny młodej płynie krew twego rodu.

Reina skinęła głową.

- Mojego. Ale nie mojej matki. To po ojcu... Arill nie cofnął swojej ręki. Ciężka i zimna, jakby martwa, spoczywała w dłoni Reiny.

- Czy mimo wszystko chcesz być moim przyjacielem? Zróbmy nareszcie koniec z tym całym zadawnionym złem. My dwoje, my jesteśmy jedynymi, którzy mogliby tego dokonać. Poza tym wiem, że mój dziadek będzie nas wspierał. Helena również, i dziewczęta...

Arill odwrócił głowę. Czyżby się bał? Reina spojrzała w dół. Dostrzegła w ciemności rękę. Jej dłoń była biała, nieduża, ale trzymała mocno jego, silną.

- Reina, ja... Zdawało jej się, że wyczuwa drżenie serca Arilla. Czy on się aż tak boi?

To dlaczego za nią szedł?

Czyżby wbrew wszystkim jej szalonym fantazjom zamierzał zrobić jej krzywdę?

Puściła go, odskoczyła w tył. Otuliła się mocno krótkim żakietem, skrzyżowała ręce na piersi.

- Co się właściwie z tobą dzieje? Czyś ty całkiem zaniemówił? Arill drgnął, kiedy znowu zbliżył się do niej, wyglądał jak lunatyk.

- Reina, ja... ja nie mogę mówić. Ja... dzieją się ze mną takie dziwne rzeczy. Czuję się tak, jakbym był fiordem akurat w momencie, gdy lody puszczają.

Jego słowa nie były ani bezradne, ani słabe, wyrażały dokładnie to, co czuł. Mimo wszystko musiała się uśmiechnąć. Uważała, że to bardzo ładnie powiedziane.

- Wiesz, Arill, ja cię znakomicie rozumiem, wiem, co chciałeś przekazać. A ja jestem jak ta niesiona woda z lodowca, która sprawia, że fiord staje się coraz zimniejszy!

Mężczyzna milczał. Wiedziała jednak, że zrozumiał. Dziwne słowa, dziwne myśli. Dziwna kobieta, tak pewno sądził.

Para z oddechu Arilla unosiła się między nimi niczym szarobiałym dym. W powietrzu wyczuwało się mróz. Jutro rano pola będą się pewnie mienić diamentami, już teraz Reina czuła, że ziemia robi się twarda.

- Czy chciałabyś wrócić do Storlendet i zobaczyć, jak poprowadzą Ingalill do małżeńskiego łóżka?

Wolno skinęła głową. W domu prawdopodobnie i tak nie ma dla niej teraz spokojnego miejsca.

Pierwsza weselna noc będzie z pewnością bardzo długa, często zdarza się, że młodą parę prowadzą do małżeńskiego łóżka dopiero przed wschodem słońca. A potem uroczystości są kontynuowane, z mnóstwem jedzenia i picia, z tańcami co najmniej przez trzy dni z rzędu. Dzisiaj rozpoczynają się dla nowożeńców tak zwane Tobiaszowe noce. Ostatniego wieczoru stanie przed nimi cała służba, a młodzi goście będą sobie wróżyć, kto pójdzie do ołtarza jako następny. W najbliższą niedzielę młoda para stanie w kościele po raz pierwszy jako mąż i żona. I wtedy

ostatecznie skończy się dla Ingalill dawne życie.

Reina starała się dotrzymać Arillowi kroku. Szli w milczeniu, jedno obok drugiego, wracali tą samą drogą, którą ona niedawno biegła w stronę domu. Dopiero kiedy zbliżyli się do Storlendet i usłyszeli radosne okrzyki weselnych gości, Reina zwolniła i szła teraz w pewnej odległości za Arillem.

On się odwrócił.

- Nie chcesz? Zdaje mi się, że przyszliśmy akurat na czas, by zobaczyć ich w łożu. Sądzę, że ktoś powinien przypomnieć mojemu wujowi, Gjertowi, żeby na dzisiejszą noc włożył spodnie pod poduszkę!

Reina uśmiechnęła się. Tak, chociaż nie wiadomo, czy w tym przypadku to pomoże. Ingalill mimo swego młodego wieku należy do kobiet, które chętnie podejmą z mężem walkę o to, kto ma rządzić w domu.

Arill czekał.

Śmiechy unosiły się w powietrzu, Storlendet tonęło w blasku poranka oraz w świetle pochodni i lamp wciąż płonących i na zewnątrz, i za świeżo wmytymi oknami. Konie rżały niecierpliwie, gdzieś w oddali wściekle ujadał pies.

- Ja nigdy nie wyjdę za mąż - powiedziała Reina cicho. Wtedy on położył jej ostrożnie rękę na ramieniu.

- Oczywiście, że wyjdiesz - rzekł po prostu. Spojrzała w górę. Dniało już wyraźnie i nierówności na jego twarzy rzucały dziwne cienie. Nie był piękny. Zauważyła też, że nie zwracał ku niej mniej zeszpeconej części twarzy.

- Reina... gdybyś ty wiedziała... Wolno skinęła głową.

- Myślę, że wiem - westchnęła. - Nie wiem tylko, czy wierzę... W sypialni młodej pary kobiety zdjęły już kapelusz i żakiet z Ingalill, teraz czesały jej długie, rude włosy. Śmiały się przy tym i żartowały, pokpiwały z wieku pana młodego: liczył sobie z pewnością więcej lat niż ich mężowie i dlatego miały prawo powątpiewać w jego możliwości. Ingalill jednak uśmiechała się łobuzersko i zdawała się ani trochę nie przestraszona tym, co może się stać podczas ich pierwszej Tobiaszowej nocy.

- Nie zaszkodziłoby, gdyby panienka położyła miecz w łożu i spędziła tę noc na modlitwie - mruknęła stara Jensina. - Nie, Bóg mi świadkiem, że to by nie zaszkodziło... Ja sama wyszłam za mojego Ole, kiedy miałam dwadzieścia pięć lat, a jednak spłynęło na nas błogosławieństwo.

Ingalill pozwoliła, by powiesiły piękny żakiet i ślubną suknię na wieszaku. Srebrne ozdoby sama z siebie pozdejmowała i włożyła do otwartej szkatułki stojącej przy łóżku.

Rozpalono ogień na starym palenisku w pomieszczeniu, które niegdyś było izbą Storlendet. Teraz będzie to sypialnia gospodarzy. Odmalowano starannie na niebiesko i czerwono zarówno ściany, jak i sufit, a nad małym stolikiem w rogu zawieszono piękny żyrandol z miejscem na sześć woskowych świec.

Narzuta na łóżko była prezentem od matki Ingalill. Z pewnością sama ją przygotowała, bardzo piękna robota, małe kawałeczki materiału połączone ze sobą delikatną włóczką. Porcelanowa umywalka została przysłana aż z Bergen, to również prezent, Ingalill nie pamiętała od kogo. Przesyłki przychodziły z całej parafii, większość zawierała nie tylko

jedzenie i napitki na wesele. Ingalill cieszyła się, że jutro będzie mogła dokładniej obejrzeć te wszystkie piękne rzeczy.

Mężczyźni stali za drzwiami i przytupywali, druzbowie równie otwarcie jak kobiety w pokoju panny młodej głośno dyskutowali przewidywane wydarzenia dzisiejszej nocy.

- Hej, Gjert, musisz mocno chwycić ją za kark, jeśli jest równie dzika jak większość rudowłosych. Ale uważaj! Ta panna młoda ma ostre pazurki!

Ingalill znowu się uśmiechnęła i starannie złożyła haftowaną suknię. Koszula wisiała gotowa na wieszaku, biała niczym śnieg, bardziej miękka niż skóra noworodka. Włożyła koszulę przez głowę. Nie krępowała się tym, że starsze kobiety jej się przyglądają, gdy przez chwilę stała naga, pozwalając im podziwiać swoje pięknie zbudowane, alabastrowe ciało. Przenikało ją przyjemne drżenie.

Wsunęła się pod kołdrę, na ogrzane poduszki, i czekała, aż kobiety ułożą pięknie narzutę. Poprawiały jej rozpuszczone włosy, wygładzały jakieś zmarszczki na koszuli.

- No, teraz jest gotowa - westchnęła Helena. Na moment odwróciła twarz, po czym orszak mężczyzn został wpuszczony do środka, na czele szedł pan młody, a tuż za nim podążał Bendik.

Po licznych toastach i życzeniach Ida i Helena wyprosiły druzbów.

Jak na dany znak w całym obejściu weselnym zaległa cisza. Dzień jeszcze się nie rozpoczął.

Helena odnalazła swojego męża w dużej izbie, siedział przy stole pełnym brudnych talerzy i kufli. Teraz, kiedy blask wczesnego poranka rozjaśniał okna, opuszczona izba weselna wyglądała okropnie. Wszędzie

pełno brudnych naczyń, podłoga zdeptana i zasypana śmieciami. Jakiś mężczyzna zasnął w kącie koło beczki. Czerwona czapka muzykanta wisiała na żyrandolu. W izbie unosił się ostry zapach potu, dymu i nieświeżego jedzenia.

Bendik ujął zieloną szklaną butelkę i przyłożył ją sobie do warg.

- Na zdrowie, moja kochana. Twoja córka dotarła do portu. Helena usiadła obok niego na ławie. Delikatnie oparła głowę na twardym ramieniu męża.

- Daj Boże, żeby tak było - westchnęła.

- Ingalill sama wybrała własną drogę. Nie jest to najgorszy mąż, jakiego rodzice mogliby oglądać.

- Może i nie. Nie, chyba masz rację. Bendik ciężko kiwał głową. Pociągnął jeszcze jeden łyk. Od rana ledwie spróbował smakowitego piwa, mało co też jadł tego pierwszego weselnego dnia.

- Chodź, położymy się - rzekła Helena. Bendik spojrzał jej głęboko w oczy.

Taka jest spokojna. Może nie specjalnie zadowolona, ale spokojna i widać, że bezpieczna. On sam także popierał wybór Ingalill, musiał z tego powodu stoczyć poważną walkę z Johanną. Ale z pewnością i Johanna ustąpi, trzeba tylko trochę poczekać. Początkowo było bardzo trudno. Warto jednak przez to przejść, jeśli tylko to małżeństwo okaże się błogosławieństwem również dla jego upartej dziewczyny, jak nazywał swoją córkę.

Helena wstała.

- Noc się skończyła. Nie jestem zmęczona. Może powinniśmy pomóc przy sprzątanii i obrządku...

Bendik odstawił butelkę na stół. Była teraz pusta. Popatrzył łobuzersko na swoją żonę.

- O, nie, moja kochana. To jest wielka noc dla starych dziadów. Ja też chcę uczestniczyć w radości! I w dodatku szczęście się do mnie uśmiechnęło, bo trafiła mi się taka żona, jakiej nie ma nikt!

Musiała się roześmiać. Przytulił ją, łaskotał pod pachami, potem mocno objął w talii i ucałował w kark. Ona położyła mu ręce na piersi, czuła, że jest gorący pod chłodnym lnianym płótnem, które sama bieliła na jego koszule.

- Tak cię kocham - szepnęła. - Każdego dnia myślę, jaką łaskę los mi okazał, że mam ciebie... i dzieci.

On mamrotał coś w jej włosy, ręce niespokojnie błądziły po ciele żony. Jeden kciuk dotknął jej piersi, brodawka naprężyła się pod ciasno zasnurowanym stanikiem. Przytuleni weszli po stromych schodach do pokoju, który im przydzielono. Nie było tam pieca ani paleniska, ale na dole znajdowała się kuchnia, w której od dwóch tygodni nieustannie płonął ogień. Ciepło tkwiło w grubych, nagich belkach aż po sufit. Na podłodze leżała stara niedźwiedzia skóra. Dwa wąskie łóżka pod ścianami stały nietknięte, kiedy oni zapadli w sen. Słyszeli jeszcze, że służące pogrękują wiadrami i wychodzą do dojenia.

- Jak pięknie - wymamrotał z twarzą na pół odwróconą w stronę płonących świec. Ingalill sama rozwiązała jedwabne wstążki, które utrzymywały koszulę ciasno pod brodą. Teraz opadły na delikatne koronki i zaszewki, przy każdym jej ruchu materiał zsuwał się coraz bardziej z ramion.

Kiedy wszyscy ludzie nareszcie ich opuścili, siedziała w łóżku

bardzo spokojna. On stał pośrodku pokoju, zdjął tylko surdut i drżącą ręką uniósł do ust srebrne naczynko w kształcie rogu. Ingalill uśmiechnęła się i poklepała posłanie obok siebie.

Usiadł z wdzięcznością, oczy miał rozbiegane, wciąż jednak jej się przyglądał.

- Jesteś po prostu wspaniała, podobna do anioła w tej białej koszuli. Nie mogę cię dotknąć, jesteś święta, tak, jesteś aniołem - mówił, z trudem łapiąc powietrze.

Ingalill zachichotała.

- Głupstwa! Znam dobrze sama siebie. Nie jestem aniołem. Jestem żywym człowiekiem z krwi i kości! No, chodź no tutaj i sprawdź. Jesteśmy małżeństwem! - mrugnęła do niego.

Nieśmiały uśmiech pojawił się na jego wargach.

Przysunął się bliżej żony, srebrne naczynie postawił na kołdrze. Rozchodził się z niego smakowity zapach słodkiej, mocnej wódki, którą Gjert dostał w prezencie od swojego drużby, Ingvara. Wódkę zrobiono na kawowych ziarnach i pomarańczowej skórce, osłodzono wielką ilością białego cukru. Drambuie, tak się to nazywa, widocznie na cześć jakiegoś angielskiego księcia.

- Chodź...

Odsunęła kołdrę na bok, on zagryzał wargi, policzki mu płonęły. Pośpiesznie zerwał z siebie kamizelkę, zrzucił wysokie buty, ściągnął koszulę. Spodnie jednak wciąż miał na sobie, kiedy wślizgiwał się w ciepłe łóżko do ślubnej małżonki.

Ona pociągnęła mały łyk ze srebrnego naczynka, chciała, żeby czuł w jej oddechu słodycz i gorąco. Przytuliła policzek do jego twarzy.

Szeptala cicho:

- To dopiero początek, Gjert. Początek czegoś, co będzie bardzo ważne dla nas obojga.

On odpowiedział ochryłym głosem:

- Dziękuję ci. Dziękuję po tysiącokroć, że mi to dajesz. Ledwo mogę uwierzyć, że to prawda... że to ja mam taką piękną i mądrą narzeczoną. I niezwykłą, absolutnie niezwykłą...

Ucałowała jego otwarte usta.

- Taka kobieta jak ja nie może szukać wśród zwyczajnych mężczyzn. Z pewnością to rozumiesz, Gjert. Ja musiałam szukać w moich widzeniach. I ty tam byłeś.

Gjert uśmiechnął się, dumny. Ona położyła rękę na jego nagiej piersi.

- Oooch... tam byłem ja! Przenikało go szczęście, ogarniało go całego, burzyło krew. Dotyk jej nagiego ciała pod cieniutką, bawełnianą koszulą oszałamiał go sto razy bardziej niż niezwykły, mocny napitek.

Ingalill usiadła na pościeli, pozwoliła mu się rozebrać, piersi były młode i jędrne, musiał pociągnąć porządnie, żeby koszula zsunęła się w dół i odsłoniła brązoworóżowe brodawki. Gjert jęknął. Ingalill uśmiechnęła się.

Jak młody chłopak przywarł do jej miękkiej skóry, drżącymi rękami starał się zagarnąć całe piękno, smakował jej rozkoszną młodość wargami wyschłymi tak, jakby za chwilę miały popękać.

Ingalill wyciągnęła się, on poszedł jej śladem, wciąż jeszcze w spodniach mocno ściągniętych solidnym skórzanym pasem.

Sprzączka uwierała ją w biodro, odsunęła go więc trochę w bok i rozpięła pas, nie przestając patrzeć mu w oczy. Znowu jęknął. Musiał

chwycić się oparcia łóżka ponad jej głową.

Ingalill zostawiła swoją koszulę zwiniętą w talii, piękne zaszewki rozdarły się, kiedy mąż rzucił się na nią tak gwałtownie.

Dyszał niczym pies. Kiedy spodnie zostały nareszcie ściągnięte, jednym skokiem znalazł się nad nią.

- Spokojnie, mój kochany. Nie chcemy chyba, aby coś stało się zbyt szybko?

Szturchnęła go łagodnie w pierś, mocno zacisnęła uda. Zawstydzony opadł przy niej na posłaniu. Ona ujęła go pod brodę i zmusiła, by spojrzeć jej w oczy.

- Czy mam zgasić świece, mój kochany? Nie musimy też otwierać okiennic.

Skinął pośpiesznie, z wdzięcznością. Nie zrobiło się jednak w pokoju ciemno, kiedy stanęła naga przy łóżku, zdmuchnąwszy ostatnią woskową świecę. Przez szparę w ciężkich zasłonach wdzierało się trochę szaroniebieskawego światła, wkrótce pojawią się ostre promienie słońca. Ingalill czuła chłodny powiew od strony okna, pod jego wpływem brodawki jej piersi się napinały. Powoli zgięła plecy i znalazła to, czego szukała w kieszeni swojego ślubnego zakietu.

On nadal leżał wyprostowany, okrył jednak całe ciało cienkim prześcieradłem. Nie był piękny ten jej mąż. Będzie musiała się postarać, by wyrównał jej to w inny sposób.

Powoli obeszła łóżko dookoła, wiedziała, że jego znowu ogarnia szaleństwo. Stanęła tuż przy nim, jedną dłoń oparła na biodrze i kołysała się lekko. Włosy opadły i ukryły teraz piersi, ale ów tajemniczy ciemny trójkąt między jej nogami nie pozwalał Gjertowi odwrócić oczu.

- Bądź dla mnie dobry - poprosiła cicho i ścisnęła mały pęcherzyk ze świńską krwią, który ukryła w dłoni.

Ledwie Reina zdążyła zasnąć, na wieżyczce w Storlendet rozległ się dźwięk dzwonu. Dzień był jasny i rześki, osiki rosnące za płotem stały rozplomienione, jakby walczyły o lepsze z ostrą, złotą barwą pokoju, w którym dziewczyna spała. Najpiękniejsze pomieszczenie gościnne we dworze przygotowano dla siostry panny młodej i jej matki. Reina serdecznie podziękowała Idzie, nigdy jednak nie myślała, że będzie tam spać. Oddano jej też najładniejszą w domu pościel, a także dużą toaletkę z lustrem. Pokój był bardzo ładny. Reina ledwo dostrzegła kunsztowne ornamenty pod belkami. Co się właściwie stało?

Z zamkniętymi oczyma raz po raz próbowała jakoś uporządkować swoje myśli. Matka była uparta i zagniewana. Nie chciała rozmawiać. Jakie to słowa padły? Czy groziła, że odeśle stąd Reinę, jeśli ta nie zechce dzielić nienawiści matki? Czy przeklęła to małżeństwo, czy też to tylko jej duma, która jeszcze nie pozwala jej podnieść się po burzy?

No i Arill. Szedł za nią. Wiedziała, czego chciał. On także wiedział. Nie mówili wiele. Niewiele się też stało.

Skąd w takim razie ta pewność?

Nigdy przedtem o tym nie myślała, dlaczego więc obudziła się tutaj, w Storlendet, tego ranka ze świadomością, że to, co się stało, przeczuwała od dawna? Ze to nie jest dla niej żadna nowina.

Leżała bez ruchu w ciepłej pościeli i wsłuchiwała się w dochodzące z zewnątrz odgłosy.

To coś całkiem niezwykłego.

Jakby rzeczywistość i sen zamieniły się miejscami. Jakby ona

właśnie teraz otrząsnęła się z gniewu Johanny i swojej własnej obojętności. Prawdą jedynie jest to, że Arill Storlendet i ona zawsze należeli do siebie.

Wtedy, kiedy jako małe dzieci bawili się po kryjomu razem.

Wtedy, kiedy on pomógł jej zejść z płotu.

Wtedy, kiedy nie chciał wbić noża w jej pierś, by uciszyć ból po odejściu ojca.

Wtedy, kiedy walczył podczas wieczoru świętojańskiego, a ona nie miała odwagi rzucić mu swojej chustki...

Reina złożyła ręce pod kołdrą.

- Pomóż mi, tato - szeptała. - Powiedz mi, co mam o tym wszystkim sądzić. To takie dziwne, tato, dokładnie takie, jak mówiłeś, że będzie. W końcu świat staje się niezwykłym snem. Już nie wiem sama, co w tym całym zamieszaniu jest prawdą.

Westchnęła. Pamiętała słowa ojca, że zawsze gdzieś, w największej nawet zawierusze, istnieje pieśń czysta i prawdziwa. I że w tę pieśń powinna się wsłuchiwać.

Długo chodziła, nadstawiając uszu, i myślała, że to naprawdę chodzi o pieśń. Wsłuchiwała się z uwagą w kościele, kiedy śpiewano psalmy, i na weselu, kiedy muzykant prezentował nową piosenkę.

Dopiero teraz zrozumiała, co ojciec miał na myśli.

To rzeczywiście pieśń. Stara, dobrze znana pieśń, którą zawsze słyszała. Była tutaj przez cały czas i prawdopodobnie dlatego Reina nie zwracała na nią uwagi. Pochodziła z jej serca.

Była nią.

Reina leżała w ten późny październikowy poranek i nuciła niepewnie

sama dla siebie. Do tej melodii nie istnieją żadne słowa. Przypominała sobie jeden ton po drugim, w jej głowie powstawały obrazy.

Ale słów ta pieśń nigdy nie miała.

Reina umilkła.

Wciąż trzymała ręce złożone na piersi. Nagle poczuła, że są bardzo gorące.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nikt nie miał odwagi zatrzymać Johanny z Vildegard, kiedy zeskoczyła z konia i ruszyła prosto w stronę otwartych głównych drzwi. Nie patrzyła ani w prawo, ani w lewo, głośno wzywała Gjerta po imieniu.

Oszołomiony gospodarz wyszedł na schody w źle pozapinanej koszuli i z włosami poczochronymi niczym przewiany wiatrem wróbel: co się to dzieje?

- Przyszłam, żeby zabrać moją córkę - oznajmiła Johanna. - Niech ci się nie wydaje, że przychodzę z jakiegokolwiek innego powodu, ty stara świniu!

Gjert, nie mówiąc ani słowa, mrugał, przecierał oczy, jakby nie dość dokładnie widział tę zdecydowaną kobietę. Połowa parafii lękała się Johanny z Vildegard. Dobrze rozumiał, dlaczego. Teraz stała pośrodku jego własnej izby, a służące uciekły przestraszone do kuchni, gdy tylko ją zobaczyły. Miała na sobie obcisły, zielony kostium z czarnymi jedwabnymi wstążkami. Spódnica długa i szeroka z tyłu, jak nakazywała współczesna moda w wielkim świecie, tak się przynajmniej domyślał. Miała też kapelusz, nieduży, z wąskim rondem, zawiązany pod brodą na takie same czarne wstążki jak przy żakiecie. Johanna uniosła głowę. Warknęła:

- Sprowadź ją natychmiast! Wiem, że ona tutaj jest! Ingalill wyszła za swoim świeżo poślubionym małżonkiem, ale słyszała głos Johanny już wcześniej, zdążyła więc starannie zasznurować stanik i włożyć swój piękny nowy żakiet. Nie uczesane włosy wsunęła pod czepek mężatki. W lustrze dostrzegła, że wygląda dorośle i władczo. Czas warkoczy minął! Teraz jest panią domu.

Spokojnym krokiem weszła do izby, gdzie przekleństwa Johanny niczym grad leciały na głowę Gjerta. W dalszym ciągu jest taka niepokodzona? W takim razie zarówno Bendik, jak i Helena popełnili paskudny błąd.

Słuchała, dopóki Johanna sama nie przerwała swojej tyrady:

- No, sprowadźcie ją! W przeciwnym razie przeschukam cały dwór! Ingalill zawołała Idę. Drobną kobiecina ukazała się w drzwiach kuchennych.

- Słucham, pani gospodyni...? Wzmocniona tym pełnym szacunku tytułem, Ingalill wycelowała palec w Johannę.

- Wyprowadź tę kobietę, zaraz. Może poczekać na podwórzu. I poproś służące, żeby obudziły Reinę. O ile wiem, spała w Złotej Izbie.

Gjert gapił się na nią z otwartymi ustami. Po jego wargach błąkał się leciutki uśmiech.

Jeżeli ktoś sądził, że on wziął sobie za żonę biedną dziewczynę, to powinien teraz zobaczyć Ingalill! Jaka władcza i pełna godności! Jaka czysta i jasna! Przełknął kluskę, która uwierała go w gardle. Ogarnęła go duma niemal tak samo silna i oszłamiająca, jak pożądanie, które wzbudziła w nim ostatniej nocy. Czuł, że policzki płoną mu niczym młodzieńcowi.

- Twoja córka była zawsze u nas mile widziana i nadal tak będzie. Jeśli potrafisz zmusić ją, by okazała nam taką samą nieuprzejmość, jaką ty dopiero co zademonstrowałaś, to będziesz musiała to wziąć na swoje sumienie. Ona jednak jest siostrą mojej ukochanej małżonki i będziemy ją wspierać we wszystkim, jak przystało na bliskich krewnych!

Wtedy Johanna podeszła bardzo blisko niego.

Jej oczy wpatrywały się weń natrętnie, jakby chciały pociągnąć go za sobą w wielką, mroczną głębię. Przemawiała teraz do niego cicho:

- Gjercie ze Storlandet... powiem ci jedną rzecz: moja córka nigdy, ale to nigdy, nie zostanie obrażona ani przez ciebie, ani przez nikogo, kto jest do ciebie podobny. Ten dwór to miejsce przeklęte. Dowiesz się o tym jeszcze. Możesz się tylko modlić i mieć nadzieję, Gjert, że nikt z tych, których kochasz, nigdy nie stanie między mną a moją córką. Bo wtedy będziesz zgubiony. Tak samo zgubiony jak moja babka, kiedy znalazła się na linii strzału twojego brata.

Odwróciła się na pięcie i wyszła na dwór. Ida zakryła usta dłonią, cicho mamrotała jakąś modlitwę. Ingalill uśmiechała się.

- To naprawdę ktoś, ta Johanna! Ale w końcu będzie musiała się poddać. W przeciwnym razie zostanie w Vildegard całkiem sama! Chodź, Ida, pójdziemy do Reiny. Chciałabym z nią porozmawiać. Muszę jej też podziękować za prezenty!

Gjert wciąż stał i bezradny spoglądał na Idę. Ta wytarła ręce o fartuch. Potem wyjęła z kieszeni pęk kluczy na metalowym kółku i podała mu.

- Nie mówiłeś mi o tym, gospodarzu. Ja jednak wiem, że twoja żona o tym nie zapomniała. Daj jej te klucze dzisiaj. Obyczaj tak nakazuje...

Drobna kobieta miała smutną minę.

Gjert lubił Idę od pierwszej chwili. Pocieszali się nawzajem od czasu do czasu w mroźne zimowe noce. Ale to było dawno temu. Teraz Ida jest stara.

Ma siwe włosy i zgarbione plecy. Kiedy Arill dorósł, ona z każdym rokiem jakby się trochę cofała. Teraz była właściwie niczym cień,

czuwający nad dworem, kierowała prowadzeniem domu, miała baczenie na wszystko. Przeważnie jednak siedziała w swoim małym pokoiku na strychu, choć nie wiedział, co tam robi. Może haftowała. Może przędła. W jej izdebce był kołowrotek. Miała też duży koszyk pełen kłębków cienkiej włóczki.

Patrzył na Idę, kiedy w ślad za Ingalill przechodziła przez izbę.

Właściwie nie była już teraz potrzebna. Jej praca powinna zostać wynagrodzona, może chciałyby mieć własny nieduży domek. Będzie musiał wkrótce porozmawiać o tym z Ingalill, wszyscy bowiem wiedzą, że w domu tylko jedna kobieta powinna nosić klucze u pasa.

Reina słyszała kroki i miała nadzieję, że nie dotyczą jej. Tak miło było leżeć, odpoczywać i rozmyślać o nowej sytuacji.

Kroki jednak zatrzymały się tuż przed jej drzwiami, zaraz też rozległo się pukanie. Głos Ingalill brzmiał lekko i wesoło:

- Reina! Nie śpisz? Dzień już późny, musisz wstawać! Poza tym ktoś chciałby z tobą pomówić.

Zawołała, żeby weszły, ale sama wsunęła się głęboko pod kołdrę.

Twarz Ingalill płonęła. Młoda kobieta miała na głowie czarny czepek, ale nieposłuszne loki wysunęły się spod niego i wyglądały przy policzkach niczym wypolerowana miedź. Usta były czerwone i obrzmiałe.

Rzuciła się poufale na łóżko Reiny z taką siłą, że aż zatrzeszczało.

- Cóż za cudowny dzień! Jestem mężatką i bardzo mi się to podoba! Reina, myślę, że taka szczęśliwa nigdy jeszcze nie byłam!

Reina uśmiechnęła się przyjaźnie.

- To wspaniale... ja też jestem dzisiaj rada. Wszystko jest takie... proste... Ingalill nie zwróciła uwagi na jej rozmarzone, jakby nieobecne

spojrzenie. Ujęła obie ręce Reiny.

- Muszę ci coś powiedzieć. Twoja matka jest tutaj... Reina podskoczyła.

- Co? Tutaj? O mój Boże... to wspaniale! Ingalill powstrzymała ją.

- Nie, nie, to nie tak, jak myślisz. Jest tak samo zagniewana jak dawniej. Co najmniej tak samo! Groziła Gjertowi, że go zabije pośrodku jego własnej izby... naszej! I nie chce odejść, dopóki ty z nią nie pójdziesz. Jest wściekła niczym żmija, mam jednak nadzieję, że jakoś to zniesiesz.

Reina ciężko skinęła głową.

- Tak. Chyba jakoś to zniosę. Ingalill stuknęła ją w plecy.

- Nie dawaj się, siostrze! Wiem, że nie było ci łatwo mieszkać z matką teraz, kiedy zrobiła się taka uparta. Ale moja mama jest po naszej stronie. I twój dziadek. Wszyscy inni też, tak myślę! Ludzie gadają, Reina. Prędzej czy później twoja matka będzie musiała to zrozumieć. Ona jest całkiem, ale to całkiem sama! Nikt nie uważa za niezbędne tkwić przy takim starym uparciuchu.

Reina znowu wolno skinęła głową.

Ubierała się spokojnie, ale nie mogła zebrać myśli. Wkrótce pełne zapału zapewnienia Ingalill o pomocy umilkły, jakby zawisły bezradnie w powietrzu, Reina nie miała się czego przytrzymać.

Ida stała w drzwiach, bez słowa przepuściła dziewczynę.

- W końcu jesteś. Włożyłaś szarą sukienkę, to dobrze. Siadaj na konia! Johanna zacisnęła zęby z uporem i dosiadła konia. Reina nigdy przedtem nie widziała, żeby matka wsiadała z taką pewnością, bez niczyjej pomocy.

Lejce drugiego konia zostały rzucone jej. Instynktownie je złapała.

Klacz była niespokojna. Wierzchowiec Johanny wznosił się przed nimi niczym góra.

- Mamo, ja...

- Wsiadaj! Nie będziemy tu stać i dyskutować naszych problemów.

Mamy własny dom!

Posłuchała. Rozejrzała się dookoła. W uchylonych drzwiach, za rogiem stajni, niedaleko studni, wszędzie stali na wpół ukryci ludzie i śledzili, co się dzieje na dziedzińcu. Tylko Ida wyszła i zatrzymała się na schodach. Spojrzenie jej szarych oczu napotkało wzrok Reiny.

- Przynajmniej muszę się pożegnać...

- Na koń, córko! Natychmiast! Wciąż jeszcze się wahała. Zauważyła, że dano jej męskie siodło.

Nieoczekiwanie usłyszała za sobą kroki i rozpoznała je. Nie odwróciła się jednak, ale rękę, która spoczęła na jej ramieniu, przyjęła tak, jakby na nią czekała. On pochylił się lekko, splótł palce obu rąk, robiąc dla niej stopień. Postawiła na nim nogę, poczuła jego siłę, kiedy elegancko pomógł jej znaleźć się w siodle. Arill zdjął czapkę i bardzo uprzejmie się z nią pożegnał.

Uśmiechnęła się do niego smutno i odwzajemniła dobre życzenia.

Dłonie Johanny zacisnęły się jeszcze mocniej na lejcach. Bez słowa odwróciła zwierzę, koń podskoczył, przestraszony nieoczekiwaną brutalnością jeźdźca. Reina widziała, jak matka ponagla zwierzę piętami, i wkrótce kopyta zadudniły po twardej drodze. Ruszyła w ślad za matką.

Zakręciło jej się w głowie, po raz pierwszy przestraszyła się, że spadnie.

Przecież los nie może być aż tak okrutny. Johanna wiała się w tym

straszny uścisku, w którym trzymał ją Bóg. Była przekonana, że wszystko zostało jej zabrane, wszystko, co miało jakąkolwiek wartość i tworzyło to, co ona nazywała życiem. Raviego nie ma. Vetlego nie ma. Marja staje się coraz odleglejszym wspomnieniem. Przyjaciele odwrócili się od niej. Benjamin jest dorosły i znajduje się na najlepszej drodze, by stworzyć sobie życie, w którym, jak się domyślała, nie życzy sobie zbyt wielu ingerencji matki. Nie widziała go od bardzo dawna, Bogu dzięki nie przyjął też zaproszenia na wesele do Storlendet.

Ma teraz tylko Reinę. Przysięgła więc temu Bogu, który tak okropnie ją zawiódł, że o Reinę będzie walczyć do ostatniej kropli krwi.

Nigdy, absolutnie nigdy nie dopuści do tego, by historia się powtórzyła.

Nigdy więcej nikt z jej rodziny nie pochyli karku pod ślubną koronę rodziny Storlendet.

Jeszcze nie do końca miała odwagę przyznać się do rozczarowania i puścić wodze fantazji, ale słowa Reiny sprawiły, że serce o mało nie pękło jej w piersi - znakomicie wiedziała, dokąd to prowadzi. Jakie potężne moce wyciągają szpony po jej córkę.

Liczą pewnie, że poprzez córkę złamią Johannę. Sądzą, zdaje się, że uda im się wykorzystać budzące się dopiero uczucie młodej dziewczyny i tym sposobem zmusić Johannę, by spokojnie patrzyła, jak ponownie dochodzi do katastrofy.

Nigdy nie dopuści, żeby tak się stało.

Wiedziała, że sama protestowałaby i krzyczała, groziła i prosiła, dokładnie tak samo jak Reina teraz.

Tylko że jej nikt nie próbował powstrzymać przed małżeństwem z

Erlendem Storlendet. Przeciwnie, wszyscy temu przyklaskiwali i udzielali swego błogosławieństwa, jej rodzice byli pierwsi. Ponieważ widzieli tylko uszczęśliwioną buzię młodej dziewczyny, bardzo ich też cieszyła wizja połączenia dwóch pięknych dworów.

Nigdy.

Nie popelni sama tego błędu, którego w głębi duszy nie wybaczyła swojej matce.

Ona będzie osłaniać Reinę również przed niebezpieczeństwami, których dziewczyna jeszcze nie dostrzega. Reina jest teraz tak samo ślepa, jak niegdyś była Johanna. Ona też nie dostrzegała zła w ludziach ze Storlendet, dopóki nie zrobiło się za późno.

W sercu Johanny nie było najmniejszej wątpliwości: zarówno Gjert, jak i Arill Storlendet noszą w sobie dziedzictwo zła. Podobnie jak Erlend i Magnus są częścią tego, co sam diabeł sprowadził na ziemię, by szkodzić jej rodowi.

Ale tym razem ona wie.

Tym razem może im przeciwstawić znacznie więcej niż tylko drżące, uwiedzione dziewczęce serce.

Westchnęła głęboko i zapragnęła, by umiała znowu modlić się i dziękować tak, jak niegdyś potrafiła.

Ale życie pozbawiło ją tej umiejętności. Były czasy, że czuła się bardzo pewna, bezpieczna i radosna w okresie po urodzeniu Reiny, kiedy Ravi z każdym dniem oddalał się od swoich strasznych przeżyć. Wierzyła, że nic już nie może im zaszkodzić. Należeli do siebie, nigdy już niczego nie będą ścigać, nikt ani nic nie będzie ścigać ich.

A potem on wyjechał i nigdy nie wrócił.

To sprawiło, że wszelkie światło zgasło w niej na zawsze, była o tym przekonana. Tylko Reina utrzymywała jeszcze ciepło w jej sercu. Wypełniła większą część tej pustki, którą pozostawił po sobie Ravi. Dzieliła z nią ból i tęsknotę.

Dzieliły ze sobą wiele, ona i Reina. Johanna wiedziała, że nikt na świecie teraz jej nie rozumie, może z wyjątkiem córki.

Ale Reina jest młoda i nie rozumie nawet samej siebie.

Niewiele też wie o świecie, mimo swoich mądrych oczu i mimo tych dziwnych zdolności przeczuwania zjawisk, które jeszcze się nie wydarzyły. Na wiosnę skończy siedemnaście lat, ale nadal jest dzieckiem. Chyba jeszcze nie wie, co to znaczy drzenie serca z powodu mężczyzny.

Byłaby łatwą zdobyczą dla Arilla Storlendet. Johanna dręczyła się, wywołując wciąż i wciąż od nowa jego obraz. Tę strasznie zeszpeconą twarz, uśmiech, który jakby zastygł w pół drogi. Wargi wykrzywione przez blizny. Dziobatą, stwardniałą skórę na policzkach, on jest nie tylko brzydki. On jest™ zdeformowanym diabłem. Obrazem jakby wyjętym z jej anatomicznego leksykonu, w którym podobne do niego potwory przedstawiono na ilustracji i dokładnie opisano.

Wiedziała jednak, że to ospa tak go zeszpeciła.

Wiedziała też, że młode dziewczęta przenika na jego widok dreszcz zgrozy, a równocześnie oblewa je gorąco. Mimo nienawiści widziała przecież znakomicie, że ten młody mężczyzna jest bardzo przystojny. Ma takie mocne plecy, ramiona tchnące siłą, a jego niebieskie oczy uśmiechają się ciepło; głos ma głęboki i niezwykle pociągający. Przyłapała się raz na tym, że jakiś męski śmiech ją oczarował, odwróciła się pośpiesznie, to był Arill.

Ale jej nie zwiedzie.

Nie będzie też miał okazji zwieść Reiny. Johanna wierciła się na posłaniu w pogrążonym w ciszy domu, słyszała, jak zegar Karla wybija godziny, wiedziała, że zbliża się świt.

A kiedy we wsi rozległo się pianie kogutów, wstała i otworzyła drzwi do sąsiedniej izdebki. Domyślała się, że Reina też nie śpi. Przez grubą ścianę docierał do niej szloch córki.

Teraz usiadła bez słowa na brzegu łóżka i zaczęła gładzić córkę po włosach. Znowu usłyszała szloch.

- Córeczko moja... nie bądź na mnie zła. Pewnego dnia zrozumiesz. Kiedy sama będziesz miała córki...

Reina zagryzała wargi.

- Mamo... po... popełniasz... błąd. Johanna westchnęła cicho, nadal jednak głaskała głowę Reiny.

- Wiem, że jesteś zła. Ze przychodzi ci do głowy mnóstwo dziwnych myśli. Ale... ja wiem, co jest najlepsze. Ja wiem.

- Mówisz, że wiesz. W takim razie powinnaś też wiedzieć, że nikt cię w tym nie popiera. Cała wieś jest przeciwko tobie, mamo! I sama słyszałaś, co powiedziała Emmi.

Johanna spokojnie kiwała głową.

Emmi nazwała ją zimną starą babą, która powinna sobie raczej wziąć jakiegoś chłopca do łóżka, a nie próbować się rozgrzewać dawno wygasłą nienawiścią. Bardzo to Johannę ubodło, ale gotowa była wybaczyć swojej przyjaciółce. Emmi zawsze posługiwała się soczystym językiem. Niestety, często mówiła, zanim zdążyła się zastanowić. Poza tym tamtego wieczoru, kiedy padły te słowa, miała w sobie chyba zbyt wiele cierpkiego

czerwonego wina.

A wreszcie Emmi nie ma córki.

- Nie zawsze człowiek jest sam, kiedy popełnia błąd, ale często bywa, że im bliżej jest się prawdy, tym bardziej człowiek jest samotny.

- Mimo wszystko mylisz się, mamó - powiedziała Reina. Johanna przestała ją głaskać, spojrzała natomiast córce w oczy.

- Wiem, że to dla ciebie bardzo trudne. Lepiej porozumiewasz się teraz z Ingalill, a będziesz musiała przestać nazywać ją siostrą. Ona nas zdradziła. Między nami a Storlandet toczy się coś więcej niż wojna. To zacięta walka na śmierć i życie. Ingalill... gdyby to było na prawdziwej wojnie, to ona zostałaby natychmiast rozstrzelana. Dezerter...

Johanna uśmiechnęła się gorzko. Reina przyglądała jej się przestraszona.

- Co się z tobą dzieje, mamó... Co to za diabeł siedzi w tobie i rozpala tę zadawnioną nienawiść?

Johanna wolno pokręciła głową i tym razem uśmiechnęła się ciepło.

- To nie diabeł, moja kochana Reino. To po prostu gorzka wiedza, która bywa nazywana życiowym doświadczeniem.

Reina opadła na poduszki, odwróciła się do ściany. Słyszała, że Johanna nerwowo oblizuje wargi.

- To z Arillem... to były słowa, które wypowiedziałas po prostu w gniewie, prawda?

Reina na chwilę zacisnęła zęby.

- Nie - odparła. - My do siebie należymy. Obiecaliśmy to sobie. Z gardła Johanny wyrwał się suchy śmiech.

- Moja mała, głupia dziewczynko. Sama przecież mówiłaś, że

rozmawiałaś z nim tylko raz, wczoraj w nocy, kiedy wybiegłaś ze Storlandet. On szedł za tobą, ale musisz zrozumieć, że miał tylko jeden cel: omotać cię teraz, kiedy twój upór wobec mnie jest taki wielki. On chce ugodzić mnie poprzez ciebie...

Reina nie odpowiedziała. Nieruchomym wzrokiem wpatrywała się w brunatną ścianę. Tę deskę znała bardzo dobrze. Każdą drzazgę, każdą nierówność, wszelkie ślady z tamtych czasów, kiedy drzewo odzieraną z kory niezdarną, ostrą siekierą. Wszystko tu było. Tysiące nocy, całe życie zawarte we wzorach, w które wpatrywała się codziennie, zanim ogarnął ją sen. Teraz studiowała deseń, jakby widziała go po raz pierwszy. Rzeczywistość stała się bowiem całkiem nowa.

I głos matki brzmiał dziwnie obco w uszach.

Bardzo dobrze wiedziała, że to nieprawda, iż matka błędnie rozumie zainteresowanie Arilla swoją córką.

On tego nie powiedział, nie wspomniał o tym ani jednym słowem. Reina jednak była pewna, że on również, tego ranka, kiedy Ingalill została gospodynią w Storlandet odnalazł w sobie dawny ton. Wtedy, kiedy podszedł do Reiny i splótł przed nią ręce, by pomóc jej dosiąść konia, ten gest był równoznaczny z wszystkimi obietnicami na świecie.

Wyczytała to w jego oczach, kiedy na moment je napotkała, tuż przed tym, zanim postawiła stopę na jego rękach.

Gotowa była zrezygnować z tego oparcia, zawisnąć całym ciężarem w jego ramionach i unieść się razem z nim w powietrze.

On bowiem rozumiał.

On jest jedynym człowiekiem, jakiego spotkała, który również potrafi czytać w twarzy. Czyta w jej twarzy. Zawsze tak było.

A więc to takie proste, to, o czym ludzie piszą wiersze i układają pieśni, co wychwalają na wszelkie możliwe sposoby: tak to jest, kiedy się kocha, to właśnie takie proste i oczywiste, jak uczucie, które ją teraz przepelnia.

Świat stał się inny, przemienił się w mniej skomplikowane miejsce, w którym nie ma zbyt wielu zmartwień. W gruncie rzeczy zaś jest tylko sceną, na której raz po raz szalone komedie poety Holberga są odgrywane przez ludzi, którzy sami o tym nie wiedzą.

Zwróciła się wolno w stronę matki i zapytała z uśmiechem:

- Mamo, czy ty czytałaś sztukę „Romeo i Julia”? Bo widzisz, jest w niej wiele mądrości.

Nie odważyła się sformułować wyraźniejszej groźby. To zresztą wcale nie było potrzebne. Johanna to mądra kobieta. Johanna w końcu zrozumie, że są w tym życiu sprawy, nad którymi nie musi panować.

Matka nie odpowiedziała.

Reina usiadła na posłaniu. Podciągnęła kolana pod brodę i opłotła je ramionami. Włosy przesłaniały twarz niczym obłok, potargane po bezsennej nocy, podczas której Reina niezliczoną ilość razy przewracała się w łóżku z boku na bok. Teraz czuła, że od płaczu zaschło jej w ustach, i rozpaczliwie pragnęła kubka wody. Oczy też ją piekły, ale bolesny wrzód w piersiach pękł. Oddychała spokojnie.

- Reina, dzisiaj musisz zapakować kuferek podróżny. W poniedziałek wyjedziesz z Heleną. Ona będzie cię teraz potrzebować, jesteśmy jej to winne. I nie chcę słyszeć żadnych protestów. To już postanowione.

- Oczywiście, mamo - odparła Reina spokojnie.

Johanna uniosła brwi. Czyżby wygranie walki było aż tak łatwe po

tych wszystkich awanturach i krzykach? Czy Reina mimo wszystko pojęła prawdę?

Wyciągnęła rękę do córki.

- Chodź. Pójdziemy razem do pani Tommervik. Wczoraj urodziła swojego dziesiątego syna i muszę ją porządnie zaszyć. Te nowe nici z bawełny robią bardzo obiecujące wrażenie...

Reina włożyła grube robocze ubranie, był to rodzaj szerokiej sukni z długimi rękawami, przytrzymywanej w talii nakładanym dodatkowo fartuchem. Materiał był solidny, łatwy do prania.

Westchnienie ulgi Johanny dotarło do jej uszu, ale zdawała się go nie zauważać.

- Musisz ją zabrać. Ona wcale nie protestuje! Już zaczęła się pakować. Heleno, jesteś mi to winna!

Helena siedziała na stołku przy piecu, kiwając się w przód i w tył. Johanna nie chciała, żeby siedziała jak jakaś służąca, ona jednak odmówiła zajęcia miejsca przy stole oświetlonym lampą, gdzie Johanna odpoczywała w ten niedzielny wieczór, opierając stopy na niskim stołeczku.

- No nie wiem... nie wydaje mi się to właściwe. Reina i ty... nie powinnyście się rozstawać, zanim się naprawdę nie pogodzicie. Co innego z Ingalill i ze mną - ja po prostu nad nią nie panuję i wiem o rym.

- To nie tak! Reina teraz wszystko rozumie. Uznała już, jaki błąd zamierzała popełnić. Rozumie, dlaczego nigdy ludzi ze Storlendet nie będziemy nazywać rodziną. Jest mi bardzo przykro z tego powodu, Heleno, ale tak musi zostać. Twoja córka... nie mogę wybaczyć jej tego, jak mi się odplaciła. Wam zresztą też nie bardzo mogę wybaczyć, że pozwoliliście, by do tego doszło. Wy jednak nie wiecie wszystkiego, co ja

wiem. Wy nie doświadczyliście tego diabelstwa na własnej skórze. Wy...

- Jesteś bardzo niesprawiedliwa wobec swojego ojca, jeśli twierdzisz, że on nie wie. On wie, Johanno. Wie, co Erlend zrobił tobie. Tylko że on obciąża tym wyłącznie Erlenda.

- Grzechy są karane do siódmego pokolenia! Tak jest napisane w Biblii, gdybym nawet w to nie wierzyła, miałam okazję się przekonać, że to prawda. Swoją córką zajmuj się sama, ja muszę chronić moją. Ona teraz potrzebuje spokoju. I czasu, żeby się zastanowić, z daleka ode mnie, nie mogę jej popędzać. I proszę cię o pomoc w tej sprawie, Heleno. Jeśli odmówisz, to możesz powiedzieć mojemu ojcu, że nie ma już czego szukać w tym domu. Ani on, ani ty, ani bliźniaki... nikt.

Helena była wstrząśnięta jej zapiekłym uporem.

Może rzeczywiście powinna się zgodzić i zabrać Reinę. Nie dlatego, żeby oddać przysługę Johannie, nie dlatego, że ona grozi, iż na wszystkich ściągnie nieszczęście.

Powinna to zrobić dla Reiny. Dla ślicznej, dobrej Reiny, która maczała palce w tym, że w końcu Ingalill stała się córką, z której matka może być dumna.

- Odpychasz od siebie Reinę. To niedobrze. Powinnyście znowu odnaleźć się nawzajem. Musicie to zrobić! Nawet gdybyś ty miała ustąpić, Johanno!

Johanna z trzaskiem zamknęła książkę, która leżała przed nią.

- Powiedziałałam ci przecież, że się porozumiałyśmy! Ona chętnie z wami pojedzie. Musisz mi jednak dać słowo honoru, Heleno. Musisz zadbać, aby te romantyczne głupstwa, których nabiła sobie do głowy, jej wywietrzały. Musisz nią kierować, jakby była twoją rodzoną córką,

wszelkimi sposobami musisz jej doprowadzić do świadomości, że świat jest pełen młodych mężczyzn, tysiąc razy bardziej wartościowych niż Arill Storlandet.

Helena otworzyła usta.

- Arill Storlandet? Nie mówisz tego poważnie... Johanna ponuro skinęła głową.

- On demonstrował swoją władzę nad nią na moich oczach. Ona... ona jest odmieniona. Ten potwór... wabi ją do siebie, ponieważ wie, że młode dziewczyny lubią przeciwstawiać się swoim matkom. To bardzo mu odpowiada. Na Boga, Heleno, trzęsę się na samą myśl, że... to mogłoby się znowu przytrafić.

Helena wolno kiwała głową.

- A więc to tak się rzeczy mają. Do tego ją popchnęłaś. Johanno, musisz się zaraz opamiętać. Zanim jeszcze nie stało się nic strasznego.

Johanna gwałtownie wstała. Książka z głuchym łoskotem spadła na podłogę.

- Widzę, że się z tobą nie dogadam, Heleno. Wybrałaś stronę, rozumiem to. Nigdy bym się jednak nie spodziewała, że odmówisz mi pomocy w chwili, kiedy będę chciała powierzyć ci swoją córkę. - Dyszała ciężko. - I zabieraj się stąd. Myślę, że w Storlandet znajdzie się pokój dla was wszystkich również i na dzisiejszą noc.

Ze złością zagarnęła spódnicę, ale Helena zdążyła chwycić ubranie Johanny.

- Nie odchódź! Zrobię, o co mnie prosisz. Zabiorę ze sobą Reinę i będę się nią opiekować. Zadbam, żeby miała ten spokój, który, jak sądzisz, jest jej potrzebny. Ale na jedno nigdy się nie zgodzę, Johanno, na to

mianowicie, że odtrącasz córkę dlatego, że nie możecie się pogodzić. Nie możesz być wobec niej aż taka zła!

Johanna wydeła wargi.

- Nie mów mi o złości, Helena. Nie mów mi też, jak należy wychowywać córkę!

Helena zaczęła krzyczeć. Głośno i przejmująco, Johannie o mało bębenki w uszach nie popękały, krew zaczęła odpływać jej z twarzy.

- Co się z tobą dzieje, kobieto? Czyś ty całkiem zwariowała? Zniszczysz nas wszystkich! Wciągniesz całą rodzinę w tę swoją nienawiść! Johanno, jesteś jak demon zagłady! Na Boga, żeby tak Ravi mógł do ciebie wrócić i zrobić coś z twoim sercem!

- Głupia babo! Co ty za bzdury wygadujesz! I uważaj, strzeż się, żeby nie wypowiadać jego imienia w mojej obecności!

- Ale to prawda - wyszeptwała Helena nagle uspokojona. Wpatrywała się w białą twarz Johanny i stała niczym słup soli ze spuszczonej rękami.

- To czysta, najprawdziwsza prawda, Johanno. Utraciłaś spokój serca. Zrobiła się z ciebie wysuszona, złośliwa, wściekła stara baba. Ty... ty zatruwasz powietrze nam wszystkim tym swoim sfermentowanym, cierpkim octem! Johanna wysyczała:

- Wynoś się... wynoś się z mojego domu! Nie muszę w mojej własnej izbie słuchać takich słów... i to od kogo, od takiej przybłedy!

- Ty stara głupia babo! Czy ty nie rozumiesz, co robisz? Jesteś głucha i ślepa na wszystko oprócz tych swoich idiotycznych wymysłów?

- Zamknij gębę, dziadówko! Słowa padały coraz bardziej gniewnie, sypały się jedno po drugim, wirowały wokół obu kobiet w jakimś diabelskim tańcu. W zielonych oczach Heleny pojawił się jad, a słowa,

które wypowiedziała, sprawiły, że Johanna stała się jakby o dwadzieścia lat młodsza.

To ona pierwsza doskoczyła do swojej przeciwniczki, uniosła w górę zaciśniętą pięść, która łukiem opadła na policzek Heleny.

Zaległa absolutna cisza.

Żadna nie miała odwagi nawet mrugnąć. Johanna ze świstem wciągała powietrze, instynktownie wytarła rękę o fartuch. Ale nie było na niej krwi, cios nie był aż taki silny. Nie było też łez, chociaż oczy Heleny mieniły się, teraz nagle zwilgotniałe, wciąż z tym przejmującym wyrazem zdziwienia.

Johanna długo patrzyła na nią, a potem na swoją rękę.

- Wybacz mi - rzuciła krótko. Helena otworzyła usta, ale nie zdążyła odpowiedzieć, starsza od niej kobieta wyszła z pokoju.

Wtedy znowu opadła na swój taboret.

Wszelki upór, jaki do tej chwili był w jej ciele, siła, która kierowała jej głosem, wszystko zniknęło, Helena czuła się, jakby ją stratowało stado koni.

Ale zabierze ze sobą córkę Johanny.

O, tak, to może zrobić. I powinna. Może Johanna pożałuje któregoś dnia, że nie chciała słuchać rad Heleny.

Pośpiesznie wstała i wygładziła włosy. Policzki płonęły, jeden może bardziej niż drugi. Słyszała śmiech bliźniaków na podwórzu. Pewnie znowu bawią się ze źrebakiem, pozwolono im go osiodłać.

Zdecydowanym krokiem ruszyła ku drzwiom. Zawołała swego męża i z uśmiechem poinformowała go, że Reina ma jechać z nimi. Im szybciej, tym lepiej.

Bendik przyglądał jej się z uwagą. Po chwili powiedział:

- Jesteś pewna, że to rozsądne? Ze nie powinniśmy przedtem doradzić Johannie innego rozwiązania?

- Możesz spróbować. Ale wierz mi, będzie lepiej, jeśli się nie odezwiesz. Te nieoczekiwane słowa sprawiły, że przystanął.

- Co się stało? Chyba nie rzuciłyście się na siebie? Helena roześmiała się krótko i przytuliła się do męża.

- My? O, Bendik, co ty sobie wyobrażasz, co myślisz o swojej szlachetnej córce i o swojej porządnej żonie? Ze bijamy się niczym czarownice?

Roześmiał się nerwowo razem z nią, potem Helena przytuliła policzek do rękawa jego kurtki, chłodziła go o wilgotny materiał.

- Bo mianowicie tak właśnie zrobiliśmy - westchnęła. Bendik wolno kręcił głową.

- Widocznie to nigdy nie będzie miało końca - mruknął.

ROZDZIAŁ TRZECI

- To jest teraz spokojna parafia - mówił proboszcz zadowolony. Sterczący brzuch opinała mu jadowicie zielona kamizelka, z kieszonki zwieszała się ciężka dewizka od zegarka. Kiedy się pochylał, żeby ująć filiżankę ze słodką kawą, dewizka dodzwaniała o ciężki srebrny krzyż, który również opierał mu się na brzuchu.

Helena siedziała na brzeжку krzesła i przytakiwała.

- Tak, tak, a wszystko to jest także waszą zasługą. Kierujecie swoją trzodą bardzo łagodnie, panie pastarze. I myślę, że postępujecie słusznie.

Kapłan chrząkał i mrugał, słysząc te słowa.

- Bardzo dziękuję, że pani gospodyni dzieli się ze mną swoim poglądem na to, co robię - roześmiał się. Potem odstawił filiżankę i strząsnął okruchy z kamizelki. Duża plama z masła widniała na pięknym brokacie. Reina musiała powstrzymać uśmiech, gdy domyśliła się, iż pastor w duchu paskudnie zaklął.

Uśmiechnął się znowu przelotnie.

- No to przejdźmy do sprawy, z którą przychodzicie, pani gospodyni. Wasz mąż wspomniał, że ma to coś wspólnego z tą młodą kobietą?

Wskazał brodą w stronę Reiny, która siedziała naprężona niczym struna, nie chciała też cierpkiej kawy, którą pastor częstował. Widziała zresztą, że i on nie lubi tego napoju, po każdym łyku wrzucał do filiżanki dodatkowy kawałek cukru.

- Tak. Nasza droga Reina chciałaby się przysłużyć parafialnemu domowi ubogich. To może dość niezwykle pragnienie, ale pastor powinien wiedzieć, że ma ona wielkie doświadczenie jako pielęgniarka. Tak, bo pastor chyba wie, że jej matka to pierwsza kobieta z dyplomem akuszerki,

ma prawo zakupu lekarstw w aptekach...

- Oczywiście, oczywiście. Ale czyż ona nadal nie prowadzi małego szpitala w Lyster? Czy nie potrzebowałaby tam pomocy córki? Wydaje się rzeczą naturalną, że taka zdolna i utalentowana panna pomaga swojej matce i...

- Reina chciałaby pracować tutaj. Słyszała o osiągnięciach swojej babki nieboszczki w pracy dla mieszkańców wybrzeża i...

- Dobrze, dobrze - przerwał pastor. - Dzięki Bogu nie mamy już teraz takich zmartwień. Oczywiście roi się od różnych włóczęgów i biedaków na całym wybrzeżu, ale takiej sytuacji jak wtedy, to już na szczęście nie ma!

Helena skinęła głową.

- Tak, wiem. Mimo to na brzegu fiordu mieszka co najmniej ze dwieście osób. Wielu z nich w szałasach, które z trudem można nazwać domostwem. Dzieci cierpią, panie pastorze. Czy nie jest naszym chrześcijańskim obowiązkiem, by...

Pastor wstał. Jego czoło przecinała głęboka bruzda. Rozpiął kamizelkę i wsunął grube dłonie pod szelki. Wizyta zaczynała go najwyraźniej męczyć.

- ...my potrzebujemy tylko błogosławieństwa pastora i chcielibyśmy prosić, żeby pastor przy najbliższej okazji wspomniał o tym zarządowi Kasy Ubogich. Nie ma sensu, żebyśmy zaczynały jakąś pracę, nie wiedząc, co robi ten zarząd. Najlepiej byłoby pracować razem.

- Tak, tak, mogę porozmawiać. Panie powinny jednak wiedzieć jedno: Najwyższy nagrodzi was może w niebie za te zasługi, ale o żadnej innej zapłacie nie może być nawet mowy, o ile mi wiadomo. Owa tak

zwana Kasa Ubogich jest po prostu całkowicie pusta.

Helena uśmiechała się spokojnie.

- Wiedziałyśmy o tym. A teraz, kiedy pastor zna nasze zamiary, może mogłybyśmy złożyć niewielki dar...

- Bardzo dziękuję, moje panie! Tylko że ja naprawdę muszę już iść. Przyjechała delegacja z Nornes, nie powinienem im pozwalać zbyt długo czekać.

Helena złożyła ukłon. Reina sztywno podniosła się z krzesła. Twarz pastora stała się teraz lekko sina. Słowa, które wypowiadał, były niezdarne. Nie, nie polubiła tego człowieka.

- Jeśli naprawdę chcesz, to możesz jechać. Ale nie o to chodziło, kochana Reino. Miałaś u nas zostać, żeby odpocząć. Pomyśleć w spokoju. Poczytać trochę, może pochodzić na spacer...

- Helena, przestań... obie dobrze wiemy, dlaczego tu jestem. Mama chciała się mnie pozbyć. Ona po prostu nie może na mnie patrzeć. Zupełnie straciła cierpliwość, jest zła dlatego, że opowiedziałam się po waszej stronie!

Helena zakończyła zwijanie ostatniego motka ufarbowanej na niebiesko włóczki i wsunęła koniec nitki w twardy kłębek. Motowidło skrzypnęło parę razy i zatrzymało się. Helena popatrzyła na Reinę.

Nie miała wielkiej ochoty o tym rozmawiać. Słowa mogłyby zabrzmieć fałszywie. Mogłyby paść między Reinę i jej matkę, oddzielić je jeszcze bardziej od siebie. Helena bardzo się tego wystrzegала.

- Twoja matka... jej nie jest za dobrze. Nie jest szczęśliwa. Ona... ja myślę, że ona nigdy nie otrząsnęła się po stracie twego ojca.

Reina położyła głowę na rękach, opierała się mocno o blat stołu. Od

okna lekko ciągnęło, listopadowy wieczór od dawna był już ciemny. Ale w Meisterplassen nie zapalano lamp bez potrzeby. Izba była duża, porządnie nagrzana, lecz ogień ze starego paleniska musiał wystarczyć za całe oświetlenie, dopóki nikt nie czytał ani nie wykonywał jakichś wymagających światła prac.

Helena rozpoczęła nowy kłębek. Włóczka była farbowana kobaltowym barwnikiem, mieniła się pięknie w czerwonej poświacie z paleniska.

- Twoja mama się boi. Boi się, że utraci również ciebie.

- Ha! W takim razie jest niemądra, że wysłała mnie z domu, sama chyba powinna rozumieć! Bo powiedz mi, jak w takim razie mogłabym kiedykolwiek wrócić do domu z podniesioną głową?

Złożony kawałek papieru stanowił zaczątek kłębka. Helena zwijała miarowo, odpowiednio naciągając włóczkę i tak obracając kłębkiem, że powstawała w jej rękach regularna kula.

- Mogłabyś pojechać do domu na Boże Narodzenie. Może ona się do tej pory opamięta. Nie będzie mogła z pewnością znieść pustki, sama zobaczysz, teraz, kiedy nie ma ani ciebie, ani Benjamina...

Umilkła. Przez chwilę siedziała pogrążona w myślach. Johanna jest matką. Teraz jej dzieci przebywają poza domem. Mąż nie żyje. Ojciec ma inną rodzinę daleko od niej. Co jej właściwie pozostało?

Helena wcale by się nie zdziwiła, gdyby Johanna przyjechała jeszcze przed końcem listopada, żeby zabrać córkę.

- Heleno... - Tak?

- Mam czasami takie dziwne sny. O tobie...

- O? Reina zaczęła nawijać włóczkę na motowidło, przysunęła sobie

przygotowane do tego motki.

- Tak, to takie dziwne... nie mam odwagi ci o tym powiedzieć.

- Ale powiedz, powiedz, moja droga. Reina uniosła oczy.

- Bo widzisz, widuję ciebie w snach jako małą dziewczynkę. Ale masz tę samą twarz co teraz. Jesteś w jakiś sposób dorosła. Biegiesz przez las. Przez potężny, gęsty las, w którym drzewa opuszczają gałęzie aż do samej ziemi. I zawsze ubrana jesteś w płomiennie czerwona kamizelkę. I wołasz kogoś. Zdaje mi się, że kogoś szukasz. Jednak znajdujesz tylko kupkę gnijących liści. I jesz liście... Helena przestała oddychać.

- Co jeszcze? - szepnęła gorączkowo.

- I jeszcze jest w tych snach tata. Śni mi się, że on biegnie za tobą przez ten las, wyrywa ci z ust te liście, które jesz. Jest zły. Nie na ciebie, ale zły. Może na tę obcą kobietę. Tak, bo zawsze też we śnie pojawia się jakaś kobieta, której nie znam. Ma jasne, rzadkie włosy. Jest dość niezdarna... a potem ścinają jej głowę.

Helena oparła ręce o blat stołu.

- To bardzo dziwny sen. Reina... czy to na pewno sen? Reina wtuliła twarz w wyciągnięte ramiona. Przyciskała nos do stołu.

- Nie wiem - wymamrotała. Helena starannie poukładała kłębki w koszyku. Potem złożyła ręce na podółku.

- Ja wiem. Zawsze to wiedziałam. Ty jesteś taka sama jak twój ojciec. Nawet twoja matka nie może temu zaprzeczyć. Reino, moja mała... to musi być dla ciebie bardzo trudne.

Wtedy Reina popatrzyła na nią zdumiona.

- Trudne? A to dlaczego? Helena westchnęła.

- To złamało twojego ojca, wiesz przecież. Ja go znałam. Reina

potrząsnęła głową.

- Nie! To nie to go złamało! To ci wszyscy ludzie, którzy nazywali go szaleńcem i człowiekiem złym! Mama mi to powiedziała!

- Tak, być może ma rację. Mimo wszystko jednak... to bardzo ciężkie brzemię. Nie powinnaś go dźwigać całkiem sama, Reino.

Reina przechyliła głowę.

- To wcale nie jest takie niebezpieczne. Poza tym ja też jestem trochę szalona. Mam źle w głowie!

- To nieprawda! Ale na pewno jest ci trudno. Podejrzewam, że przychodzą ci do głowy bardzo dziwne myśli.

Reina roześmiała się głucho.

- To prawda, Heleno! Żebyś ty wiedziała, co się tutaj czasami dzieje! Wskazującym palcem postukała się mocno w skroń i zachichotała. Helena musiała się uśmiechnąć.

- Moja mała, niezwykła Reino. Nie jest ci łatwo, o nie. Cóż za dziedzictwo, szczerze mówiąc, masz po kim dziedziczyć... ze wszystkich stron!

Reina wzruszyła ramionami.

- Cieszę się, że tutaj jestem. Teraz się cieszę.

- To dobrze - uśmiechnęła się Helena. - Liczyłam na to, że pewnego dnia mi to powiesz. Bo za nic nie chciałabym występować wobec ciebie jako strażnik więzienny. No właśnie, kiedy zamierzasz wracać do domu? - zapytała i znowu zajęła się zwijaniem niebieskiej włóczki.

Reina siedziała i wpatrywała się w ogień. Kilka niedużych, wąskich płomyków rozgorzało na czerwonych węglach. Znalazły sobie jakiś zapomniany w popiele kawałek drewna i zaczęły go powoli trawić.

Czasami widywała ojca w płomieniach.

Czasami był taki żywy, że potem w nocy nie mogła spać.

Ale teraz, kiedy cisza rozgościła się w prostej kuchni Heleny, Reina nie znajdowała w płomieniach jego oblicza. To ją bardzo zasmucało.

Stara kobieta pamiętała Amelię. A co jeszcze bardziej niewiarygodne, pamiętała też Marię! Najpierw Helena nie chciała jej wpuścić do izby, stara była najwyraźniej pijana, cuchnęło od niej okropnie, a palce i paznokcie, którymi drapała futrynę drzwi, były dosłownie zarośnięte brudem.

- Na pamięć waszej dobrej Amelii, wysłuchajcie mnie! Na pamięć pięknej i zdolnej Marii, wpuście mnie do środka! Musicie pomóc mojej wnuczce, ona jest w strasznej potrzebie!

Helena w końcu otworzyła. Zmrużywszy oczy popatrzyła w stronę brzegu i stwierdziła ku swemu wielkiemu zdumieniu, że kołysze się tam na wodzie tylko mała tratwa. Czy ta zgarbiona staruszka przyплыnęła tutaj sama? Miała zgięte plecy i pociągała jedną nogą, a ręce tak powykrzywiał reumatyzm, że trudno uwierzyć, iż mogła je zacisnąć na wiosłach.

- Na imię Jezusa Chrystusa, chodźcie ze mną!

- Mylisz się! Ja się nie znam na takich sprawach! Ja nie jestem akuszerką!

- Nie, nie, nie wy! Ale ludzie gadają, że macie w domu wnuczkę Amelii, córkę Johanny - Akuszerki. Ona musi pomóc, ona może pomóc!

Reina w głębi izby słyszała zawodzenie starej. Zorientowała się, że Helena w końcu uchyliła drzwi.

Stara dosłownie wtoczyła się do środka. Dostrzegła stojącą w izbie Reinę i zaczęła się czołgać po podłodze w jej stronę. Na nogach nie miała

butów, owinięła stopy grubą warstwą brudnych szmat. Jedna ręka też była owinięta jakimiś gałganami przewiązanymi rzemieniem. Druga zaś tak zmarzła, że zrobiła się całkiem biała, tą właśnie ręką ujęła skraj sukni Reiny. Twarz starej wykrzywiła się i wyglądała teraz jak jakaś straszna maska.

- Na wszystkie łaskawe anioły, na wszystkich świętych i samą Panienkę Dziewicę, chodź ze mną! Nie mogę ci za to nic dać, moja wnuczka jest biedna jak mysz kościelna. Ale ona umiera! Odejdzie od nas, jeśli jej nie pomożesz!

Reina przerażona wpatrywała się w istotę na podłodze. Żalosiłą, a zarazem potwornie odpychającą! Tamta jednak się bała. Reina głośno przełknęła ślinę. Miała przed sobą tylko przestraszoną starą kobietę, która nic nie mogła poradzić na to, że cuchnie.

Helena co chwila spoglądała w stronę drzwi. Dlaczego Bendik nie przyszedł? Przecież musiał widzieć tratwę.

Chłopcy byli w lesie, każdy z nich dostał swoją działkę do wycięcia i w ciągu ostatnich dni piękny stos bali wyrósł nad brzegiem.

- Ja... ja nie wiem. Ja nigdy...

- Pomagałaś swojej matce przy rodzących?

- Tak, wiele razy, ale...

- Na imię Chrystusa!

Stara kobieta zanosła się szlochem, wciąż leżała u stóp Reiny. Dziewczyna czuła gorycz w ustach. Raz po raz z trudem przełykała ślinę.

Szukała rady we wzroku Heleny.

- Powinnaś z nią pojechać. Bendik cię zawiezie. Może zdołasz pomóc. Reina skinęła niepewnie. Przywiązali mocno tratwę starej do

solidnej, nowej łodzi Bendika, kobieta siedziała teraz skulona na tylnej ławeczce, wdzięczna, że nie musi wiosłować. Bendik z rozmachem ciął taflę wody wiosłami, nie zbaczał z kursu.

Tego dnia fiord był spokojny, słońce pokazywało się od czasu do czasu, teraz jednak nad falami panował cień. Kawałki lodu zbierały się przy brzegu, wciąż jednak łódź radziła sobie bez trudu na powierzchni jasnej, zimowej już wody.

Czekała ich jeszcze długa i mozolna podróż brzegiem.

Kiedy, dysząc, stanęli zmęczeni przed ubogą komorniczą chatą, stara znowu zaczęła zawodzić. Poinformowała Reinę:

- Ja cię zaraz rozpoznałam, moja droga. Wyglądasz dokładnie tak samo jak Marja. Tak, tak, jesteś też podobna do Marii, ale masz oczy kata. Tak, ja go znałam, widzisz...

Roześmiała się skrzekliwie. Wyciągnęła przed siebie rękę owiniętą w szmaty. Ręka była pozbawiona dłoni.

- Ja byłam ostatnia - zaskrzeczała. - Byłam jeszcze dzieckiem, ale on znał się na rzeczy, ten Randar, kat. Wcale długo po tym nie chorowałam! Teraz mam ponad dziewięćdziesiątkę, możesz sobie wyobrazić? No, wejdz do środka. Zrób, co będziesz mogła.

Reina zmrużyła oczy. Przez ułamek sekundy zobaczyła przed sobą twarz, której nie znała. Topór opadł w dół. Trysnęła krew. A wszystko dlatego, że z jakiegoś wozu został skradziony duży wełniany koc.

Reina weszła do chaty.

Kobieta krzyczała jeszcze za nią:

- Ona ma na imię Maria! Ha, ha! Moja wnuczka ma na imię Maria...

Drzwi otworzył im jakiś mężczyzna, bardzo chudy, ubrany w łachmany.

Twarz miał wykrzywioną, jakby odszedł od bardzo ciężkiej pracy, w głębi chaty panowało lodowate zimno.

- Antonius Olsson Rygg - szepnął, wyciągając rękę do Bendika. - Masz ze sobą pastora, gospodarzu Durdei?

Stara potrząsała głową.

- Ta panienska zna się lepiej - zagadkała. - Bo co innego mógłby zrobić pastor dla naszej Marii, niż tylko pomodlić się i odpuścić jej grzechy?

Chłop zagryzał wargę. Reina spoglądała w głąb izby. Panowała w niej cisza, ale dostrzegła trzy dziecinne twarzyczki, blade niczym małe księżycy, na wysokim łożku w kącie.

Kiedy ojciec się odwrócił, dziecięce głowy zniknęły.

- Ona jest spokojna - powiedział, wskazując ręką. - Teraz jest spokojna... Reina ostrożnie ruszyła przed siebie. Kobieta leżała pod jakimiś brudnymi gałganami. Musiała wymiotować, bo ostry odór wymiocin mieszał się wonią potu. Okrycie leżące na jej nogach było zbyt świeże, zbyt nowe. Skóry nie wygarbowano porządnie, cuchnęła teraz gnijącym mięsem. Reina przestała na chwilę oddychać. Co powinna zrobić? Kobieta wyglądała jak martwa. Oczy miała na pół otwarte, ale kiedy Reina podeszła całkiem blisko, usłyszała cichutki oddech.

- Jak dawno...

- Dwa dni - odparł mężczyzna krótko. - Ona... ona ostatnio była jakaś nieswoja. Wbiła sobie do głowy, że z dzieckiem jest coś niedobrze. Ze... że ona tego nie przeżyje.

Reina wolno skinęła głową.

Położyła rękę na czole kobiety i przemawiała do niej. Przez twarz

rodzącej przemknęło coś jakby uśmiech albo jak skurcz bólu. Bendik odchrząknął głośno.

- Antonius, powinniśmy chyba rozpalić ogień. Tu będzie potrzeba gorącej wody, tyle to i ja wiem!

Reina posłała mu krótkie spojrzenie.

- Tak. Mnóstwo gorącej wody. I napalcie porządnie, tutaj przecież jest strasznie zimno.

Antonius wpatrywał się w ubitą z ziemi podłogę. Głos miał ochryply i niewyraźny.

- Czy myślicie, że bym nie napalił, gdybym miał w domu chociaż jedną drzazgę? Teraz, kiedy moja żona rodzi, a dzieciaki są sine z zimna?

Bendik głęboko wciągnął powietrze.

- Wybacz mi. Głupio to powiedziałem. Oczywiście, że byś napalił, ale chodź, musimy zdobyć trochę drewna. I to zaraz!

Kiedy ojciec wyszedł, dzieci się ożywiły. Reina słyszała, że szepczą coś między sobą. Jeden z chłopców wystawił potarganą głowę.

- Mama umrze, no nie? Reina spokojnie pokręciła głową.

- Nie. Nie umrze.

Głowa chłopca trzęsła się na szyi. Szepty to podnosiły się, to opadały. Z brudnego posłania rodzącej rozległo się ciche zawodzenie:

- Pomóż mi... Panie Jezu, ulituj się nade mną... ja rodzę diabelski pomiot...

Reina opanowała się. Spojrzała rodzącej w oczy i starała się mówić zdecydowanym, pozbawionym wszelkiego lęku głosem:

- Poradzisz sobie z tym, Mario Rygg - Razem sobie poradzimy. Oczywiście kobiety wywróciły się tak, że widać było tylko białka. Jęknęła boleśnie.

Całe ciało się napięło. Nagle Reina uświadomiła sobie, że ta kobieta nie prze, ale ze wszystkich sił stara się zatrzymać dziecko w sobie.

- Zaraz urodzisz. Wkrótce będzie po wszystkim. Nie stawiaj oporu. W przeciwnym razie możecie zapłacić za to życiem, i ty, i dziecko.

- On... musi... umrzeć... - wykrztusiła kobieta. Reina wpatrywała się w nią. Całe wychudłe ciało było napięte w walce ze skurczami porodowymi.

- Nie możesz temu przeszkadzać - powtórzyła. - Pozwól, że ci pomogę...

- Nie! Ja nie chcę! Ja nie chcę! Reina chwyciła ją za ramiona, podciągnęła w górę. Teraz nogi rodzącej zwisały po obu stronach wąskiego posłania, przez dziury w grubych wełnianych skarpetach sterczały sine palce. Reina oparła ją mocno o ścianę.

- Wypuść dziecko! Słyszysz, kobieto, odbierzesz życie i jemu, i sobie! Kobieta sprawiała wrażenie szalonej, gdy zacisnęła oczy i zawyła niczym zwierzę. Po policzkach jednak spływały łzy.

- To jest kara! Muszę ponieść karę za swoje postęпки! O, Boże na niebie, pozwól mi umrzeć!

- Nie mów tak! Masz męża i troje dzieci! Oni ciebie potrzebują!

- Neeee... Wycie kobiety przerażało Reinę, pospiesznie spojrzała na ukryte w mroku łóżko, gdzie przedtem widziała dzieci. Żadna głowa się teraz nie pokazała. Panowała tam też kompletna cisza. Wycie matki i jej straszne słowa musiały śmiertelnie przerazić dzieci.

Reina rozpaczliwie pragnęła, żeby drzwi otworzyły się jak najprędzej i żeby Bendik znowu tutaj był. To wszystko przerastało jej możliwości. Kobieta jest szalona, a dziecko najwyraźniej się zaklinało.

- Ja... pozwól, to zbadam, czy coś jest nie w porządku. Siedź przez chwilę spokojnie, o, tak...

Kobieta opadła na posłanie, Reina przyłożyła ucho do jej brzucha. Wstrzymała na chwilę oddech, ale w brzuchu kobiety coś się poruszyło, Reina poczuła nawet lekkie stuknięcie w policzek.

- Dziecko żyje - powiedziała i uśmiechnęła się blado. Kobieta znowu zawyla okropnie. Nagle wstrząsnął nią kolejny skurcz, który zdławił wycie, rodząca mocno zagryzła wargi. Na brodę spływała strużka krwi.

Reina zmusiła ją, by otworzyła usta, i wsunęła jej między zęby pośpiesznie zwiniętą szmatkę.

- Tak, dobrze, gryź to! Nie wypluwaj! Pozwól twojemu dziecku wyjść, Maria, a wszystko będzie dobrze!

Wrzaski rodzącej przenikały ją do szpiku kości. Kobieta rzucała się, jakby ją diabeł wziął w objęcia, w końcu jednak opadła z sił i ucichła.

Ciemnoczerwona krew spływała na posłanie. Reina z całej siły rozchyliła zaciśnięte uda rodzącej, ułożyła ją na krawędzi posłania. Sama uklękła na podłodze, podciągnęła koszulę położnicy.

Już było widać główkę.

Patrzyła zdumiona, dotykała palcami dziwnego kształtu. Wyglądało na to, że główka jest bardzo duża, gorsze było jednak to, że taka zdeformowana, wcale nie przypominała kształtem dziecięcej głowy. Lodowate szpony zaciskały się wokół serca Reiny. Z wielkim wysiłkiem zdołała się jakoś od tego uwolnić i znowu zaczęła głęboko oddychać. Kiedy jednak chciała poprosić kobietę, żeby parła, głos ją zawiódł.

Nagle dziecko wpadło w ramiona Reiny, urodziło się, ale ona nie mogła uwierzyć temu, co widziała.

Pastor postękiwał, pisząc w dużej parafialnej księdze. Tutaj trzeba było wszystkie takie sprawy notować, rejestrować urodzonych i zmarłych, ochrzczonych i konfirmowanych, nawet takie straszne wydarzenia jak to. Został wezwany w największym pośpiechu do domu pewnego komornika, którego żona dzisiaj urodziła i dziecko należało jak najszybciej ochrzcić. Oni sami zresztą może by się tak bardzo nie śpieszyli ze sprowadzeniem pastora, ale kazała im to zrobić ta sama ładna panienka, która przed paroma dniami siedziała u niego wyprostowana i mówiła, że chciałaby pomagać biednym.

Pastor odszedł więc nawet od suto zastawionego stołu, ciekawy, czego też ona dokonała podczas porodu biednej komornicy. Czy to są zajęcia dla takiej młodej dziewczyny? To prawda, że pochodzi z akuszerskiej rodziny, sama jednak jest taka młoda i niewinna, z pewnością nie ma też żadnego doświadczenia w przyjmowaniu porodów.

Nigdy nie zapomni tego, co zobaczył, a co ci ludzie złożyli w skrzynce po rybach.

Pastor odczytał swoje notatki:

„Zgłoszono dziecko, które wyglądało jak dziwaczny potworek, posiadało oczy wielkie niczym koń, nie miało czoła, a jego głowa od oczu aż do potylicy była płaska niczym bochenek chleba, zamiast ciemienia miało czarny czubek albo to było jakieś naczynie krwionośne, które tkwiło mocno w tylnej części głowy...”

Otrząsnął się i pociągnął solidny łyk ciepłego piwa. Listopadowy dzień był mglisty i przejmująco wilgotny.

Pastor zamknął księgę, siedział potem, rozmyślając nad dziwnymi sprawami, o których opowiedziała mu owa Reina.

To niezwykła kobieta.

Sama położyła ręce na piersiach nieszczęsnej matki i powiedziała, że wszystko zostało jej wybaczone.

To zgoła heretyckie działanie.

Dziwne jednak, że pastor w głębi duszy żywił przekonanie, iż Reina ma wystarczającą władzę, by wypowiedzieć takie słowa.

W imieniu Tego, który zawsze okazuje łaskę, rzecz jasna.

Helena delikatnie głaskała trzęsące się plecy, pozwalała Reinie się wyplakać. Sądząc po tym, co w wielkim skrócie przedstawił jej Bendik, nie należy się dziwić, iż dziewczyna się załamała. To było straszne przeżycie. Dziecko przyszło na świat okropnie zdeformowane. I Reina musiała je sama ochrzcić, w największym pośpiechu. Zanim Bendik i Antonius wrócili z opalem, było po wszystkim. Położnica leżała wyciągnięta na posłaniu z twarzą umazaną własną krwią Reina nie zdążyła jej zetrzeć. Gdy obaj mężczyźni stanęli w progu, widzieli, jak zawija w biały materiał jakiś tłumoczek. Poświęciła na to swoją koszulę.

Bendik upuścił drewno na podłogę.

Opowiedział Helenie, jak spokojnie i zdecydowanie zachowywała się Reina. Jak stanowczo nakazała Antoniusowi, żeby wyniósł na dwór cuchnące gałgany. Jak kazała mu grzać wodę w jedynym garnku, jaki posiadali, i jak potem umyła zarówno położnicę, jak i martwe dziecko. Na koniec ubrała Marię Rygg w jedyną lnianą koszulę jej męża, a dziecko owinęła i ułożyła w skrzynce po rybach. Potem przycisnęła obie dłonie do twarzy kobiety i trzymała je tak bardzo długo, a ciężkie krople potu spływały jej z czoła. Kiedy kobieta ponownie otworzyła oczy, uśmiechnęła się zakłopotana i zapytała, co się stało. Antonius Rygg

obejmował swoją żonę i dziękował Bogu, że pozwolił mu ją zachować. Skrzynkę ze zwłokami dziecka Reina ustawiła przy drzwiach, potem czekali na pastora.

Pastor przyszedł i rozmawiał z pogrążonymi w bólu rodzicami. Zadawał pytania, które w takich okolicznościach zadać należy.

Owszem, Reina była obecna przy porodzie. Tak, ochrzciła dziecko. Oczywiście, może przysiąc, że dziecko urodziło się żywe!

Pastor odskoczył zaszokowany, gdy pokazano mu głowę noworodka. Reszty ciała nie chciał już oglądać.

Coś jednak musiał podejrzewać, zapytał bowiem, jak Reina dała małemu na imię.

Ten jeden jedyny raz zaczęła się jąkać, spadła na nią większa odpowiedzialność, niż była w stanie udźwignąć.

- Reina, moja kochana... płacz, po prostu płacz. Zrobiłaś więcej, niż byłaś zobowiązana. Powinniśmy byli jednak oszczędzić ci tego, gdybyśmy tylko wiedzieli...

Reina szlochała długo, potem wyprostowała się i tarła już i tak zaczerwienione oczy.

Włosy miała potargane, dorosły warkocz, który otaczał koroną jej głowę, już dawno się rozplótł.

- Ja nie mogę... to niesprawiedliwe! Ta biedna, biedna kobieta... ona myślała, że Bóg ją ukarał, ponieważ spotykała się po kryjomu z innym mężczyzną. Ponieważ jej mąż nie jest ojcem tego... dziecka.

Helena uśmiechała się smutno. Otarła ostatnie łzy dziewczyny.

- Gdyby taki grzech zawsze podlegał karze, Reino... to ja nie mogłabym spojrzeć na siebie w lustrze.

Reina przyglądała się jej twarzy. Potem skinęła głową.

- Oczywiście, masz rację. Ja tak nie myślałam, ale Heleno... ona wiedziała... zanim dziecko się urodziło, wiedziała, że nie będzie normalne. I ja... ja też wiedziałam. Co powinnam była zrobić?

Helena wstała i pociągnęła za sobą Reinę. Zdecydowanym ruchem ujęła dłońmi twarz dziewczyny.

- Dokładnie to, co zrobiłaś, Reino. Powinnaś była przyjąć to dziecko, ochrzcić je i przywrócić matce spokój.

- Spokój - jęknęła Reina głucho. Wciąż jeszcze pamiętała tamto uczucie, kiedy starała się uwolnić nieszczęsną kobietę od rozpaczony tak, jak się usuwa nadmiar serwatki z miski twarogu.

Uspokoila się jednak, zjadła porządną kolację, a potem zasnęła w starym łóżku Ingalill.

Ale myśl o dziecku wciąż krążyła w jej głowie, zastanawiała się, czy to nie jest jakiś rodzaj ostrzeżenia.

Z pewnością ona nie zostanie akuszerką.

Zbyt wiele mrocznych sił znajduje drogę do jej serca. A wszyscy wiedzą, jak bardzo niebezpieczne to jest właśnie dla dusz nie narodzonych.

- Ona wyjechała? Jak to, dokąd... Wdowa w Dosen skinęła krótko głową.

- Tak, wyjechała ze swoim dziadkiem do Meisterplassen. Teraz już wiesz, Arillu Storlendet. Myślałam zresztą, że rozmawiacie teraz ze sobą jak ludzie, po tym ślubie, no nie? Może powinieneś raczej zapytać panią Johannę?

Nie zadał sobie trudu, by jej odpowiedzieć. Wdowa po karczmarzu wiedziała jednak bardzo dobrze, że małżeństwo jego wuja z przyrodnią

siostrą Reiny nie uczyniło Johanny ani odrobinę łagodniejszą.

Zaszedł aż na dziedziniec.

Odwrócił się pod jarzębinami, tam, gdzie spotkał ją pierwszej weselnej nocy.

Widział na dziedzińcu Johannę i nie zamieniwszy z nią nawet spojrzenia, domyślił się, że wszystkie jego wysiłki na nic się nie dadzą.

Reina wyjechała.

Bez słowa pożegnania.

Widocznie w końcu wybrała stronę matki. Jest uparta i wojownicza, ale i tak musiała ustąpić wobec Johanny.

On sam drżał na myśl o nowej konfrontacji z tą surową damą.

Pamiętał słowa, które padły dawno temu. Pamiętał jej spojrzenie wtedy, kiedy odważył się stanąć przed nią i pomógł Reinie dosiąść konia, u siebie na podwórzu.

Dlaczego się nie pożegnała?

Chodził jak pijany przez wiele dni po tym spotkaniu i myślał, że zrodziło się między nimi coś nowego.

Nie, nie nowego. Rozwinęło się coś, co już wcześniej wykiełkowało. Oboje o tym wiedzieli, oboje to respektowali.

Ale chyba się jednak mylił. Może to były tylko sny?

Widywał ją po nocach, ale to przecież nie nowina.

Łapał się na tym, że inne dziewczęta porównuje z nią, tak jak to robił zawsze, nie zdając sobie z tego sprawy.

W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło.

A mimo to jego świat stanął na głowie.

Karczmarzowa poklepała go żartobliwie po policzku.

- Ocknij się, Arillu Storlendet! Chcesz spróbować mojego piwa czy nie? Po omacku odnalazł czapkę leżącą na stole.

- N - nie... dziękuję. Dziękuję za poczęstunek, ale... muszę lecieć. Kobieta uśmiechnęła się krzywo i przysunęła do siebie ciężki kufel. W karczmie jest wielu takich, którzy wypiją je z chęcią.

Arill Storlendet zawsze był dziwakiem, jakim sposobem zresztą mogłyby się rodzić normalne myśli za tak zeszpeconą twarzą? Zastanawiała się nad pytaniami, które jej zadał.

- Byłoby to rzeczywiście możliwe? Czy naprawdę mogłoby go ogarnąć aż takie szaleństwo, żeby się rozglądać za Reiną z Vildegard?

Kobieta chrząkała i mlaskała zadowolona.

Ha, cóż to za historia do opowiadania! Wyniosła Johanna dostanie po łapach. Nieszczęsna kobieta, nie tylko córka jest na pół szalona i nieobliczalna. Ona także nie zachowywała się jak zwykłe dziewczęta, kiedy dorosła do zameścia!

Arill Storlendet lata za Reiną z Vildegard!

To pierwsze, skandaliczne małżeństwo, które dopiero co wieś oglądała, zostanie wkrótce zapomniane, gdy tylko rozniosą się nowe wiadomości.

Tym razem jednak Johanna raczej zamknie swoją córkę w więzieniu, niż zgodzi się na ślub. Raczej zobaczy ją w trumnie!

Takie to rozmowy prowadzono tego popołudnia w Dosen, takie wiadomości dotarły po paru dniach do uszu Gjerta ze Storlendet. I te wiadomości sprawiły, że Ingalill zaczęła się bardzo, ale to bardzo spieszyć.

Słyszał skrzypnięcie deski w podłodze, ale się tym nie przejął. Ida

często chodzi nocami po domu. W dzieciństwie myślał, że słyszy w uśpionym domu kroki zmarłej matki, ale Ida wyśmiała go i powiedziała, żeby nie wierzył w głupstwa. Nie, to ona nie może spać, albo musi sprawdzić, czy w kuchni i w oborach wszystko jest właściwie przygotowane na noc.

Kroki były lekkie, skradające się.

Drgnął dopiero, kiedy jakaś postać pochyliła się nad nim i wyszeptała jego imię.

- Ingalill! Co ty tu robisz? Czy coś się stało? Kobieta była zaledwie cieniem, czuł jednak zapach lawendy i rozpoznawał, że porusza się po pokoju. Teraz stała przy umywalce, którą po weselu kazał wnieść do swojej izby. Paznokciami drapała polerowany blat.

- Arill... miałam wizję. Oszołomiony usiadł na posłaniu.

- Co to za... miałaś wizję? W środku nocy? Kobieta odpowiedziała z powagą:

- Tak, przecież wiesz, jak to ze mną jest. A widzenia często pojawiają się nocą. Arill, widzę, że znajdujesz się nad brzegiem przepaści. Czeka cię wielkie nieszczęście. Przyszłam, żeby cię ostrzec...

- Co? Jakie nieszczęście? Ingalill, coś ci się śniło. Jakiś koszmar... Ona znowu przebiegła przez pokój w stronę drzwi, a potem wróciła do łóżka. Dotykała go teraz. Ręce miała rozpalone, jak w gorączce, wilgotne. Drżały, muskając jego ramię. Szeptała wolno, jakby z trudem znajdowała właściwe słowa.

- Ona cię oszuka, Arillu. Jesteś niczym wróbel w sieci, którą ona zastawiła. Ona ma swoje plany, paskudne plany. Nie jest tak, jak myślisz. Ona kocha tylko swoją matkę, nie zna innej miłości.

Nareszcie rozbudził się do końca. Czuł, że ta niezwykła sytuacja zaczyna mu działać na nerwy. Siedzi oto przy nim młoda żona jego wuja i głaszcze go po nagiej piersi, w ciemnościach, w środku nocy, i opowiada mu o swoich widzeniach i snach.

- Ja też jestem córką Raviego - ciągnęła Ingalill cicho i łagodnie. - Tobie się wydaje, że kochasz Reinę. Ale to nieprawda, trzeba ci wiedzieć. Mylisz się bardzo, bardzo... ona nigdy nie będzie twoja.

Z trudem chwycił powietrze. Ręka Ingalill dotknęła brodawki jego piersi. Chciał odtrącić tę rękę, ale wszystko było takie nierzeczywiste. Prawdopodobnie to mu się po prostu śni.

- Musisz wiedzieć... Reina jest mną. Ja jestem Reina. Jesteśmy z tej samej krwi. Z tej samej potężnej krwi... twoim przeznaczeniem jest kochać mnie.

Arill odepchnął ją mocno. Słyszał, że z głuchym plaśnięciem wylądowała na podłodze.

- Jesteś lunaticzką, Ingalill! Sama nie wiesz, co wygadujesz! Jesteś chora!

Docierały do niego jakieś ciche dźwięki, jakby Ingalill mlaskała.

- Kochany, udręczony przyjacielu... musiałam cię ostrzec. Ty mi pewnie nie wierzysz. Ale trzeba ci wiedzieć, że to, co ja widzę... to się później staje. I powiadam ci: tutaj chodzi o nas oboje. O ciebie... i o mnie.

- Zwariowałaś! Właśnie wyszłaś za mąż za mojego wuja! To samo mówiłaś i jemu, on chodzi teraz i opowiada o wszystkim, co widziałaś w tych swoich wizjach, o wszystkim, co jakoby zostało postanowione przez los!

Ingalill znowu się do niego zbliżyła. Widział, że cień się porusza.

Nie byłby w stanie powiedzieć, czy ona się śmieje, czy wykrzywia, słyszał tylko, że porusza wargami.

- To jest prawda, każde słowo! Ale to niczego nie zmienia. Nadejdzie taki dzień, Arill... wtedy ja będę twoja. Czy też może należałoby powiedzieć - noc...

Zanim zdążył się odezwać, ona położyła się na nim, odnalazła jego wargi i zaczęła go całować. Czuł jej piersi na swojej nagiej skórze. Opanował się jednak i jeszcze raz ją od siebie odepchnął. Roześmiała się cicho.

- To tylko przedsmak, mój kochany. Przyjdę znowu którejś nocy... kiedy czas się dopełni, jak powiedziałam.

Długo leżał z bijącym sercem. Ingalill go przeraziła. Nie tym pocałunkiem ani tymi swoimi szalonymi wróżbami. Przeraziła go tym, że zna jego uczucia. Czyżby Reina coś powiedziała? Czy rzeczywiście siostry się sobie zwierzają?

Tłukł pięścią w materac - nowy i gładki.

Nie potrafił rozstrzygnąć, czy o tym, co się stało, powinien opowiedzieć swemu wujowi czy nie.

Kiedy znowu jakieś kroki rozległy się na korytarzu, przeniknął go dreszcz. Tym razem jednak to była tylko Ida, która przyniosła mu jak co rano wodę do mycia.

Miał wrażenie, że przygląda mu się jakoś dziwnie, i zarumienił się.

Spojrzał w dół i zobaczył na swojej klatce piersiowej długie, skośne zadrapania. Nie czuł żadnego bólu.

Kiedy ochlapał się zimną wodą, dostał gęsiej skórki, ale niepokoju nie zdołał z siebie spłukać.

Musi ją zobaczyć. Musi z nią porozmawiać. Musi się zorientować, co się dzieje między obiema siostrami. Czy jest tylko pionkiem w ich grze? A może to jednak prawda, że krew, która płynie w ich żyłach, jest tak samo jak jego własna zakażona szaleństwem i dziedzicznym z pokolenia na pokolenie złem? Był szary i ponury dzień. Mimo to osiodłał najsilniejszego ogiera i nikomu nic nie mówiąc, ruszył w drogę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Johanna nie wierzyła własnym uszom. Ale dziewczyna stała i skubiąc rąbek fartucha, powtarzała straszną wiadomość. Tak, to Arill Storlendet czeka w izbie chorych. I tak, prosi o spotkanie z nią. Nie chce odejść...

Nie wahała się ani chwili.

Zerwała stary muszkiet, który wisiał nad drzwiami do sypialni, i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

On rzeczywiście stał pośrodku dużej izby chorych, czapkę trzymał w rękach.

- Wyjdź stąd, ty psie, albo, Bóg mi świadkiem, zabiję cię jak gada! Arill nawet nie drgnął, nie spuszczał jednak wzroku z jej zmrużonych oczu. Broni natomiast nie poświęcił nawet spojrzenia.

- Musimy porozmawiać, pani Johanno.

- Nie zamieniliśmy ani słowa dotychczas i teraz też nie będziemy tego robić. Masz się wynosić, jak najdalej z mojego domu, i to natychmiast.

Spodziewała się z jego strony wszystkiego, od przekleństw do otwartego ataku.

Arill Storlendet zrobił jednak dwa kroki w bok, po czym rozsiadł się w fotelu Johanny i rozpiął kurtkę.

- No to mnie zastrzel - powiedział swobodnie. Palec Johanny poruszył się na spuście. Służąca przy drzwiach była przerażona, dzwoniła zębami tak, że słychać było w całej izbie.

- Zastrzel mnie, jeśli ci to pomoże. I zrobmy wreszcie koniec z tym wszystkim - powtórzył Arill spokojnie.

Stwierdziła, że on ma niebieskie oczy. Ciemne, mimo to niebieskie. Jak Reina, przemknęło jej przez głowę.

Broń zaczynała jej ciążyć na ramieniu. W głębi duszy wiedziała, że strzelba nie jest naładowana.

Arill Storlendet czekał. Johanna kiwnęła na służącą.

- Lensmana. Szybko! Dziewczyna z jękiem wybiegła z pokoju. Johanna opuściła broń.

- Nie jesteś tego wart. Boże, jakże chętnie widziałabym ciebie i wszystkich z twojego rodu w trumnach. Ale nie jesteś tego wart. Nie zabiję cię.

Skinął głową ze złośliwym uśmiechem.

- Nie. Nie odważysz się strzelić do dorosłego mężczyzny. Ale przed chorym dzieckiem zamknęłaś drzwi. Moje życie było w twoich rękach, Johan - no Vildegard. Wtedy, w czasie zarazy. I z własnej woli zostawiłaś mnie, bym umarł.

Johanna odłożyła strzelbę.

- Oczywiście - odparła spokojnie. - Nie tamuje się złej krwi. Pozwala się jej płynąć.

- Ty mnie naprawdę nienawidzisz? Nie odpowiedziała.

- Nigdy pewnie nie zapomnisz krzywdy, jaką ci wyrządził Erlend? Johanna splunęła.

- Nie próbuj takich sztuczek! To tylko jedna z wielu ran...

- Ale przecież ty jesteś lekarką. Potrafisz leczyć rany, jeśli chcesz. Johanna wybuchnęła szalonym śmiechem.

- Nie próbuj takich sztuczek, ty głupku! Nie próbuj mi się tu podlizywać! Dopóki będzie we mnie choćby jedno tchnienie, będę się ze

wszystkich sił bronić przed takimi gadami jak ty. Ty i ten twój podstępny wujek! I jeśli ów diabeł, który jest twoim ojcem, kiedykolwiek opuści dom wariatów, to będzie z nim źle!

Arill wolno pokręcił głową.

- Do tego pewnie nigdy nie dojdzie. Mówią, że on jest już na łożu śmierci - odparł Arill krótko.

Przyglądała mu się. Nigdy przedtem nie widziała go z bliska i w świetle dnia. Twarz miał straszną. A oczy były zbyt głęboko osadzone, by można je uznać za ładne. Głowę miał wielką i potężną, niczym byk. Nie to co piękne rysy Raviego... przestraszyła się swoich myśli.

To, że tutaj przyszedł, mówiło wystarczająco dużo o jego rozsądku.

- Co zamierzasz powiedzieć, kiedy przyjedzie lensman? - zapytał Arill.

- Powiem, że wdarłeś się tutaj z groźbami...

- Z jakimi groźbami? Szukała odpowiedniego słowa. Potem zaczęła krzyczeć:

- Z jakimi groźbami? Czy nie wystarczy wiedzieć, co się stało, kiedy ostatnio ktoś z rodziny Storlendet postawił tutaj nogę?

Teraz Arill podniósł się ciężko z miejsca. Wziął czapkę i naciągnął ją mocno na oczy.

- W takim razie chyba sobie pójdę. Nie zamierzałem się tutaj wdzierać. Chciałem wyciągnąć rękę na zgodę, Johanno. Miałem ci coś ważnego do powiedzenia.

Wyszedł.

Johannę trawił ogień.

Zdołała się jednak opanować.

Bo cóż innego mógłby jej powiedzieć oprócz kłamstw i oszustw? Bała się, że Arill chciałby rozmawiać na temat Reiny. A gdyby to zrobił, to znowu musiałaby go straszyć muszkietem.

Mimo wszystko pobiegła za nim, widziała, że dosiada konia. Służąca przywarła do framugi drzwi i dygotała. Pośrodku podwórza stał stary parobek i mrużąc oczy, przyglądał się gościowi: prawdopodobnie nie wierzył własnym oczom. Arill uklonił się i ruszył przed siebie. Nawet się nie obejrzał.

Krew pulsowała Johannie w skroniach.

O co mu, do diabła, chodziło?

- Zatrzymaj się! Arillu Storlendet, mam dla ciebie pozdrowienia! Pobiegła za nim, czuła na sobie spojrzenia dwojga służących. Zdyszana dopadła Arilla przy furtce.

- Tylko jedna sprawa: to, co zrobiłam wtedy, mogłabym zrobić jeszcze raz. Gdyby twoje życie znalazło się w moich rękach, byłbyś niewiele wart. Ale jedno musisz jeszcze wiedzieć, Arillu Storlendet - to ja zabiłam twojego brata Erlenda. Wbiłam w niego nóż. Poderznęłam mu gardło. Nikt by ci nie uwierzył, gdybyś powiedział to, co ci teraz wyznałam. Ale to prawda. I mogłabym to zrobić jeszcze raz.

Skinął wolno głową.

- Wierzę w to, pani Johanno.

Słowa brzmiały głucho. No, nareszcie zdołała go przestraszyć. Miała nadzieję, że przestraszyła go tak bardzo, iż nie zechce więcej o nich myśleć.

Nie umiałby powiedzieć, czego tak dokładnie się spodziewał, ale słowa Johanny były mniej więcej takie, jak się obawiał. Byłoby głupotą

wierzyć, że zdoła przemówić jej do rozsądku. On bardziej niż inni powinien rozumieć, że nie ma szans osiągnąć u niej tego, czego nie osiągnęli wszyscy jej przyjaciele.

Johanna płonęła nienawiścią.

Nie bardzo wiedział, za co nienawidzi jego, ale to właśnie nienawiść wyczierała z jej oczu, kiedy na niego patrzyła.

A może ona nie jest temu winna? Może to jego krewni zbyt źle się z nią obeszli?

Czy nie mógłby się spodziewać, że zostanie mu okazana łaska, skoro mimo wszystko on sam nigdy nie zrobił jej nic złego? Nie.

Teraz to zrozumiał.

Uświadomił sobie to, co Reina musiała wiedzieć, chociaż wspominała, że nie przejmuje się już gniewem matki.

Tutaj trzeba było czegoś więcej niż tylko upór młodej dziewczyny, musiała wykazać więcej odwagi, niż młodzi ludzie, którzy dorastając protestują wobec własnych rodziców. Ona nie miała wyboru.

Matka Reiny jest niczym szary kamień, nieugięta, ciężka, nie można jej rozbić, choćby się tłukło młotem tak, że krwawy pot spływałby z czoła.

Poganiał konia, zwierzę parskalo i protestowało, on jednak zdecydowanie wciskał pięty w jego bok i klął głośno.

Ten ogier był nie całkiem ujeżdżony.

Arill Storlendet nie był człowiekiem o twardej ręce, ale akurat teraz gniady koń miał okazję się dowiedzieć, kto tu rządzi.

Kiedy obaj, i wierzchowiec, i jeździec, umęczeni wracali do stajni, było późne popołudnie. Ida przybiegła do Arilla z twarzą poszarzałą z niepokoju: zrozumiał, że bali się, iż zrobił sobie coś złego, choć nikt nie

miał odwagi powiedzieć tego głośno.

Ingalill stała na schodach objęta w pasie przez Gjerta i uśmiechała się leciutko.

Mąż nie był w stanie oderwać od niej wzroku.

- Zaraz każę, żeby służące przygotowały dla ciebie balię z gorącą wodą, Arillu. Wyglądasz na zmęczonego. Czy to sam diabeł deptał ci po piętach?

Te ostatnie słowa wypowiedziała ze śmiechem, a Ida, słysząc to, skuliła się, jakby przeniknął ją dreszcz. Gjert objął ramieniem także Arilla.

- A potem przyjdź do mnie. Wypijemy po szklaneczce i pogadamy. Coś cię dręczy, chłopcze. Teraz chciałbym się dowiedzieć, co to takiego.

Na chwiejnych nogach Arill poszedł do pralni. Przemarzył do szpiku kości, w końcu jednak gorąca woda przywróciła ciepło w jego ciele i pogrzyżyła go w lekkiej drzemce.

Zbudziła go Ida, która przyszła, żeby go namydlić, potem splukała ostrożnie jego ciało, pomogła mu się wytrzeć i ubrać tak, jak to robiła, gdy był dzieckiem. Na koniec pocałowała go w czoło.

Przypomnił sobie, że w dzieciństwie nazywał ją mamą.

Teraz wyszeptał jej to słowo do ucha. Ida pochyliła kark, przez moment miał wrażenie, że płacze.

- Jedź do niej, mój chłopcze. Zrób z tym wreszcie jakiś koniec. Nie może być gorzej, niż jest teraz.

Drobna kobieta uniosła ku niemu swoją twarz.

- Teraz wiem, że to prawda, co ludzie gadają. Ty i Reina... czyż tak nie jest?

Arill westchnął.

- Nie wiem. Naprawdę nic już nie wiem. Ona wyjechała ze wsi. Bez słowa.

Ida wolno potrząsnęła głową.

- No to jedź do niej i zapytaj. Ja myślę, że ona na ciebie czeka. Ludzie mówią, że ona zna dzień, zanim słońce wzejdzie, tak samo jak jej ojciec.

- I podobnie jak nasza nowa gospodyni? Zaskoczył go samego cierpki ton własnego głosu. Spojrzenie Idy mówiło mu jednak, że ona podziela jego niepokój.

- Nasza nowa gospodyni... to zwyczajna gęś, która plecie Bóg wie co. Tylko twój wuj wierzy w te jej historie.

Dotknął ręką pergaminowo suchego policzka.

- Dziękuję, Ida. Mamo. Teraz jestem czysty. Skinęła lekko i zajęła się wodą po kąpieli. Trzeba powiedzieć, żeby służące natychmiast wyszorowały schody, ciepła woda nie powinna się zmarnować.

Spotkał Gjerta w małym pokoiku, który wuj nazywał kantorkiem. Jedna ściana była pokryta bronią myśliwską i przystrojona rogami jeleni oraz reniferów. Na podłodze leżała stara niedźwiedzia skóra.

- Usiądź, Arill. Czas, żebyśmy porozmawiali jak mężczyźni. Widzę, że nabiłeś sobie głowę jakąś kobietą. Kto to taki?

Gjert nie miał zwyczaju mówić niczego tak wprost. Arill zauważył, że duży kieliszek wódki zdążył już do połowy opróżnić. Kieliszek był przeznaczony do wina.

- No? Arill siadał długo, potem nalał też sobie i wypił odrobinę mocnego alkoholu.

- E, nikt taki - mruknął w końcu, sam jednak usłyszał kłamstwo w

swoich słowach.

Gjert również się roześmiał, szczerze i serdecznie.

- Czy ty myślisz, że jestem głupi? Że nie potrafię dostrzec, kiedy ogier wyczuwa klacz?

Roześmiał się znowu. Pochylił się poufale w stronę chłopca.

- Pozwól, że zgadnę, Arillu. Pewnie wpadła ci w oko ta panna z Knagenhjelm. Ta nieduża o lnianych włosach.

Arill uśmiechał się blado.

Zastanawiał się, co by to szkodziło, gdyby Gjert został o wszystkim poinformowany?

Pociągnął kolejny łyk i spojrzał swemu przybranemu ojcu spokojnie w oczy.

- Nie wiem, Gjert. Nie bardzo się na tym znam. Poza tym ona wyjechała. Bez słowa. Więc pewnie i tak nic z tego nie będzie.

Wuj zmarszczył czoło i kiwał ponuro głową.

- Ach, tak... to mnie jeszcze bardziej zaciekawia. Kim jest ta osoba, która odwróciła się od dziedzica naszego dworu?

- Ona sama ma wystarczająco duży dwór.

- Więc to Asa? A może Berit z Hoyringen? A może sama lensmanówna? Arill westchnął.

- Nie mam nastroju do zagadek, wuju. To Reina z Vildegard, jeśli już tak koniecznie musisz wiedzieć.

Wuj gwizdnął przeciągle. Potem mlasnął językiem o podniebienie i wbił spojrzenie w swój kieliszek. Arill siedział spięty, oczekując wujowego komentarza.

W końcu Gjert spojrzał na niego i uśmiechnął się.

Arill uśmiechał się także. Wuj nie był ani zaszokowany, ani zły. No i dobrze, tylko tego by brakowało.

Dostał porządnego kuksańca w bok.

- No, mój stary! Staraj się, żeby coś z tego było, bo muszę ci powiedzieć, że kobiety z tej rodziny znają się na rzeczy, wiedzą, co potrzebne w małżeństwie...

Chrząkał zadowolony, złożył dłonie na brzuchu. Rozbawiony przyglądał się Arillovi.

- No, to opowiadaj, jak to jest. Zmówiliście się już? Czy ona jest chętna? A jej matka, wie, co zamierzacie?

Arill po prostu kręcił głową.

- Nie. Jak powiedziałem, nic z tego nie będzie. Muszę o wszystkim zapomnieć, to dla mnie najlepsze.

- Hm. Hm. Hm. Możliwe. Jeśli jest tak, że ona nie chce cię znać, to przecież następca tronu w Storlandet nie będzie czołgał się przed jakąś babą. To się rozumie samo przez się.

Arill westchnął, potem opróżnił kieliszek jednym haustem.

- Jestem zmęczony, Gjert. Idę spać. Powiedz Ingalill ode mnie dobranoc. Ale... nie wspominaj jej o tym, bądź tak dobry. To przecież nie jest powód do chwały, że jej przyrodnia siostra mnie nie chce...

- No rzeczywiście - powiedział Gjert lekko. Arill pocierał oczy, pożegnał się pośpiesznie. Gjert siedział jeszcze, i rozmyślał, dopóki nie opróżnił kieliszka. Wtedy weszła Ingalill, która zastanawiała się, co się z nim stało. Pociągnął ją na kolana i całował jej białe czoło. Rozplotła już warkocze przed nocą, włosy pachniały świeżo, widocznie je niedawno myła.

- Moja kochana Ingalill... jest coś, nad czym się zastanawiam. Coś, czego chętnie bym się dowiedział... gdybyś zechciała mi powiedzieć.

- Co takiego? - zapytała szeptem, przeczesując palcami jego włosy.

- Ty, która widujesz... która wiesz tak wiele... powiedz mi, jak się potoczą losy Johanny z Vildegard?

Ingalill cmoknęła.

- No cóż... wiem to i owo. Mam te swoje widzenia, jak wiesz. Johanna, tak... nie, z nią nie będzie dobrze. Będzie miała przeciwko sobie wielu ludzi...

- Już ma.

- Tak. Dojdzie do tego, że będzie musiała sprzedawać ziemię.

- Na tingu już ogłoszono sprzedaż dla Olego Gjendestolen! Ingalill posłała mu pełne irytacji spojrzenie.

- Nie przeszkadzaj mi! Muszę się koncentrować, jeżeli potrafisz to zrozumieć!

Schowała twarz w dłoniach, zaciskała zęby tak, że słyszał ich zgrzytanie. Potem spojrzała w górę i wymamrotała coś niezrozumiałego. Oczy miała rozbiegane.

- Ona... ona umrze. Ona ma wrogów, o których jeszcze nie wie... Gjert westchnął. Każde słowo było dla niego najczystsza prawda. Szepnął ostrożnie:

- A co z jej córką, Reina? Co z tym chorym Benjaminem, czy on wróci do domu, żeby zająć się gospodarstwem?

Ingalill wolno pokręciła głową.

- Nie... jego to ja w ogóle nie widzę. Ale Reina... o Reinie nie mogę ci opowiedzieć, mój kochany. Boję się...

Zaczęła szlochać.

Chwycił ją, ale ona zsunęła się na podłogę, leżała skulona, zasłaniając twarz rękami. Dygotała na całym ciele.

- Moja kochana, kochana... znowu to zrobiłem. Wybacz mi... już nie będę cię przymuszał. To okropne z mojej strony, ale... och, wybacz...

Ingalill szlochała jeszcze przez chwilę. Potem odsłoniła czerwoną, zapłakaną twarz. Patrzyła na niego wilgotnymi oczyma, rozchyliwszy wargi.

- Dziękuję, Gjert - wyszeptała. - Dziękuję ci, że rozumiesz. Te zdolności... nie zniosę, żeby mnie zmuszano. To po prostu przychodzi samo... kiedy chce.

Przytulił ją mocno do siebie i znowu wziął na kolana. Potem zaczął ją całować po całej twarzy. Zwykle wtedy łagodniała, w jego ramionach stawała się chętna. Wspomnienie jej szalonych uścisków sprawiło, że poczuł gorąco w podbrzuszu.

Tym razem jednak mu się wymknęła. Matowym głosem oznajmiła, że dzisiejszego wieczoru nie czuje się najlepiej. Czy natomiast nie zechciałby przynieść jej kieliszka słodzonego wina...?

Kiedy przyszedł do sypialni z napojem, ona leżała już w łóżku i najwyraźniej drzemała. Nieśmiały uśmiech pojawił się na jej kuszących wargach, kiedy podawał jej wino. Pośpiesznie pogłaskała go po policzku.

- Dziękuję, mężu. Jesteś dla mnie taki dobry. Dumny usiadł przy niej na łóżku i z wielką powagą uniósł jej rękę.

- Jesteś moją żoną, kochana Ingalill. Jesteś absolutnie wyjątkową kobietą. Jeszcze by tego brakowało, żebym się o ciebie nie troszczył najlepiej jak potrafię!

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję. Dobranoc, Gjert. Czy ty wiesz, że jest już bardzo późno? Potwierdził skinieniem głowy. Rozebrał się w półmroku za szafą i bardzo starannie ułożył wszystkie rzeczy na miejscu. Jego Ingalill nienawidziła bałaganu. Od pierwszej chwili postanowiła, że w jej części pokoju żadne męskie skarpety nie będą się walać.

Tak, tak, potrafiła być wymagająca. Służące skarżyły się bardzo, kiedy myślały, że nikt ich nie słyszy.

Ale to właściwe i bardzo potrzebne, zwłaszcza w domu, w którym od wielu lat nie było prawdziwej gospodyni. Ida robiła, co mogła, trzeba jej to oddać, ale to słaba istota. Zawsze kryła się w cieniu, wiele rzeczy zostawiała służącym.

Ułożył się ostrożnie po swojej stronie łóżka. Ingalill najwidoczniej już spała. Spojrzał na nią, zanim zgasił światło. Jedna pierś rysowała się wyraźnie pod cienką koszulą. Widział brodawkę i ogarnęła go straszna ochota, żeby ją ucałować.

Ingalill jednak musi spać.

Jutro będzie nowy dzień. Obudzi ją wcześnie...

Leżała spokojnie i oddychała miarowo, dopóki nie nabrała pewności, że on zasnął. Wtedy ostrożnie wyszła z pokoju i zeszła po schodach na dół, przez pogrążoną w mroku izbę aż do sieni, a stamtąd do małego korytarzyka. W końcu zdecydowanym ruchem popchnęła boczne drzwi, ustąpiły bez skrzypnięcia. Sama poprzedniego wieczoru nasmarowała zawiasy.

Arill spał.

Jeśli będzie miała szczęście, to on poczuje zapach lawendy z jej

włosów, zanim jeszcze się obudzi, i zorientuje, że to, co uważał za marzenie senne, jest prawdą.

Pochyliła się nad nim ostrożnie, dotknęła wargami jego szyi. Połaskotała go delikatnie. Poruszył się, ale nie obudził, spał głęboko. Kołdrę odrzucił, zwinięta okrywała tylko jego nogi.

Położyła się przy śpiącym, przysunęła do niego swoje ciało. On się znowu poruszył, przewrócił się na plecy. Ingalill czekała bez ruchu, aż mężczyzna ponownie zapadnie w głęboki sen. Wtedy położyła dłoń na jego brzuchu i z uśmiechem przekonała się, że to młode ciało będzie w każdym razie po jej stronie.

Gwałtownie drgnął i obudził się, kiedy próbowała go pocałować, z trudem łapał powietrze i wymachiwał rękami. Zdołała uniknąć ciosu i mimo wszystko położyła się ciężko na nim.

- Jestem tutaj... - szeptała. - Teraz w końcu przyszedłam, Arillu. Bardzo na mnie czekałeś? Zobacz, jaka jestem gorąca...

Próbował się uwolnić, protestował bez powodzenia.

- No, no, spokojnie... widzisz, to się musi stać. Ja to widziałam. I wiedziałam zawsze. Dotknij, czujesz, jak bije moje serce?

Próbując się uwolnić, złapał ją za pierś. Roześmiała się, kiedy gwałtownie cofnął rękę.

- Jest za gorąca? Czy ty się boisz, Arill? Czy nigdy przedtem nie byłeś z kobietą?

Arill głośno przełknął ślinę. Ciało ocknęło się już po głębokim śnie. Czuł gwałtowne pulsowanie w dole brzucha. Ona tuliła się do niego, lepiała się niczym mokre ubranie.

- Ingalill, nie... ty zwariowałaś! Przecież jesteś mężatką! Znowu się

cicho roześmiała.

- Twój wuj, Gjert... to stary człowiek. Wiedział, co robi. To on kazał mi szukać przyjemności na własną rękę. Wie, że ogrzewałam się już u boku młodego lejtnanta. I że Birger od Thoriniussenów nie bez powodu jest nazywany byczkiem. Bo widzisz, Gjert lubi słuchać, kiedy mu o tym opowiadam. To jedyna radość, jaka mu w życiu została!

Arill nie mógł uwierzyć w to, co mówiła. Czy ona naprawdę postradała rozum? Te błogie chichoty Gjerta, kiedy mówił o radościach małżeństwa... nie mogło być tak, jak ona mówi.

- Kłamiesz! - uciął i złapał ją z całej siły za ramiona. Ona jednak całowała go, gdzie tylko mogła dosięgnąć, i obejmowała go nogami. Dotyk jej gorącej skóry palił go w brzuch.

Chciał wzywać pomocy, a z drugiej strony nie chciał. Powoli w miejsce zakłopotania pojawiał się gniew. Ta szalona baba to zwyczajna kłamliwa kurewka. Jak mogli dać się tak oszukać? Jak mogła tak strasznie omotać Gjerta?

- Ty mała ladacznico... czy ty w ogóle nie masz wstydu? Wyszłaś za męża za mojego wuja, jeszcze się nie skończyły wasze Tobiaszowe noce, a ty już włączysz do innego łóżka... jak śmiesz! Jak myślisz, co będzie, kiedy on się o tym dowie?

Twarz Ingalill w półmroku rozjaśniła się uśmiechem.

- Ty głupi mały dzieciaku. Głupi, tchórzliwy Arillu. Co ty sobie wyobrażasz, że kim jesteś? Czy zapomniałeś, że jeszcze jesteś właściwie dzieckiem, i wuj rządzi tobą i wszystkim, co posiadasz? Ja... jestem twoją ochroną.

Arill jęknął.

Ona ma, niestety, rację.

Popełniła jednak fatalny błąd. Pokazała mu swoją prawdziwą twarz.

- Wyjdź stąd - powiedział cicho. Potrząsnęła rudą grzywą, poczuł zapach jej włosów, było to niczym cios w żołądek. Zapach Reiny.

- Wynocha! - powtórzył. Bezwstydnie chwyciła jego męskość i mocno ścisnęła.

- Dobrze, dobrze. Możemy przecież porozmawiać później. Kiedy trochę dorośniesz. Powinnam była wiedzieć, że nie jesteś jeszcze wystarczająco męski jak dla mnie, Arill.

Posłał za nią paskudne przekleństwo. Roześmiała się dźwięcznie. Długo jeszcze słyszał jej chichot. Leżał zlany potem. Boże drogi, w co się ten Gjert wdał?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Johanna gniewnie przeszła przez izbę i zaczęła po raz czwarty odmierzać dozy nowego specyfiku. Miarki z cieniutkiego szkła miały wygrawerowane kreski odpowiednio do stopnia stężenia lekarstwa, Johanna bała się, by nie uронić ani jednej kropli tego cudownego leku. Odkąd kolejna przesyłka od Remmermanna przyszła wiosną, przeczytała większość nowych medycznych książek.

Lekarstwo, które odmierzała, to opium. Ale nie starego typu, gęste i trudne do odmierzenia, lecz płyn przezroczysty niczym woda i na pierwszy rzut oka tak samo nieszkodliwy. Ale to nieprawda. Te krople potrafiły znieczulić nawet najsilniejszego człowieka przed zabiegiem, a poza tym łatwiej je było dozować. Do lekarstwa dołączone zostały bardzo szczegółowe przepisy, w których określono, ile podawać różnym pacjentom: dorosłym mężczyznom, kobietom oraz dzieciom w takim to a takim wieku, jeśli chodzi o dzieci, to trzeba zwracać również uwagę na to, ile ważą.

Te krople sprawiają, że zdrowy człowiek zasypia. Dla chorych zaś oznaczają złagodzenie cierpień.

Johanna wiedziała poza tym, że potrafią też wyciszyć najcięższe zmartwienia. Przepływają wewnątrz ciała i okrywają gęstą tkaniną wszystkie ostre zęby i kanty, uwierające duszę. To jednak jest też bardzo niebezpieczne. Bardzo szybko bowiem owe ostre kanty zaczynają uwierać jeszcze boleśniej w serce, jeśli z jakiegoś powodu organizm nie otrzymuje lekarstwa. To zaś oznacza, że używano go za dużo.

Johanna o tym wszystkim wiedziała.

Mimo to z trudem udawało jej się stłumić pokusę, by jeszcze raz

wlać parę kropel do herbaty, którą piła wieczorem, siedząc na krawędzi łóżka.

Kiedy kładła się spać, całkiem sama, nie czując nawet bliskości Reiny po drugiej stronie drewnianej ściany...

Nigdy jeszcze nie była taka samotna.

I nigdy lęk nie szarpał nią bardziej. W koszmarach śnionych na jawie wciąż zwidywały jej się okaleczone ciała dzieci, słyszała ich krzyk, czuła własną bezradność.

Widziała na przykład Reinę, która tonie, bo spadła w Meisterplassen z nabrzeża do fiordu. Wyobrażała sobie, że goni ją niedźwiedź albo że napadli ją jacyś obdarci żebracy, mieszkający na wybrzeżu. Tyle się mogło stać. Reina mogła zachorować. Co Helena mogłaby wtedy zrobić? Gdyby Reina dostała jednego z tych swoich ataków, straciła przytomność i upadła...

A Benjamin? Ciągłe ta sama, przerażająca wizja: krew, która płynie niepowstrzymanie po skaleczeniu nożem. Może właśnie w tej chwili, półprzytomny z niewyspania, siedzi i rzeźbi stalowym nożem w drewnie.

Noż tak łatwo może się obsunąć...

Nie.

Nie ma sensu zadręczać się rym wszystkim. Niepokój szarpał ją jednak ostrymi szponami i chociaż bardzo dobrze wiedziała, że czeka ją po tym jeszcze jedna bezsenna noc, nie była w stanie myśleć rozsądnie.

Jutro, obiecywała sama sobie.

Jutro po niego pośle. I po Reinę także. Oni nie mogą być beze mnie. Muszę mieć ich tutaj, przy sobie. W przeciwnym razie zwariuję w te bezsenne noce.

Wiedziała jednak, nawet o tej ciemnej godzinie, że kiedy tylko pojawi się brzask, wszystko wróci do normy.

Tyle tylko, że będzie miała za sobą kolejną przeżyta dobę.

Johanna zapisywała odmierzone porcje.

Buteleczki z lekarstwem pieczętowała woskiem i zamykała je w narożnej szafie w izbie chorych. Prowadziła bardzo dokładne listy dotyczące wykorzystania lekarstwa, zapisywała, ile komu sprzedawała. Aptekarz tego wymagał, jego dobra wola wisiała właściwie na włosku, Johanna domyślała się, że nie do końca jej ufa. Jest przecież kobietą.

Na samym dnie skrzyni przysłanej z miasta znajdowały się rzeczy i drobiazgi, które zdaniem Remmermanna miały sprawić rodzinie radość. Zauważyła, że tym razem włożył do skrzyni również powieść, pouczającą historię dla młodych kobiet. Uśmiechnęła się. Reina dostanie tę książkę na Wielkanoc, kiedy wróci do domu. Albo na swoje urodziny.

Choć nie minęło jeszcze wiele tygodni, odkąd córka wyjechała, Johanna zaczęła liczyć dni do jej bezpiecznego powrotu. Po spotkaniu z Arillem kusiło ją, żeby natychmiast sprowadzić córkę do domu. Porządnie nastraszyła tego chłopaka. Bał się jej i respektował jej zdanie. Może w wystarczającym stopniu, by trzymać się z dala, jeśli nie chodzi tu o zbyt gwałtowne uczucie.

W trwałość jego afektu jednak wątpiła. Tego rodzaju uczucia nie wybuchają po jednym krótkim spotkaniu, kiedy właściwie jedno drugiego dobrze nie widziało. W przypadku Reiny zaś to nie może się nigdy stać, chyba tylko jako forma uporu i protestu wobec matki.

Prawdopodobnie dziewczyna zapomniała już o całej sprawie. Z pewnością biega po obejściu w Meisterplassen w ubraniach Heleny i

tęskni za Vildegard, za matką i za tutejszą pracą.

W pierwszym okresie Johannę dręczył pewien lęk: co będzie, jeżeli córka naprawdę zakochała się bez pamięci? W takim razie niełatwo byłoby ją powstrzymać. Przypominała sobie własną młodość, pamiętała, że ani małżeństwo, ani wstyd i hańba nie powstrzymały jej przed tym, by pójść za Ravim.

Choć to jednak było coś całkiem innego. Została też do tego zmuszona. I nie miała matki, która by ją przed tym uchroniła...

Westchnęła. Czuła niepokój w całym ciele. Chyba nie zazna dzisiaj spokojnego snu. Będzie leżeć i przewracać się z boku na bok, tłuc nogami w materac, zaciskać szczęki tak, że rano będzie ją bolała cała twarz.

A może Emmi miała rację, mówiąc, że Johanna powinna znaleźć sobie mężczyznę? Dopóki nie będzie za późno...

Nie. Już dawno jest za późno. Johanna jest stara. Brzydka. Utraciła dawny blask. Wie o tym sama, twarz bowiem, którą czasami widuje w lustrze jest zacięta, pomarszczona i szara. Włosy sterczą i nie mają już tego połysku co dawniej.

Stara.

Skończona.

Leżała w łóżku i śmiała się sama z siebie. O, nie, wciąż jeszcze ma wiele do zrobienia. Nadal ma siłę, której do tego potrzeba, zarówno w rękach, jak i w głowie. Prowadzi skalpel pewniej niż kiedykolwiek przedtem. Przy porodzie wyczuwa problemy, zanim się jeszcze pojawią. I nikt nie potrafi tak jak Johanna z Vildegard przygotowywać mikstur i proszków, które łagodzą i choroby piersi, i bóle brzucha.

I powinna zobaczyć, że Benjamin osiadł w bezpiecznym porcie. Gdy

tylko skończy naukę, za jakieś dwa, trzy lata, wtedy zastąpi ją w prowadzeniu dworu. Ona będzie dysponować tylko szpitalem i budynkami, które wzniesli dla opieki nad chorymi. On przejmie całą ziemię, łąki i lasy, i górskie pastwiska. Może zbudować dla siebie oddzielny dom w obejściu albo skorzystać z propozycji wuja Karla i przenieść się do Oppdal. Stary jest wciąż jeszcze bardzo rzeński i mógłby długo prowadzić to swoje pustelnicze życie, ale dla ziemi stracił wszelkie zainteresowanie.

Benjamin znajdzie sobie zarządców, sam będzie siedział i rzeźbił różne piękne rzeczy, będzie je sprzedawał po dobrych cenach.

Oczywiście, wszystko się ułoży. Może Benjamin znajdzie też sobie żonę mimo stanowczych ostrzeżeń Remmermanna. Te rady doprowadzają ją do płaczu. Choroba jest okrutna, to prawda. W głębi duszy jednak Johanna była przekonana, że nawet gdyby wiedziała więcej, to i tak nie wybrałaby inaczej. Co tu jest do wiedzenia?

Ze być może sprowadzi się na świat potomstwo, które umrze?

Tak, wszyscy o tym wiedzą. Z tym trzeba żyć.

Westchnęła ciężko. Ułożyła ręce na kołdrze. Przymknęła oczy, starała się rozluźnić twarz.

Gdyby tylko potrafiła kontrolować własne ciało, zmusić mięśnie do spokoju, to z pewnością sen by przyszedł.

Zmagania trwały już co najmniej godzinę. Słyszała, że zegar Karla w izbie uderzył dziesięć razy, to była ostatnia rzecz jaką Johanna zapamiętała.

List od matki był radosną niespodzianką, w dodatku przyszedł w samą Wigilię. Benjamin umościł się w kącie pokoju, który był jego

mieszkaniami. Majster i jego pomocnik dostali tylko dla siebie oddzielną izbę w budynku położonym niedaleko stajni. Sam główny dom mieszkalny mogli dotychczas podziwiać jedynie z zewnątrz. Natomiast ogród różany znali wyłącznie z opisu, śnieg bowiem leżał tam głęboki po kolana, brunatne gałązki sterczały tu i ówdzie i wcale nie wyglądały pięknie.

Będą tu pracować co najmniej przez pół roku, powiedział majster. Benjamin będzie więc miał okazję do woli nawąchać się róż w ogrodzie baronostwa.

Czekał z otwarciem listu, aż inni ułożą się na spoczynek. Była noc wigilijna, ale w izbach czeladnych nie obchodzono jej zbyt uroczyście. Zwierzęta dostały wieczorem owies, konie w stajniach lśniły pięknie wyczyszczone. Nawet kurom dano do dziobania owsianą kaszę. Parobcy jednak musieli się zadowolić miską gorącej zupy i podpłomykami z masłem, popijanymi cieniutkim piwem.

Benjamin pamiętał świąteczne wieczory w Vildegard, gdzie służba siadała do stołu w izbie razem z gospodarzami.

No cóż, co kraj, to obyczaj. Szczerze mówiąc, nie cierpieli nędzy. Wprawdzie izba czeladna była stara i ciągnęło porządnie przez dziurawe ściany, ale nie brakowało drewna do palenia w małym żelaznym piecyku.

Dostali też dobre materace, a nawet pierzyny wypchane ptasim pierzem. Tego to się już naprawdę nie spodziewali!

Majster jednak narzekał. Uważał, że to oznaka braku szacunku, że nie zaproszono ich do powozów, które tego dnia wiozły zarządcę majątku i jego rodzinę szeroką aleją do kościoła. Oni musieli iść tam na piechotę, chociaż pokojówki i inne wyżej postawione służące otrzymały miejsca w powozach.

Benjamin się tym nie przejmował.

Był syty i nie marzył, zaś wysokie krzesła, które rzeźbili dla baronostwa były najpiękniejszą rzeczą, jaka kiedykolwiek powstała pod jego nożem.

Majster był z tego zadowolony.

I matka pisała serdecznie, jak bardzo jest z niego dumna.

Pytała też, czy wkrótce wróci do domu. Minęło już pół roku, a przecież nie jest to tak daleko, żeby nie mógł znaleźć sobie jakiejś łodzi, która by go podwiozła, choćby na kilka dni... Z trudem przełknął ślinę.

Czytał dalej. Marszczył brwi w miejscu, gdzie Johanna pokrótce opowiadała, że Ingalill wyszła za mąż za Gjerta Storlandet, a Reina po weselu pojechała do Meisterplassen, „ponieważ była narażona na nieprzyjemności ze strony tych ludzi”.

Opuścił list na kolana.

Czuł drzenie w piersi.

O co to chodzi? Czy ktoś skrzywdził jego siostrę? Ludzie ze Storlandet? Czyżby wesele skończyło się bójką na noże, tak jak to często bywa, kiedy spotkają się krewni ze swoimi zadawnionymi pretensjami i popijają porządnie?

Nie, matka wyraziłaby się inaczej, gdyby ktoś został ranny.

Ale to chyba bardzo nieprzyjemne dla niej widzieć, że córka Heleny przeszła na stronę wroga.

Ta wariatka! Nigdy jej nie lubił. Podstępna i wyrachowana, nawet jej słodka buzia z wdzięcznymi piegami nie była w stanie tego pokryć.

Czytał dalej.

A więc to tak, Dominikus z Dosen nie żyje. A nowy pastor wdał się

w sądy ze swoim sąsiadem. Harald Fortun omal nie stracił nogi przy wyrębie drzewa. A młoda pani Jorgina Hjellen, która razem z nim przystępowała do konfirmacji, urodziła już pierwsze dziecko.

Matka opisywała też pełen temperamentu atak Astrid na tego starego dziada, który nieustannie próbował ją uwodzić, pisała o tym, że Emmi wprowadziła wszystkich w zdumienie, kiedy przebrała się w stare świąteczne ubranie Raviego, przewiązała włosy kolorowym jedwabnym szalikiem i włożyła na głowę męski kapelusz. Aurora...

Nareszcie jest i o niej, wstrzymał oddech i czytał.

Aurora ma się dobrze, pisała matka, nie będzie z nią chyba więcej zmartwień. Odkąd Reina wyjechała, Aurora spędza czas przeważnie ze swoją matką i z Emmi, podczas gdy Diana stara się jak może, by nakłonić ją do uśmiechu.

„Niech mi Bóg wybaczy, ale ja nie rozumiem tej dziewczyny. Jest w niej coś bardzo delikatnego i obcego, pojęcia nie mam, co z niej wyrośnie. Wygląda na to, jakby bała się ludzi. Coś się musiało stać, coś więcej niż wydarzenia, na które była narażona podczas nocy świętojańskiej”.

Benjamin jęknął boleśnie.

Jakże chętnie położyłby teraz głowę na kolanach matki i opowiedział jej wszystko dokładnie. Płakałaby na pewno razem z nim. I otrzymałby jej wsparcie dla podjęcia niełatwej decyzji.

Ale to niemożliwe. Benjamin jest mężczyzną. Jest prawie dorosły. Nie może już więcej przytulać się do mamy, żeby się wyzalić.

Ona będzie jeszcze bardziej nieszczęśliwa. Może zrobić coś całkiem nieoczekiwanego. Wiedział, że właśnie tego nienawidzi, najgorzej się czuje, kiedy widzi czyjś ból, a nie może mu pomóc.

Głęboko wciągnął powietrze i czytał dalej. Ale wodził spojrzeniem po papierze i zawsze zatrzymywał się przy tym jednym imieniu.

Aurora. Aurora. Czuł ciepło w sercu, gdy tylko zobaczył te litery. Aurora.

Ktoś mu powiedział, że to imię oznacza tyle co zorza poranna. Jutrzenka.

Jutrzenki nie można posiadać na własność, można ją tylko podziwiać z oddali.

List został przeczytany do końca.

Ostatnie pozdrowienia były niezwykle serdeczne i wymyślne. Czuł ciepło w sercu, to dobrze, że matka tęskni za nim i odczuwa jego brak. Nie mógł jednak spełnić jej życzenia i wrócić do domu.

Nie wróci dopóty, dopóki sam widok imienia Aurory sprawia, że rozum mu się miesza z tęsknoty.

Majster spał.

Benjamin wsunął się cicho pod swoją pierzynę.

Krew się w nim burzyła, skóra go piekła, rzucał się niespokojnie z boku na bok. Jego wyrośnięte ciało nie chciało zapomnieć, najbardziej jednak bał się wiązać jej wizerunek z tą powierzchowną, gorączkową rozkoszą, którą w takie samotne noce sam potrafił sobie dać.

Mimo wszystko ona była przy nim, zawsze.

Odsuwał ją od siebie, nie chciał, żeby na to patrzyła. Zamiast tego przypominał sobie jakieś inne kobiety, a to głębokie wycięcie sukni kuchennej dziewczyny, a bo białe udo, które kiedyś zobaczył, gdy żona stajennego podniosła spódnicę przy praniu.

Ciało chłopca prężyło się, z trudem łapał powietrze, tarł gwałtownie

ręką wrażliwą skórę. W końcu uścisk zelżał, on jęknął głęboko. Odegnął od siebie niespokojne myśli i zmęczony opadł na posłanie.

Wieczór wigilijny, Boże Narodzenie...

Dużo łatwiej było tęsknić właśnie za tym.

Ledwo zdążył trochę przysnąć, obudził go jakiś gwałtowny hałas. Zerwał się, kątem oka zobaczył, że majster też się obudził i że wpatruje się w drzwi. Na progu ukazała się jakaś postać z latarką w ręce.

- Wybaczcie mi, moi panowie... przydzielono mi tutaj miejsce. Przychodzę późno, zakłócam wam świąteczny spokój, ale może mógłbym zaproponować kieliszeczek na przeprosiny?

Nie proszony wszedł do środka. Majster mruknął zaspany:

- Kim jesteś? Człowiek w drzwiach postawił latarkę na stołku, zdjął przystrojony piórami kapelusz i z gracją uklonił się głęboko.

- Jestem Rafael. Słyszeliście pewnie o Rafaelu, wielkim artyście? Jestem jego bratem. Jego duchowym bliźniakiem. Jestem najlepszym na świecie pozłotnikiem, to dla mnie wielki honor spotkać was, panowie!

Benjamin musiał się uśmiechnąć. Cóż to za dziwak. Przyjemny zapach rozszedł się po pokoju, kiedy przybyły pochylił się mocno i otworzył swoją torbę.

- O! Tutaj jest. Moje świąteczne pozdrowienie dla panów. Majster, stękając, usiadł na posłaniu. Benjamin wstał, wyciągnął do obcego rękę. Dłoń tamtego była delikatna i ciepła.

- Benjamin Karlsgard. Z Lyster.

- Ach, z Lyster! Słyszałem o tej wsi. Podobno piękna, tak mówią. I piękne kobiety... ach!

Benjamin zmarszczył brwi. Cóż to za gaduła?

Gość podał majstrowi mały srebrny kieliszeczek, który przedtem służył jako korek do płaskiej butelki, którą mężczyzna ze sobą przyniósł.

- Twoje zdrowie. Jestem twoim pokornym wielbicielem, Mistrzu. Miałem już szczęście oglądać niektóre z twoich prac. Na przykład nowe baldachimy w sypialni, są wspaniałe. Delikatne. Piękne rzemiosło, prawie sztuka!

Benjamin czekał. To on rzeźbił te baldachimy. Nad kolumnami pracowało się z wysiłkiem, miały wyglądać lekko, a jednocześnie trzeba je było ozdobić rzeźbionymi wieńcami.

Majster nie powiedział nic. Opróżnił kieliszek i chrząkał zadowolony.

- Ja też o tobie słyszałem. Ale nie nazywasz się Rafael. Nazywasz się Knut Lerkeplassen, prawda? Jesteś nieślubnym dzieckiem jakiegoś cudzoziemskiego szlachcica. No tak, baron nareszcie będzie miał z ciebie pożytek w nagrodę za to wszystko, co w ciebie zainwestował.

Obcy nie wydawał się ani urażony, ani zły.

- Masz rację! W końcu będę mógł spłacić mój dług, jaki zaciągnąłem wobec tego dobrego pana. Zaopiekował się mną. I moją nieszczęsną matką... umarła, nie zaznawszy głodu ani zimna. Niczego jej nie brakowało dzięki poczuciu honoru i dobremu sercu barona.

Majster mamrotał coś pod nosem, wytrząsnął ostatnie krople z kieliszka. Alkohol sprawił, że złagodniał, może on też uważał, że trzeba uroczyście obchodzić wigilijny wieczór...

„Rafael” wyjął teraz pospolity drewniany kieliszek i także napełnił po brzegi.

- Twoje zdrowie, Mistrzu. Wypij i ty, Benjaminie! Żeby współpraca

nam się układała!

Benjamin nie był przyzwyczajony do mocnych napitków. Ta wódka jednak miała słodki, dziwny smak, rozpoznawał w niej przyprawy, których matka używała w swoich miksturach na kaszel i choroby gardła. Piekło go w żołądku, ale kiedy wypuścił powietrze z płuc, sam czuł, że pachnie ono przyjemnie.

Rafael śmiał się. Kręcił się po izbie, wymachiwał rękami.

- Jak dobrze tutaj być! Wiecie, ja nigdy nie mieszkałem w obrębie tego domostwa. A przecież tutaj zostałem poczęty! Jestem dzieckiem gorącej miłości między francuskim szlachcicem i młodą, śliczną pokojówką... czyż to nie romantyczne? Czyż to nie wspaniała historia?

- Każdy ma swoją historię - mruknął majster.

- Tak jest! Oczywiście! Pełne napięcia historie, tragiczne, piękne, niewiarygodne. Dzisiejszej nocy, moi panowie... dzisiejszej nocy opowiemy sobie nawzajem nasze historie. W ten sposób się poznamy! Staniemy się braćmi od pierwszej chwili i razem będziemy mogli tworzyć niewiarygodne rzeczy.

Benjamin czuł się niepewnie. Straszny gaduła z tego człowieka. Ale jest sympatyczny. Ma łagodne usposobienie, nie zadziera nosa. Ma też niezwykłą zdolność rozładowywania nastroju, to nie ulega wątpliwości.

Majster, w znacznie lepszym humorze, na wpół siedział oparty o poduszki.

Benjamin czekał, że lada moment starszy człowiek da nauczkę temu obcemu. Ale on umościł się wygodnie, położył obolałe ręce na brzuchu i czekał. Rafael rozpostarł na podłodze koce, które ze sobą przyniósł. Usiadł w świetle swojej kopczącej latarki i zaczął opowiadać.

Reina dostała przesyłkę w Vildegard na cztery dni przed Wigilią i natychmiast ją rozpakowała. Znalazła w niej piękną suknię. Poza tym kamizelkę haftowaną szklanymi paciorkami, prawdopodobnie mama znalazła ją w którejś ze skrzyń Marji. Para bucików z kościanymi obcasami, ozdobionych tym samym materiałem, z którego została uszyta suknia.

Ha!

Kiedy będzie mogła tutaj włożyć na siebie ten wyszukany strój? Nigdzie nie byli zaproszeni na święta, nawet na żadne przyjęcie w trzeci dzień.

Chętnie spędzę te święta w domu, pomyślała Reina i pogрузzyła się w rozmyślaniach, natychmiast ukazała się jej twarz Arilla.

Przypomniała sobie, że tańczył z Ingalill. Zrozumiała, że była o niego zazdrosna. Pamiętała jednak również, że podszedł do niej na dworze w chłodną noc i że ona nie przyjęła jego wyciągniętej ręki.

Ależ była głupia! Głupia, nieskończenie głupia! Powinna była zrozumieć wszystko już wówczas. Powinna była wiedzieć, że nie ma sensu się temu przeciwstawiać ani wierzyć, że potrafi być rozsądna i posłuszna.

Zawsze tak było między nimi, nigdy cienia obojętności. Nigdy całkowitego zapomnienia.

I teraz wiedziała na pewno.

Chce, żeby tak zostało na całe życie, nawet gdyby nigdy więcej nie miała go zobaczyć.

Szukała dalej w skórzanej torbie, którą przysłała matka.

Cukierki, słodkie i kolorowe, prawdopodobnie z Kopenhagi. Natychmiast wsunęła jednego do ust. Smakował miodem i miętą. Szukała

dalej i znalazła książkę. To jakaś powieść! Wspaniale, będzie mogła ją czytać Helenie podczas krótkich wieczorów aż do Wielkanocy.

Trzy kawałki lawendowego mydła, jak zawsze. Nowa chusteczka do nosa, z monogramem. Atrament. Bibuła i piasek do jego osuszania. Cztery grube książki, jedna po łacinie. Bardzo dobrze, ciekawie będzie się przekonać, czy jeszcze coś pamięta.

Jakiś gruby pakiet zawinięty w lniane płótno, okazało się, że są w nim pyszne, miękkie podpłomyki z masłem, posypane cynamonem.

Reina uwielbiała to ciasto, nikt inny prócz jej matki nie używał cynamonu do świątecznych wypieków. Johanna jednak lubiła posypać tą pachnącą przyprawą i mus jabłkowy, i smażoną rybę.

Torba była pusta. Reina oparła się o ścianę, wciąż jednak siedziała na podłodze w swoim pokoju i zaczęła czytać list.

Ręce jej drżały, kiedy ujęła zwój papieru.

Czuła w oczach łzy na widok zdecydowanego, wyraźnego pisma mamy.

„Moja ukochana córeczko, Reino...”.

Pośpiesznie przeleciała cały list. Nic wyjątkowego się nie stało. Matka ani słowem nie wspominała o ich dramatycznym rozstaniu. Nie pisała też, jak się powodzi Ingalill. Rozpisywała się natomiast o jakichś wydarzeniach w szpitaliku, o tym, że komisja do spraw ubogich schwytala i zamknęła w domu wariatów Guri Solgarden.

List zawierał też pozdrowienia od Astrid, Emmi, Diany i Aurory, matka wspominała, że Aurora na pewno tęskni za Reina, ale spędza dużo czasu z Dianą. Obie bardzo lubią śpiewać.

Ani słowa o Ingalill. Nic, co by choćby pośrednio mogło dotyczyć

Storlandet.

Reina westchnęła i zwinęła list.

Matka pisała, że być może przyjedzie z wizytą koło Nowego Roku. Reina od dawna miała nadzieję, że tak będzie, wciąż bowiem nosiła w sobie ból i wspomnienie tamtych cierpkich słów, jakie między nimi padły.

Żeby tylko mogła zapomnieć o Arillu.

Żeby tak serce mogło przyjąć to, co mówi rozsądek: on nie zrobił nic, żeby ją do siebie przyciągnąć. Kiedy szli wtedy, w weselną noc, jedno obok drugiego, Reina czuła, że milcząca umowa nabiera kształtów.

Nic nie powinno ich rozłączyć! W każdym razie nie ta odległość, ani konieczność wiosłowania, które musiałby podjąć, gdyby chciał ją zobaczyć.

Długo czekała, że on przyjedzie. W myślach wielokrotnie odbywała całą drogę z Lyster do Meisterplassen, odtwarzała ślad, który jej łódź pozostawiała na wodzie. Ten ślad, po którym on powinien tu przybyć. Przez pierwsze tygodnie co wieczór siadała nad brzegiem i wypatrywała na fiordzie łodzi. Spoglądała też w stronę Eidet na zbocza, na wypadek, gdyby przyjechał konno. Ale on się nie pokazał.

Oczywiście ona sobie to wszystko wmówiła. Może nawet się okaże, że matka miała rację, że on asystował Reinie tylko po to, by irytować Johannę.

Nie. To nie tak.

Serca ich obojga opuściły ciała. I chociaż oni sami nigdy nie trzymali się za ręce, to Reina wiedziała, że ich serca są teraz jednym.

Głupie marzenia!

Nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. W jej sercu uczucia

zmieniały się tak szybko, że za nimi nie nadążała. A kiedy pojawiały się widzenia, na próżno starała się dostrzec w nich Arilla.

Reina włożyła wszystkie prezenty z powrotem do skórzanej torby.

Wolno zeszła po schodach na dół, by zapytać Helenę, czy nie potrzebuje pomocy przy wypiekach.

W kuchni roznosiły się smakowite zapachy, panował tam prawdziwy upał.

Oczywiście, tutaj będzie się obchodzić święta Bożego Narodzenia!

Reina zaniósła podpłomyki od matki do spiżarni, zawiązała w pasie czysty fartuch. Bliźniacy siedzieli niczym wygłodniałe szczenięta i nieustannie próbowali uskubnąć słodkiego ciasta.

Przyszedł również Bendik, ośnieżony, ze szronem we włosach. Przyniósł wielkie naręcze świeżo naciętego jałowca, z którego miał zamiar zrobić pachnące miotły. Każdy kąt musi zostać starannie wymieciony po pieczeniu, a potem służące umyją izbę gorącą wodą i mydłem.

- Być może mama przyjedzie na Nowy Rok - bąknęła Reina. Helena popatrzyła na nią.

- Ach, tak? To chyba bardzo dobrze? Reina potwierdziła skinieniem.

- Żeby tylko znowu nie zaczęła... Helena roześmiała się krótko.

- Wspomnisz moje słowa, nie minie godzina, a znowu skoczycie sobie, obie do oczu. I tak będzie dopóty, dopóki jej nie ustąpisz...

Reina oblizwała wargi i zamyśliła się. Wolno wałkowała ciasto.

- Nie wiem - powiedziała w końcu cicho. Helena dała chłopcom po kawałku cukru i wypchnęła ich za drzwi.

- Wciąż jeszcze o nim myślisz? Reina skinęła krótko. Helena usiadła, oparła zmęczone ręce na stole.

- Nie jest to łatwa sprawa, trzeba przyznać. Reina roześmiała się z goryczą.

- Nie. Mama zwykle dostaje to, czego chce. Ubrudzona mąką dłoń pogłaskała policzek Reiny, zmusiła dziewczynę, by spojrzała ciotce w oczy.

- Z tobą też nie jest łatwo, powinnaś wiedzieć: ludzie mówią, że jesteś rozpieszczona. Ale ja cię rozumiem. Jesteś młoda i zakochana. Ja wiem, że nie ma sensu zapewniać cię, że o nim zapomnisz. Że spotkasz innych. A przy tym... masz mimo wszystko szczęście. Teraz twoja matka zgodzi się na każdego, którego byś wybrała, żeby nawet był biedny jak mysz kościelna i paskudny niczym morski potwór! Reina nie uśmiechnęła się.

- Nie będzie żadnego innego. Nigdy. Tak jak powiedział Remmermann, ja powinnam iść przez życie samotnie.

Helena oparła się wygodniej.

- Och, kochanie... on tak powiedział? Reina westchnęła ciężko.

- Tak. Ta nasza choroba... my nie powinniśmy się rozmnażać. Helena jęknęła.

- O mój Boże... cóż to za słowo? Rozmnażać się, i to w odniesieniu do ciebie! Musisz przecież zrozumieć, że dorośniesz, wyjdiesz za mąż, będziesz mieć dzieci jak wszyscy inni!

Reina pokręciła tylko głową.

- Nie. Ja wiem. Ja nie powinnam mieć dzieci. Helena nie traktowała zbyt poważnie decyzji takiej młodej dziewczyny.

Ale w oczach Reiny czaił się strach. Wstała.

- Więc i tak w tym wszystkim nie ma sensu. Matka ma rację. Nie

będę miała Arilla. Nie będę miała nikogo. Tak musi być.

- Nie, nie... mówisz tak, bo cierpisz, ja wiem. Może nawet miałaś nadzieję, że on tu za tobą przyjedzie... czy on ci coś obiecał? Czy on cię zawiódł bardziej, niż sądzimy? Wy chyba nie...

Umilkła.

Reina patrzyła na starszą kobietę tak długo, aż się zarumieniła.

- Nie, nie zrobiliśmy tego. Nie obiecaliśmy sobie też niczego. Ale... ja myślałam... nie, zresztą wszystko jedno.

Czuła, że zaraz się rozplacze. Helena przyciągnęła ją do siebie.

- Moja kochana, śliczna mała... więc on cię jednak zawiódł. To gorzej, niż myśleliśmy. O, moja kochana... to strasznie boli, ja wiem. Ale może tak jest najlepiej. Może będziesz mogła wrócić do domu razem z matką po Nowym Roku! Reina spojrzała jej w oczy.

- Ty uważasz, że on - mnie mimo wszystko nie chce?

- Nie, nie, nie o to mi chodziło. Ale skoro doszła do wniosku, że nic z tego nie będzie... twoja matka na pewno bardzo się ucieszy, kiedy jej to powiesz. Na pewno za tobą tęskni...

- Tak - Reina zaniósła się krótkim szlochem. - Z pewnością tęskni. Ale... ja nie mam siły. Nie wiem. Nie wiem nawet, czy potrafię być tu u was, nie rozmówiwszy się z nim. Muszę coś wiedzieć...

Helena przytulała ją i kołysała wolno. Dopiero po długiej chwili powiedziała:

- Obiecałam twojej matce, że nie dopuszczę, byście się spotkali. Niczego innego jednak jej nie obiecywałam. Napisz do niego, to włożę list do skrzyni, którą jutro zabiorą ze sobą ludzie lensmana. Ingall z pewnością odda mu list.

Reina popatrzyła na nią, zaniemówiła z radości.

- Naprawdę? Rzeczywiście byś chciała? O, Heleno, nigdy nie będziesz tego żałować...

- I poproś go, żeby natychmiast odpisał, to dostaniesz odpowiedź, kiedy łódź wróci do nas po Nowym Roku.

Reina zerwała się na równe nogi. Helena, potrząsając głową, uświadomiła sobie, że jednak nie będzie miała pomocnicy przy pieczeniu.

Reina pośpiesznie wyjęła nowy atrament i pióro. Nie miała papieru, tylko swój pamiętnik. Musi wyrwać kilka stron, chociaż to szkoda niszczyć tak pięknie oprawiony zeszyt.

Niecierpliwie wyrywała kartki.

Pośpiesznie wypełniała stronicę słowami.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Rosendal, podczas świąt Bożego Narodzenia

Rafael chrapał przez pół nocy i Benjamin nie mógł spać. Nowy znajomy opowiedział niezwykłą historię. Początkowo była wprost niewiarygodna, jak wymarzona na wigilijną noc. Mówiła o miłości jego zmarłej matki i pięknego Francuza, który odwiedził barona wraz ze swoją podstarzałą małżonką i jej ośmioma kuzynkami. Można było sądzić, że nieszczęsny hrabia był udręczony kobiecym towarzystwem. On jednak znalazł wytchnienie w ramionach prostej pokojówki. Niczego jej nie obiecywał, pamiętał jedynie, że przed czterema laty posłała mu spojrzenie, które mogło znaczyć tylko jedno między mężczyzną i kobietą.

Wkrótce okazało się, że pokojówka jest w ciąży. Francuz wyjechał, zanim zdążył się o tym dowiedzieć, i nigdy więcej nie wrócił. Dziewczyna, biedaczka, nie odważyła się nikomu powiedzieć o swoim stanie. Była szczupła i wysoka, udało jej się ukryć ciążę przez sześć miesięcy. Ostatecznie zdradziła się sama, gdy na widok barona, który wrócił z polowania z pięcioma martwymi zającami przytroczonymi do siodła, zaczęła rozpaczliwie krzyczeć i zemdląca.

Była bowiem pewna, że dziecko będzie miało zajęczą wargę.

Baron ocucił ją i wypytał, o co chodzi. Początkowo nie chciała nic powiedzieć. Bała się, że straci takie dobre miejsce, wołała raczej szukać śmierci w lodowatych wodach fiordu. Baron jednak pogłaskał ją po głowie, powiedział, że jest bardzo zdolną pokojówką i że nie wątpi w jej moralność. Niezależnie od tego, co się stało, może u niego zostać. Poza tym nosi przecież dziecko jego najbliższego przyjaciela. Więc i dzieckiem baron postanowił się zająć. Od pierwszej chwili...

Stało się tak, jak obiecał. I zanim chłopiec skończył szesnaście lat, zdążył się już wykształcić u znakomitego pana Meinschata w Wiedniu oraz u francuskich mistrzów. Pozwolono mu nawet pozłacać tylną część ramy do lustra, które miała otrzymać w darze sama francuska królowa.

Później podróżował dużo po świecie. Z kraju do kraju, z miasta do miasta. Nigdy nie brakowało mu pracy, bo sława jego wielkiego talentu rozchodziła się już daleko. Ostatnio przebywał na dworze rosyjskiego cara i pozłacał buduar kochanki władcy. Niestety w Rosji wciąż jest niespokojnie...

Benjamin słuchał opowieści z uśmiechem. Niektóre historie były naprawdę niewiarygodne. Rafael miał jednak rację co do jednego: znał się na swojej sztuce. Jego długie, szczupłe ręce pewnie posługiwały się narzędziami niezależnie od tego, czy pracował w zmieszanej ze złotem glinie, czy też pozłacał drewno.

- Jestem także malarzem - zwierzył się Benjaminowi tego samego wieczoru. - Spójrz tutaj... to portret mojego ojca. Namalowałem go, kierując się opisem mojej matki. Pan baron mówi, że jest bardzo podobny!

Była to miniaturka. Dość niezdarna, uważał Benjamin. W każdym razie nie mogłaby się równać z tym, co potrafił na płótnie wyczarować Ravi. Ale ramka... bardzo delikatna, wyrzeźbiona z twardego drewna i pozłocona tak, że była idealnie gładka. Bardzo to Benjaminowi zaimponowało.

Rafael pochylił się ku niemu.

- Widzisz, ja jestem dzieckiem natury. Jestem wolnym, do niczego nie przywiązany człowiekiem, który żyje i oddycha dla tego, co piękne, dla chwil radości w życiu!

Benjamin słuchał go zauroczony.

- Naucz mnie tego - poprosił bez tchu. - Jeśli czegoś mi w życiu potrzeba, to właśnie odrobiny takiej czystej radości!

Rafael roześmiał się. Wyciągnął do niego obie ręce.

- My jesteśmy braćmi, Benjaminie, jesteś moim młodszym braciszkiem, prawda?

Benjamin kiwał z zapalem głową.

- Tak! Jeśli tylko chcesz. Ja... ja cię lubię. Tamten objął go i pocałował w oba policzki. Benjamin śmiał się, wiedział, że to cudzoziemski zwyczaj. Czuł, że policzki go palą. Mężczyźni tak się nie zachowują, nie obejmują się nawzajem, kiedy popadnie! Ale Rafael śmiał się tylko z zakłopotanej miny Benjaminina.

- Ach! Ależ mi się powiodło! Nie tylko znalazłem się w domu, w którym moja matka przeżyła swoje wielkie szczęście i swoją tragedię, ale w dodatku zyskałem przyjaciela i brata! Dzięki wam, wszystkie piękne muzy, za ten dar!

Położył dłonie na sercu i przymknął oczy. Benjamin musiał się znowu uśmiechnąć.

- Ty jesteś trochę szalony, wiesz o tym?

- Ja? Trochę szalony? Chcesz powiedzieć, że nie jestem taki jak wszyscy inni?

Benjamin wolno skinął głową. Tak dobrze znał tego Rafaela zaledwie po trzech dniach, że wiedział, iż on nie poczuje się urażony takim twierdzeniem. I rzeczywiście Rafael znowu się roześmiał.

- Dziękuję ci, mój przyjacielu. Powiedziałeś mi najwspanialszy komplement na świecie. Być takim jak wszyscy inni... to chyba najgorsze,

co może się człowiekowi przytrafić. Bóg stworzył przecież nie tylko dużych, ale i małych, szczupłych i grubych, głupich i mądrych, brązowych i białych... zrobił to nie po to, byśmy rośli wszyscy tak samo niczym źdźbła trawy!

Chwytał pośpiesznie powietrze.

Benjamin śmiał się trochę nerwowo. Zamiast rozradowanej twarzy przyjaciela, ujrzał znowu ciemną twarz Aurory. Najlepiej o niej zapomnieć, jak najszybciej.

- Prawdopodobnie masz rację, Rafaelu. Prawdopodobnie masz rację... ale przecież jakieś zasady muszą istnieć. Nie możemy zachowywać się tak, jak nam się podoba!

Rafael sięgnął do swojej torby i czegoś w niej szukał. W końcu pomachał do Benjamina jakąś bardzo zniszczoną książką.

- Czytałeś to? To przeczytaj! Wtedy zrozumiesz, jak źle my żyjemy. Jak społeczeństwo nas niszczy.

Benjamin wziął książkę. Próbował przeczytać tytuł. Stwierdził, że to po francusku.

- „Umowa społeczna” - przetłumaczył Rafael z zapalem. - Napisał to wielki Rousseau. Spójrz, to też on napisał. I to... o tej książce musiałeś słyszeć!

Benjamin wolno kręcił głową. Rafael skrzywił się niezadowolony.

- Ach, ten nieoświecony kraj... ten ciemny kąt kosmosu. Naprawdę dobrze, że wróciłem do domu. Postaram się, żeby myśli tego wielkiego człowieka zostały upowszechnione również i tutaj, w siedzibie barona, w całym kraju, nie można tego powstrzymać!

Benjamin uśmiechał się.

- Więc na początek opowiedz mnie. Co myśli ten twój wielki bohater? Rafael usiadł.

- Mieszkałem przez jakiś czas w Paryżu - zaczął. - Przy jakiejś okazji trafiłem na wykład tego człowieka. Zebraliśmy się w największej tajemnicy, byli obecni przedstawiciele wszystkich warstw. I słuchaliśmy...

no, ja ukryłem się naturalnie na galerii. Ale słyszałem... o, jak jeszcze słyszałem! A potem czytałem. Reszta przyszła sama z siebie.

Opowiadał, wyjaśniał i tłumaczył, mówił o państwie, którego Benjamin nie był w stanie sobie wyobrazić. O społeczeństwie, w którym wszyscy mają równe prawa i nikt nikogo do niczego bez potrzeby nie przymusza.

- On uważa, że ludzie rodzą się wolni - mówił Rafael z przejęciem. - Są wolni po to, by godnie żyć, by robić dobre rzeczy, by dorastać i rozwijać się tak, jak postanowiła natura, ale niestety są im nakładane więzy i kajdany...

Pod tym Benjamin mógłby się podpisać.

Kajdany, różnego rodzaju kajdany. Nigdy człowiek nie może robić tego, co najbardziej by chciał.

Johanna przyjechała, ale ani słowem nie wspomniała, że Reina powinna z nią wrócić do domu w Trzech Króli. Ostatnie dni jej pobytu upłynęły w bardzo przyjemnej atmosferze, napięcie w końcu się ulotniło i było im razem bardzo dobrze. Helena i Bendik najlepiej czuli się przy dużym kuchennym stole w Meisterplassen, piękna izba używana była rzadko. Na Nowy Rok zostali zaproszeni Iver i Ranveig z rodziną, ale pokazali się tylko Kristian oraz Truls. Rodzice nie czuli się najlepiej, przed samymi świętami się poprzeziębiali. Dziewczyny zaś były na służbie, z

wyjątkiem Veslemoy, która mieszkała teraz wysoko na Jastrzębich Wzgórzach, poza tym była w ostatnich tygodniach ciąży.

Od krewnych z Sogndalsfjaeren przyszły pozdrowienia i wyjaśnienie, że w tym roku też nie mogą się spotkać z rodziną ze strony matki.

Reina podejrzewała, że Helena i Bendik najlepiej czują się sami ze sobą. Chłopcy zresztą też mieli swoje sprawy, odkąd pracowali z parobkami prawie jak dorośli mężczyźni.

Reina machała swojej matce na pożegnanie bez bolesnego uścisku w gardle, którego mogła się spodziewać. Umówiły się, że ona sama pojedzie do domu na Wielkanoc.

Kiedy łódź zniknęła za cyplem Venes, Reina odwróciła się i odetchnęła z ulgą. Wszystko by się wydało, gdyby posłaniec z Lyster przyjechał w czasie pobytu Johanny, a zwłaszcza gdyby się dowiedziała, że w przesyłce od Ingalill do matki jest też list dla Reiny.

Nic takiego się jednak nie stało, dziewczyna mogła się uspokoić i znowu zacząć tęsknić.

Z każdym dniem Reina przekonywała się coraz bardziej, że list od Arilla dałby jej pewność, której potrzebowała, by ułożyć sobie życie.

On pewnie czuł to samo co ona. Wiedział też, że oboje należą do siebie, że nic nie jest w stanie ich rozdzielić.

Nawet jej potężna, uparta matka.

Ingalill siedziała w jednym z tych dwunastu dębowych krzesel, które niegdyś Anton kazał zrobić dla swojej ukochanej Gjertrud. Ingalill nie zdawała sobie sprawy, że akurat na tym krześle siedziała Amelia jako mała dziewczynka w dniu, w którym po raz pierwszy zobaczyła małego

Benamina. I że to jest właśnie to krzesło, które Karl chwycił, by bronić malca, kiedy ojciec chciał odebrać mu życie.

Siedziała drzemiąc, po części dlatego, że w pokoju było bardzo ciepło, a po części dlatego, że zapadał zmierzch. Lubiła tutaj siedzieć, lubiła palić w tym dużym pokoju dla samej siebie. Wokół pięknego stołu było miejsce dla szesnastu osób, teraz zostały już tylko cztery krzesła, które ustawiono po jednym z każdej strony. Ingalill siedziała przy dłuższym boku, stół rozciągał się na prawo i na lewo. Nad jej głową mienił się leciutko kryształowy żyrandol.

Zjadła ostatniego cukierka.

Uśmiechała się sama do siebie i rozkoszowała słodkim smakiem.

On znowu pojechał na polowanie.

Ale wróci do domu. A wtedy ona zapoluje. Tym razem jej się nie wymknie. Tym razem starczy jej rozumu, by się jak najlepiej przygotować.

W kieszeni sukni leżał list od Reiny. Naprawdę słodki, rozpaczliwy, krótki liścik. O, nie, nie powiedziała w nim zbyt wiele. Nie dała się ponieść żadnym gwałtownym wyznaniom. List zawierał jednak wystarczająco dużo, więcej niż dość. Bóg łaskaw, że nie wpadł w jego ręce. Znacznie lepiej, że zamiast tego Arill musiał się zadowolić powściągliwymi pozdrowieniami zawartymi w liście Heleny, w którym tamta donosiła, że Reina ma się dobrze, i jeśli za kimś tęskni, to za matką i paniami z Zamku Marji.

Ingalill wpatrywała się w prawie pusty kieliszek. W kryształowych ściankach oraz w czerwonym winie odbijała się jej twarz.

Czy to nie tak było z Nostradamusem, czy on też nie widział swoich

wizji na dnie naczynia z winem? A może to była miska z wodą?

Wpatrywała się tak długo, aż wzrok jej zmętniał. Może teraz coś jej się ukaże, choćby jeden jedyny raz... ma przecież w żyłach krew ojca tak samo jak Reina...

Niezależnie od tego jak bardzo się starała, nie widziała nic oprócz rozmazanej czerwonej mgły.

Ingalill roześmiała się cicho. Nie ma czym się przejmować. Są inne sprawy. Właściwie to już odniosła zwycięstwo.

W głębi duszy Arill też musiał to wiedzieć. To jego Ingalill będzie mieć. Zanim nadejdzie dzień, w którym skończy się opieka Gjerta, ona musi mieć go w swoich rękach!

Zachichotała głośniejsz. Znowu dotknęła listu. Potem wyjęła go z kieszeni, zmięła mocno, przemieniła w twardą kulkę i cisnęła ją do pieca. Zdobycz gwałtownie pochwyciły żółte płomienie, strzeliły w górę, a po chwili opadły, zostawiając po sobie jedynie garstkę szarego popiołu.

Wstała z miejsca, przeciągnęła swoje piękne ciało, czuła, że wino ją oszołomiło dostatecznie mocno, by zniosła towarzystwo męża również dzisiejszego wieczoru. Szumiało jej w głowie na tyle, że potrafi umieścić inną twarz w miejsce twarzy Gjerta, zamknie oczy i podda się fantazjom.

Dzisiejszej nocy będzie się kochać z obrazem Arilla.

A jutro... kto wie... on ma zwyczaj wracać do domu na niedzielę niezależnie od tego, z jak wielkim zapałem ściga te głupie zwierzęta, żeby je ustrzelić, zanim stracą zimowe futro.

Nie naprzykrzała mu się. To zresztą nie było konieczne. List ułożyła starannie, nietrudno było podrobić pismo Reiny. Sam podpis dziwnie przypominał jej własny, trochę zamaszysty, z lekkim zawijasem przy

literze R.

Przeczytał pewnie ten list wiele razy. Przyglądała mu się uważnie, ale nie zauważyła żadnej reakcji. Wyjeżdżał z innymi na polowania jak zawsze, przy posiłkach siedział na swoim miejscu, jadł dużo i z apetytem.

Widocznie już całkiem o tamtej zapomniał.

To dobry znak, że list nie wytrącił go z równowagi.

Wkrótce czas dojrzeje.

Czuła coraz bardziej gorączkowe pulsowanie w całym ciele.

Gjert nabrał zwyczaju wczesnego chodzenia do łóżka i najczęściej zasypiał, zanim ona zdążyła się położyć. Ha, stary dziad ma widocznie dość. Może zresztą zorientował się, że nie jest odpowiednim dla niej mężczyzną. Nieraz przecież wykrzykiwała mu gniewnie nad uszami, kiedy w środku całej sprawy opadał ciężko na nią i kończył. Bał się wtedy, myślał, że jego pożądanie ją przeraża.

W końcu jednak zaczął spoglądać na nią ze smutkiem i powiedział, że czuje się winien. Nie jest jej wart. Zapomniał, że kobiety odczuwają inaczej i nie mają takich cielesnych potrzeb jak mężczyźni.

Ona zaś z pełnym łagodności uśmiechem pozwala mu w to wierzyć.

Czuła jednak pulsowanie pod skórą.

Już niedługo, niedługo... bo jeśli nie, to zwariuje.

Podczas mszy ostatniej niedzieli złapała się na tym, że wbija oczy w pastora, a w jej głowie krążą nieprzystojne myśli. Nie był odrażającym mężczyzną ten cały Daae. Miał szczupłe ręce, palce mogły być czułe, a zarazem śmiałe, gdyby im pozwolić... prawie odczuwała ich dotyk na swojej skórze. Pomyśleć, jakby to było, gdyby wbiła zęby w jego wygolony podbródek, oplotła jego ciało nogami, słyszała, jak dyszy i z

trudem chwyta powietrze, całkiem zapomniawszy o swojej ślicznej żonie i dzieciach, którymi się tak szczycił...

Ingalill zachichotała sama do siebie. Chyba zwariowałam! Muszę być strasznie zdesperowana i wygłodzona, jeśli widok tej chudej postaci w czarnej sutannie budzi we mnie takie uczucia!

Nie, naprawdę najwyższy czas...

Dzisiejszego popołudnia miał pójść do Dosen, żeby odebrać zapłatę za ostatnie skóry. Chciała wybrać się tam z nim. Prosiła, by wzięli powóz, mogliby zrobić małą wycieczkę i rozejrzeć się po okolicy.

Mogliby przy okazji porozmawiać.

Powinien się powoli przyzwyczajać do myśli o tym, co musi się stać.

Ingalill weszła na strych, gdzie wciąż przybywało nowych ubrań, spódnic i butów, które zamawiała u kupca i krawcowej.

Wybrała rdzawy, obcisły kostium, którego spódnica miała na biodrach dość grube poduszeczki, umieszczone pod kilkoma warstwami materiału. W talii zakiet był mocno dopasowany, opinał i podkreślał kształt piersi. Kolor stroju bardzo dobrze pasował do koloru jej włosów, właściwie zlewał się w jedno i zwracał uwagę na jej ostro zielone oczy.

Powinna też spryskać się lawendowymi perfumami.

Powinna zadbać, by Gjert wieczorem zaprosił Arilla jak w każdą sobotę do swojego kantorku, w którym solidnie popijał.

Przystąpiła do dzieła. Klęła i wymyślała, gdy kostium nie chciał się porządnie zapiąć w talii. Wciągała powietrze i zagryzała wargi, aż pobielały. Nareszcie!

Trochę ostatnio przytyła, głównie na biodrach. Kostium jednak opinał kształty, nadając biodrom piękny łuk. Kiedy zdjęła ciasny czepek

mężatki, włosy rozsypały się na ramiona. Pośpiesznie zwinęła jeden kosmyk i wsunęła pod wstążkę kapelusza tuż przy uchu.

Ułożyła jak trzeba mały kapelusik i przypięła go srebrną szpilką.
Tak!

Kręciła głową, cmokała, przyglądała się sobie uważnie w lustrze.

Policzki miała zaróżowione, oczy lśniły, a skóra, której fragment widniał w wykończonym koronką wycięciu ubrania, była aksamitna i bardzo pociągająca.

Arill nie miał szans. Jest przecież młodym mężczyzną, pełnym tęsknot!

W majątku barona wiosna pojawiła się niczym eksplozja barw i zapachów. Stare mury z szarego kamienia, które otaczały marzenie Ludwiga Rosenkratza zostały pomalowane na białe wapnem. Ów młody człowiek, który odziedziczył zamek, spędzał cały swój czas na studiach, ale poczciwy Marcus Gerhard Londemann miał zdolnego zarządcę w osobie lejtnanta Segelcke. Zachowywał się niczym pan domu, pilnie strzegł powierzonych sobie skarbów. Poprawki i dekoracje, które młody właściciel zarządził, mają być gotowe, zanim on z początkiem sierpnia wróci do domu. Grupa pracujących tu rzemieślników nie miała ani chwili czasu do stracenia.

Nareszcie jeden wolny dzień!

Benjamin uznał, że zapach bazi wierzbowych i brzoźowych, które obsypały drzewa tworząc jakby przezroczyste zasłony, jest taki sam jak w jego rodzinnych stronach. To go może trochę pocieszyło, w każdym razie noce stały się krótsze i łatwiejsze. Majster zaraz po Bożym Narodzeniu przeniósł się do głównego domu, zamieszkał na górze, nad skrzydłem dla

służby, gdzie znaleziono mu pomieszczenie, w którym było mniej przeciągów. Mimo wszystko majster miał swoje lata i należało go szanować. To on bowiem rysował wzory, to on wykańczał trudniejsze prace. Benjamin wiedział jednak, że on także mógłby to robić. I będzie robił, pewnego dnia, kiedy czas dojrzeje.

Rafael dbał, by godziny odpoczynku były niemal tak samo radosne jak czas pracy. Benjamin bowiem nie miał nic przeciwko temu, by stać z dłutem, nożem i papierem ściernym w rękach od momentu, gdy się obudził, aż do chwili, gdy było już za ciemno, by pracować. Teraz krzywił nos, jeśli majster okazywał zbyt wiele zapału i gonił ich do roboty w długie wiosenne wieczory.

Rafael wiedział tak wiele.

Tak, większość z tego, co opowiadał, Benjamin znał już z lektur. Co innego jednak rozmawiać z człowiekiem, który naprawdę wiele widział. Z kimś, kto dokładnie oglądał piękny zamek w Wersalu. Z kimś, kto przyglądał się kopule na bazylice Świętego Piotra w Rzymie, i kto wędrował pod pięknymi korynckimi kolumnami klasycznych budowli. Z kimś, kto pewnego razu słuchał samego Rousseau; wprost trudno to sobie wyobrazić.

I Rafael malował to wszystko przed oczami Benjamina w pięknych, żywych barwach. Tak długo rozpałał w nim iskrę, aż Benjamin uznał, że nie byłby w stanie spędzić całego życia w tym małym kraju, który powinien nazywać się Norwegia i rządzić się sam.

Rafael zabierał go na krótkie wycieczki wokół posiadłości barona. Znał kobietę, która prowadziła gospodę nad jeziorem. Znał też różne chichoczące młode dziewczyny, jedną z nich Benjamin pamiętał z kuchni,

w której jadali swoje posiłki razem ze służącymi. Podobno zarządca domu czasami zapraszał majstra do swojego stołu. Mówiono też, że obiecał mu bardzo dobrą zapłatę za pracę, jeśli wyrzeźbi również głowice kolumn w wielkiej, białej sali balowej, które wymagają odnowienia.

Benjamin prawie przestał myśleć o Aurorze.

Ale ona wciąż pozostawała gdzieś w głębi jego duszy i gdy pewnego wieczoru Rafael nieostrożnie dotknął jego najskrytszych marzeń, Benjamin rzucił się na przyjaciela z wściekłością.

Rafael długo się potem nie odzywał. Benjamin zapamiętał ten epizod jako mętne wspomnienie, jakby to wszystko stało się po pijanemu albo we śnie.

Przez wiele dni Rafael pozostawał milczący i jakby nieobecny.

Benjamin przestraszył się. Czy to tak łatwo zyskać przyjaciela i zaraz potem go utracić?

Kiedy luty się skończył i nastał marzec, Rafael znowu jakby odtajał, stopił się niczym zasy śniegu za stajnią. I tej pięknej, wolnej niedzieli przyszedł do Benjamin, by zapytać, czy nie mogliby zrobić prawdziwej odkrywczej wyprawy po skąpanej w słońcu okolicy.

Benjamin uśmiechnął się.

Ręce i nogi miał po zimie i bardziej umięśnione, i sprężyste. Zwłaszcza prawa ręka w wyniku nieustannej pracy zrobiła się silniejsza, twarde mięśnie rysowały się pod skórą. Czuł się zdrowy i silny, zgodził się więc radośnie, tak, oczywiście, świetny pomysł!

Serca spokojnie pompowały krew do żył, kiedy szli drogą, każdy ze swoim węzełkiem jedzenia na ramieniu. Rafael znowu w jakiś niezwykły sposób zdobył pyszne zapasy: zimny, pieczony drób, gotowaną cielęcinę,

suszone winogrona i jabłka, spory kawałek posmarowanego masłem, miękkiego podpłomyka i dwie pajdy ciemnego, kwaśnego chleba. Tak jest, Benjamin był coraz bardziej pewien, że dziewczyna kuchenna ryzykuje swoje miejsce dla czarującego Rafaela.

On jednak kwitował to śmiechem.

- O, nie, nigdy bym jej tego nie zrobił! Mam swoje sposoby na zdobycie prowiantu. Pamiętaj, że ja się tutaj urodziłem! Czyż nie mam prawa do odrobiny nędznego niedzielnego jedzenia? Zapewniam cię, Benjaminie, pan gotów jest zrobić dla mnie więcej, niż na to wygląda.

Benjamin znowu się uśmiechnął, wiedział, że Rafael, mówiąc pan, nie ma na myśli Pana Boga.

- Opowiedz mi więcej o swojej matce. I o ojcu. Czy to bardzo bogaty szlachcic? Skąd pochodzi? Czy jeszcze żyje? Spotkałeś go kiedyś? Pewnie twoimi braćmi są książęta!

- Oczywiście! Tak naprawdę jest. Jeden z moich braci ożenił się z księżniczką Saary. Inny z braci jest radcą na dworze francuskiego króla i ożenił się z hrabianką. Moja jedyna siostra, ech, powinieneś ją zobaczyć, jest śliczna niczym anioł, nie chce wyjść za mąż. Dowiedziałem się, że to wielkie zmartwienie dla mojego ojca. Ona ma na imię Emerald, powinieneś ją kiedyś spotkać! Oczarowałaby cię, jestem tego pewien!

Benjamin spojrział w bok i przełknął ślinę. Wiosna utraciła odrobinę swego blasku.

- Ja... nie sądzę, żeby tak się stało - rzekł cicho. Rafael przystanął, zdawał się teraz nasłuchiwać całym ciałem.

- Ona jest piękna - powiedział wolno. - Chyba lubisz piękne kobiety? Benjamin przymknął oczy i skinął głową, ale to był błąd. Znowu oczyma

duszy ujrzał Aurorę, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, poczuł szum w uszach.

- Ja... ja się nigdy nie ożenię - rzucił gwałtownie. Zdawało się, że powietrze między nimi zgęstniało. Benjamin zdawał sobie sprawę z tego, że Rafael też to zauważył. Przyjaciel podszedł bliżej i położył mu gorącą rękę na ramieniu.

- Ruszajmy dalej - zaproponował cicho. Benjamin wyprostował kark, cieszył się bardzo, że nie padły żadne pytania. Rafael stał się naprawdę bliskim przyjacielem, jemu Benjamin mógłby opowiedzieć całą tę gorzką historię. Ale gdyby ją raz komukolwiek powierzył, byłoby mu jeszcze ciężiej żyć.

Znaleźli jakąś ścieżkę, która, wijąc się, wiodła ich w górę.

- To jest Muradalen - wyjaśniał Rafael. - Wejdziemy na samą górę aż do wodospadu. To Hattebergfossen!

Wspinali się spokojnie. Na samym szczycie przy wodospadzie rozciągał się przed nimi niewiarygodny widok.

Benjamin patrzył z zachwytem.

Szczyty gór miały jeszcze na sobie czapy śniegu, poniżej jednak hale mieniły się świeżą zielenią. Tu i tam pojawiały się już kolorowe kwiaty, a jezioro rozciągało się lśniące, tak połyskliwie zielone, że aż oczy bolały.

- Chodź - rzucił Rafael. - Znam jedno takie miejsce. Naprawdę niezwykle, tylko że to dosyć długa droga. Jesteś zmęczony?

Benjamin potrząsnął głową. Ale Rafael wyjął prowiant, uznał, że najpierw należy coś zjeść.

- Kiedy się tak siedzi i patrzy, to aż dziwne, że niektórzy uważają, iż świat został stworzony, by radować tylko garstkę ludzi. Ze wszystko to

przeznaczone jest tylko dla tych, którzy budują sobie zamki w zapomnianych małych wioskach...

Benjamin zmarszczył brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Źe wszystko jest nie tak jak trzeba - rzekł Rafael wolno. - Źle, bardzo źle, wszyscy ludzie powinni żyć tak, jak panowie.

Benjamin oparł na kolanach rękę trzymającą chleb.

- Nie wiem, czy dla wszystkich wystarczyłoby miejsca, ale rozumiem, o co ci chodzi. Chcesz powiedzieć, że nie powinno być na świecie biednych ani żyjących w niewoli. Bo przecież ziemi jest pod dostatkiem dla wszystkich...

- Czy wiesz, ile ziemi należy do tej posiadłości? Wystarczająco, by wykarmić tysiące ludzi! A tymczasem to wszystko służy tylko jednej rodzinie. Czy to sprawiedliwe?

Benjamin nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Zgadzał się z Rafaelem, tylko dlaczego oczy przyjaciela pałały takim gniewem? Siedział i wpatrywał się w urodzajny krajobraz, we wszystkie piękne zabudowania, i przypominał sobie kuszenie Jezusa z Nowego Testamentu, kiedy to Szatan pokazywał Mesjaszowi cały świat i namawiał go, by sobie to wziął.

Po odpoczynku Rafael zerwał się na równe nogi.

- W przyszłą niedzielę wybierzemy się do Skalafjellet. Łatwo się tam dostać! I pójdziemy do Malmangernuten, jeśli zdołasz! W każdym razie pokażę ci miejsca w Omshaugen. Pewnego razu część góry zwała się na dół. Teraz w osypisku można znaleźć najdziwniejsze jaskinie i kryjówki.

Pochylił się ku przyjacielowi.

- Pokażę ci „Kościół”. Niełatwo tam trafić. To jest wielka grota,

ludzie mówią, że po reformacji odprawiano tam nabożeństwa ku czci świętych. Tak, nawet jeszcze prawie słychać śpiew utrwalony w ścianach...

Benjamin uśmiechnął się.

- Założę się, że tutaj także straszy! Rafael wybuchnął śmiechem.

- Oczywiście że nie! Ale ludzie gadają, że młode dziewczęta przychodzą tu nocami, kiedy nie świeci księżyc. Mówi się, że dzieją się tutaj... widywano wchodzące do grotty i wychodzące z niej ubrane na biało kobiety. Zbierają różne rzeczy, na podstawie których wróżą sobie w sprawie swoich przyszłych mężów!

Rafael wstał, wyciągnął ręce. Słońce mieniło się w jego złocistej skórze i oszołomiony nieoczekiwanie gorącymi promieniami słońca, zrzucił koszulę, wykrzykiwał coś radośnie.

Benjamin słyszał echo jego krzyków odbijające się od gór.

- Naprawdę jesteś szalony - śmiał się trochę skępowany.

- Oczywiście, że jestem! To właśnie czyni życie wartym zachodu, Benjaminie. Odrobina szaleństwa! Chodź, spróbuj ty także. Krzycz tak głośno, jak tylko możesz!

Benjamin spoglądał w stronę zagród. Widzieli kręcących się tam ludzi. Nabożeństwo w kościele musiało się już dawno skończyć.

- Oni nas usłyszą - powiedział cicho. Rafael znowu się roześmiał.

- No to co? Niech słyszą, że wiosna przyszła. Krzycz! Benjamin złożył ręce w trąbkę i przytknął je do ust, przymknął oczy, zakręciło mu się w głowie od tego wszystkiego. Poczul rozsadzającą piersi radość, dającą mu siłę i odwagę. Wciągnął głęboko powietrze i wydal z siebie przeciągły krzyk, który unosił się wysoko w górach. Rafael, zaskoczony,

zrobił krok do tyłu. Potem roześmiał się.

- Merde, długo musiałeś oszczędzać siły, prawda? Obaj rzucili się ze śmiechem na ziemię. Po policzkach Benjaminu turlały się łzy. Kiedy udało mu się nareszcie okiełznać śmiech, leżał na plecach na wilgotnej darni i słyszał pod sobą szum wodospadu.

- Dziękuję - powiedział spokojnie. - Chyba oddałeś mi wielką przysługę, Rafaelu.

Ciemnowłosego młodzieniec zachował powagę.

- Jeśli chcesz, mogę oddać ci więcej takich przysług - rzekł spokojnie. Jego oczy przyciągały do siebie wzrok Benjaminu.

Impulsywnie wyciągnął przed siebie rękę.

- Ty... jesteś taki inny. Cieszę się, że cię spotkałem. Wiele mnie uczysz, każdego dnia... na Boga, mam nadzieję, że zawsze będziemy przyjaciółmi.

Twarz Rafaela pozostała milczącą, piękną maską. Odpowiedział jednak Benjaminowi uściskiem dłoni.

Meisterplassen

Pod koniec marca śnieg zaczął spływać z hal, ostatnie mrozy opuszczały ziemię. Bendik cieszył się głośno z pięknej pogody, zaczął orać pola, kiedy jeszcze leżał na nich śnieg. Zboże powinno wykiełkować zaraz po Wielkanocy!

Ale w środę przed Wielkim Tygodniem znowu wrócił mróz i zaczął padać śnieg, wyjazd do Lyster trzeba było odłożyć, ponieważ ostry wiatr gnał po fiordzie wielkie, szare fale.

Reina była spokojna.

Dzień wcześniej, czy dzień później, to nie ma znaczenia. Nie

otrzymała żadnej odpowiedzi i już to samo jest wystarczającą odpowiedzią.

Niedługo wróci do domu i powie Johannie, że miała rację pod każdym względem.

Mrużył oczy, jechał bowiem pod wiatr zacinający śniegiem, widział brzozy kulące się w wyniku nieoczekiwanej zmiany pogody. Tutaj nad fiordem jeszcze mało kto rzucił ziarno w ziemię, a cienkie źdźbła trawy i uschłych kwiatów łamały się pod ostatnią, rozpaczliwą ofensywą zimy.

Koń źle znosił pokrywę zlodowaciałego śniegu, ślizgał się i parskał przestraszony.

Mimo to jechali dalej.

Dotarli aż do Marifjora i posuwali się w górę do Hafslø. Tam zastała ich noc, znaleźli dach nad głową w jakiejś zagrodzie koło kościoła.

Kolejny dzień minął na przebijaniu się pod wiatr brzegiem fiordu oraz na jeździe w dół ku Kvam. Był blisko celu, ale znajdował się po niewłaściwej stronie fiordu.

Korciło go, by wynająć łódź stąd, nie chciał jednak przybywać tak otwarcie. Miał uzasadnione podejrzenia, że Helena złożyła Johannie konkretne obietnice.

Dopiero czwartego dnia poprosił o pomoc i został przewieziony łodzią przez fiord. Na tamtym brzegu wynajął nowego konia u gospodarza z Loftesnes i posuwał się dalej w stronę Eidet.

Wielokrotnie musiał zsiadać i prowadzić zwierzę. Nie było tu przetartej drogi dla koni. Dzikie bezdroża, śliskie skały i niemożliwe do pokonania osypiska kamieni. Ciągnął nieszczęsną szkapę za sobą, wybrał szlak wysoko nad brzegiem i w końcu stanął zdyszany, miał przed sobą

widok na małą zagrodę.

Po podwórzu chodzili ludzie.

Rozpoznał ją natychmiast, gdy tylko wyszła zza węgla obory, niosąc jakieś zawiniątko.

Arill usiadł zmęczony na oblodzonej pniu. Akurat w tym miejscu wiało chyba najgorzej, widział drzewa przewrócone przez wiatr, nagie skały i szerokie koryta strumieni. Wielkie drzewa leżały połamane niczym gałązki.

Siedział i przyglądał się jej. Gdyby podniosła wzrok, to może by go zobaczyła?

Ubrany był na ciemno i miał szarą czapkę. Koń stał ukryty za wielkim głazem i odpoczywał osłonięty od wiatru. Nie, nie rozróżniłaby jego sylwetki na tle tych szarości i śniegu. Nawet gdyby mrużyła oczy, spoglądając na skały, to i tak widziałaby tylko niebo ponad jego głową.

Jęknął. Masował obolałe mięśnie ud. Nie był przyzwyczajony do takiej wspinaczki, nie przywykł zresztą do takich długich konnych wypraw. Schodzenie w dół będzie pewnie jeszcze cięższym doświadczeniem. Ale sprawa warta jest tego. Uśmiechnął się pod nosem, widząc, jak Reina pochyla się na podwórzu, żeby pogłaskać kota.

Rozpuszczone włosy powiewały na plecach, miała wełnianą czapkę naciągniętą na uszy, ale i tak czarna grzywka niczym zasłona spływała na czoło. Dostrzegął, że ma na sobie niebieską suknię. Na ramiona narzuciła brązową chustkę, ale jej nie zawiązała. Czy ona nie marznie?

Poczuł ciepło w sercu. Uspokoilo się po wielkim wysiłku, mimo to wciąż słyszał jego głucho uderzenia.

Dziewczyna przyciągała go do siebie. Miał wrażenie, że wsysa w

siebie jego krew, tak jak księżyc przyciąga ku sobie wszystkie morza na świecie.

Wstał. Za parę godzin zapadnie zmrok. Trzeba zejść na dół, znaleźć odpowiednie miejsce i czekać, aż wieczór będzie się powoli przemieniał w noc. Pojęcia nie miał, co mógłby jeszcze zrobić. Nie znał jej zwyczajów, nie wiedział, czy to ona wychodzi do obory, żeby po raz ostatni spojrzeć na zwierzęta, zanim wszyscy położą się spać. Domyślał się jednak, że Reina tak zrobi. W każdym razie dzisiejszego wieczoru. Pamiętał jej delikatny uśmiech. Ten mądry, a zarazem pełen lęku uśmiech, który mówił mu, że Reina wie.

Reina wiedziała tak wiele.

Wcale by go nie zdziwiło, gdyby już teraz wszystko przygotowała, powiedziała Helenie, że musi wyjść, żeby zobaczyć, czy któreś ze zwierząt nie zachorowało, albo dojrzeć nowo narodzonego cielęcia. Z lekkim sercem ruszył w dół. Ślizgał się i przewracał, na szczęście trafiło mu się dojrzale zwierzę, szczerze mówiąc, stara chabeta. Najwyraźniej przywykła do tego rodzaju wędrówek, ściągnęła chyba do domu z dzikich gór wiele ubitych reniferów.

Zwierzę posuwało się za nim ostrożnie, z wahaniem. Raz przewróciło się i wtedy serce zamarło w Arillu: co by to było, gdyby koń złamał nogę? Czy będzie musiał używać noża? Ale zwierzę otrząsnęło się tylko i wstało na nogi, posyłając mu pełne wyrzutu spojrzenie. Gdyby koń teraz zarżał, zostaliby odkryci.

Ale wszędzie panowała cisza. Wkrótce zaczął zapadać zmierzch, tak jak Arill oczekiwał. Tym razem zmierzch przychodził jako przyjaciel.

Było zimniej, niż przewidywał. Jakby mrok sam w sobie zawierał

chłód. Przez całą drogę starał się utrzymać suche ubranie, ale spodnie z tyłu i kurtka na ramionach były mimo wszystko przemoczone. Gdyby naprawdę miał pecha i musiał czekać na próżno, to pewnie mokre ubranie zamarłoby wokół ciała niczym lodowy pancerz. A wtedy byłoby z nim krucho...

Nie.

Ona na pewno przyjdzie. Kręciło mu się w głowie, ale nie miał najmniejszych wątpliwości. To oczywiste, że Reina przyjdzie!

- Wyjdź no, Reina, i zobacz, co się tam dzieje. To przecież może być lis.

Rozpaczliwe kocie wrzaski sprawiły, że wszyscy domownicy zgromadzeni pod lampą i zajęci różnymi pracami, podskoczyli. Bendik miał przed sobą rząd wystruganych z drewna zębów do grabi, polerował je teraz, a synowie mu pomagali. Helena robiła na drutach coś z żółtej włóczki. Reina próbowała skoncentrować się nad kolejnym listem, tym razem do brata Benjamina. Mieszkał teraz w majątku barona i pewnie oczekiwał wiadomości od niej. Bardzo go jej brakowało, bardziej niż sądziła. Nie rozmawiali już od tak dawna.

Ale atrament nie chciał układać się na papierze, może był zbyt wystudzony. W każdym razie słowa wychodziły niezdarne.

Reina wstała.

Ona również słyszała te jakieś rozpaczliwe wrzaski. Zdarzało się już przedtem, że dzikie koty przechodzące obok ich zagrody wdawały się w bójki z wojowniczym domowym kocurem, zwanym Uszatkiem. Była to potężna bestia, ważył mniej więcej tyle co roczne dziecko, na obiad chętnie zjadał upolowanego przez siebie zająca. Miał zwyczaj rozprawiać

się z wędrownymi zwierzętami, które przeważnie były chude, wyniszczone parchem i dawniejszymi bójkami.

Tym razem wrzaski powtarzały się raz po raz.

Reina pospiesznie wyszła na dwór. Pewnie jakiś lis zakradł się do zagrody. A z tymi smukłymi, zręcznymi złodziejaskami nawet Uszatek mógł nie dać sobie rady.

Zaczęła wołać kota, głośno, krzyki umilkły.

Wieczór był wystarczająco jasny, by mogła dostrzec dobrze znany cień pod brzozą. Uszatek!

Przywoływała go. Widocznie nie spotkał lisa. Siedział sobie teraz spokojnie i tylko pomiaukiwał.

- Ty głupi zwierzaku! Przestraszyłeś nas! A ty siedzisz tu i wrzeszczysz na widok skór, które wywiesiliśmy do wysuszenia! Wracaj do domu, kici, kici...

Arill postąpił krok naprzód. W jej twarzy nie dostrzegł ani odrobiny zaskoczenia. Patrzyła na niego, poprzez niego, i uśmiechnęła się tylko ostrożnie. Potem znowu zaczęła wabić kota.

No więc dobrze, a więc nareszcie jest tak, jak sobie wyobrażała.

Tak jak w wyobraźni pod gałęziami brzozy zamajaczyła jej postać Arilla. Tyle razy sobie to przedstawiała, tak długo, że w końcu widzenie pojawiło się, choć akurat dzisiaj wcale o nim nie myślała. Minęło wiele sekund, zanim uświadomiła sobie, że to nie żadna zjawą, lecz rzeczywistość. I nawet kiedy wyciągnęła do niego rękę i mogła go dotknąć, głowa wciąż jeszcze nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co serce już uznało. Arill przyszedł!

- O, drogi przyjacielu... jesteś tutaj...

On skinął głową. Jej ręka trwała przy jego policzku jak przyklejona. Nie cofnęła jej nawet wówczas, kiedy on lekko potrząsnął głową. Czowała, że policzek jest wilgotny i zimny, mimo to płynęło z niego ciepło.

Bez słowa oplótł ją ramionami. Reimę wstrząsnął szloch. Jeszcze nigdy przedtem się do niego nie przytuliła. W każdym razie w rzeczywistości. Z sercem w gardle próbowała znaleźć jakiś sposób, by odwzajemnić jego uścisk.

- Ja wiedziałem - mruknął. - Mimo wszystko ty ode mnie nie odjechałaś. Przytuliła głowę do jego piersi.

- Więc mimo wszystko odpowiedziałeś. Kiwał głową z przejęciem.

- Jeśli to prawda, że o mnie myślałaś, to ja słyszałem twoje myśli. I przecież musiałem odpowiedzieć.

Uśmiechnęła się. Zaczynała pojmować, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Arill lekko drżał, poprzez cienką wełnianą suknię czuła, że jego ubranie jest mokre. Sama nie narzuciła nawet chustki na ramiona.

Odsunął ją odrobinę od siebie i patrzył jej w twarz.

- Twoja matka... Z wahaniem położyła mu palec na wargach. Poczowała, że jego wargi są popękane i przemarznięte.

- Ona wie.

Przytaknął skinieniem. Znowu ją objął, mocno, bardzo mocno. Jej twarz znalazła się teraz przy pulsującym naczyniu krwionośnym na jego szyi. Kręciło jej się w głowie, nigdy jednak nie czuła się taka bezpieczna.

Należą do siebie. Jego ramiona o tym wiedzą, trzymają ją tak, że ani żelazo, ani ogień nie byłyby w stanie rozerwać uścisku.

Złożyła dłonie na jego karku i wiedziała, że za nic nie chce ich

rozdzielić.

Poruszyła się w chwili, gdy cienki głos zawołał w mrok:

- Reina! Co się dzieje, czy Uszatek jest ranny? Przelykała ślinę wiele razy, a potem krzyknęła w odpowiedzi. Aż dziw, że jej głos brzmiał tak jak zwykle. Może trochę drżał, ale można to złożyć na karb zimna.

- Nie, nic się nie stało! Jest cały i zdrowy. Widziałam lisa, mieliście rację. Przegoniłam go do lasu, zaraz wracam!

Chłopiec wrócił do domu, żółty krąg światła padającego z drzwi zniknął. Popatrzyła na Arilla bezradnie.

- Musisz się ogrzać. Marzniesz. Jak się tu dostałeś? Ukryłeś gdzieś łódź?

- Przyjechałem konno - odparł. - Myślałem, że tak będzie najlepiej. Ale mój koń potrzebuje trochę siana. Mam derkę, będzie mu pod nią ciepło.

Reina wskazała na stajnię.

- Wejdz do środka, konia weź ze sobą. Nasza mała klacz nie będzie protestować, tak sądzę. Chodzi w zaprzęgu z obcymi końmi i nawet nie mrugnie. Uśmiechnął się. Nie spuszczał oczu z jej twarzy.

- Reina, ja... ja tak się cieszę... Odwzajemniła uśmiech.

- Ja także, Arill. Jutro... Skinął głową.

- Jutro. Czekala, wahała się akurat przez ten ułamek sekundy, który wystarczył, by on odważył się pocałować ją na dobranoc.

Jej usta drżały, kiedy dotknął ich swymi splekanymi wargami. Długo jechał na mrozie, wargi miał poranione. Ale pod spierzchniętą skórą czuła delikatne ciepło. To ciepło, które ją także ogrzewało. Całe ciało zdawało się topnieć pod wpływem pocałunku, teraz Arill nie przyciskał jej już tak

bardzo do siebie, ona jednak zamknęła oczy i rozkoszowała się jego bliskością. Kiedy głośno wciągnął powietrze, dotknęła wargami kącików jego ust. Zesztywniał. Ona końcem języka badała stwardniałe blizny.

Przesuwała wargi po całej jego twarzy, jakby pieczętowała ją pocałunkami, zwłaszcza ten pokryty bliznami policzek. Dotykała krótkiego, lekko kłującego zarostu, skóra na twarzy Arilla napinała się, jakby prosiła o jeszcze.

Kiedy dotarła do wypukłej blizny nad okiem, musiała wspiąć się na palce, ale wyżej nie mogła już sięgnąć.

Arill jęknął głęboko i znowu mocno ją do siebie przygarnął.

Czuła jego oddech przy swoim uchu.

- Reina, Reina... Mówił, jakby zbierało mu się na płacz. Ona podzielała jego ból, nie odzywała się jednak, nie było nic więcej do powiedzenia. W końcu on się uśmiechnął.

- Jutro. Skinęła głową. Teraz łatwiej było jej odejść, skoro mogła ze sobą zabrać obraz jego twarzy.

Helena słyszała zgrzyt zamykanego skobla przy drzwiach i zamknęła oczy. Reina wróciła do domu. Potrzebowała widocznie chwili samotności. Może poszła do ciepłej stajni, tak jak Helena robiła wielokrotnie tysiące lat temu. Wśród uśpionych zwierzęcych ciał doznawała zawsze pociechy, czuła się bezpieczna.

Tej dziewczynie nie jest chyba lekko. Teraz może tęsknota za matką nie dokucza jej już tak bardzo, chyba się nawet nie złości, że została odesłana z domu.

Najbardziej musi ją boleć zdrada tego młodego mężczyzny. Była przecież pewna, że on będzie o nią walczył. Może nawet jej to obiecał.

A tymczasem nawet nie odpowiedział na list.

Helena poszukała po omacku ręki męża.

- Reina jest już w domu.

Bendik burknął coś, najwyraźniej zasypiał.

Helena przytuliła się do niego, położyła głowę na jego ramieniu. Uśmiechała się sama do siebie. Ze wszystkich błogosławieństw, jakie spływają na mężczyzn, tego zazdrościła im najbardziej.

Tego mianowicie, że mogą spać beztrosko i mocno, oddalić od siebie wszelkie zmartwienia dnia i zgasnąć niczym świeca, gdy tylko ciało jest wystarczająco zmęczone.

Mimo wszystko jednak Bendik jest przy niej. Zawsze był blisko, nawet jeśli pogrążał się we własnych snach i pochrapywał cicho niczym dziecko.

Kroki Reiny po podłodze. Szelest ubrania, które starannie wieszała. Plusk wody, gdy myła ręce w miednicy koło kuchni. I w końcu skrzypnięcie łóżka. Ciche westchnienie.

Helena zamknęła oczy.

Reina zasługuje na lepszy los. Arill Storlendet to nie jest ten mężczyzna, którego Helena wybrałaby dla niej. Może jest silny i dobrze zbudowany, posiada ziemie i dwory, ale jest jakiś taki ponury. Małomówny. Zawsze jakby nieobecny, a zarazem groźny niczym rozgniewany niedźwiedź.

Reina potrzebowałaby kogoś bardziej rozmownego. Kogoś, kto potrafiłby zrozumieć nawet coś, co trudne jest do pojęcia.

Kogoś takiego jak jej Bendik! Pewnego niczym opoka, dającego poczucie bezpieczeństwa, a jednak pogodnego, radośnie spoglądającego

na świat. I kogoś, kto potrafi zasnąć w każdych okolicznościach.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wielkanoc 1765

Johanna była bardzo rada. Dobrze jest widzieć, jak Reina pochyla się nad małą dziewczynką, dobrze jest słyszeć jej głos, pocieszający chore dziecko. Dobrze czuć zapach lawendy, kiedy mija pośpiesznie krzesło matki, by przynieść dla chorego dziecka ciepłej wody z dodatkiem jałowca i czosnku.

Dobrze jest też wiedzieć, że nie ma już pretensji. Widzieć przed sobą jej głęboko niebieskie, czyste, lśniące oczy i słyszeć, jak mówi, że bardzo tęskniła za własną matką. I że chciałyby mieć spokój.

Jakby w ogóle stąd nie wyjeżdżała, kiedy wróciła do domu we wtorek przed Wielkanocą, odstawiła swoje rzeczy i natychmiast zajęła się trojgiem chorych ludzi leżących w izbie. Jedną z nich była dziewczynka z Feigum, której zrobił się wielki wrzód w gardle. Obok leżała kobieta, która skaleczyła sobie rękę, spadła bowiem ze strychu i trafiła na porzuconą kosę.

No i był jeszcze stary Werner Grepstad z Bjorketun, którego każdej wiosny przywożono do Vildegard z zaropiałymi oczyma, obolałym gardłem i wielkimi problemami z oddychaniem.

Reina opiekowała się małą dziewczynką, która od pierwszego spojrzenia uznała ją za swoją najlepszą przyjaciółkę.

Śmiały się teraz obie, naprawdę ta mała się śmiała, chociaż musiała mieć bolesną ranę po operacji, którą Johanna przeprowadziła poprzedniego dnia.

- Reina, myślę, że służące na nas czekają. Chodź, zjemy coś. Przyszła natychmiast. Uśmiechała się szeroko, chodziła po izbie lekkim,

niemal tanecznym krokiem.

Naprawdę była szczęśliwa, że jest znowu w domu.

Johanna poczuła, że rozrasta się w niej spokój. A więc jednak wszystko poszło dobrze. To znaczy, że postąpiła słusznie.

Kiedy później wieczorem Reina pochyliła się nad matką i uściskała ją, Johanna zamknęła oczy, czuła bowiem, że zaraz popłyną jej łzy po prostu z ulgi.

- Tak cię kocham, mamo. Pamiętaj o tym, cokolwiek by się stało.

- Oczywiście, że mnie kochasz - szepnęła Johanna wzruszona i pogłaskała córkę po policzku.

- Jesteś dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Jeśli nawet padną między nami jakieś złe słowa, to one i tak nie mogą niczego zmienić!

Reina kiwała głową z bladym uśmiechem.

- Mamo... czy możesz mi wybaczyć? Johanna potrząsnęła głową.

- Nie mam ci czego wybaczać. To tylko takie wydarzenie. Taka... mała pomyłka. Dziewczęta w twoim wieku, popełniają gorsze błędy, moja kochana.

Reina wpatrywała się w podłogę. Johanna jednak trzymała ją czule za rękę.

- Jutro będziemy się bawić, prawda? Jutro są chrzciny u pastorostwa... Reina uśmiechnęła się pośpiesznie. To właśnie jutro ma się stać. Nie potrafiła znaleźć żadnego sposobu, żeby matkę na to przygotować.

Dlatego postanowiła być po prostu dobra i życzliwa, spowodować, by Johanna uznała, że nie mogą się rozłączyć na resztę życia. Są przecież matką i córką.

Helena rozglądała się uważnie po dużej izbie. Kurz w kątach. Żyrandol aż się prosi, żeby go wyczyścić wodą z octem. Nikt od dawna nie wybierał popiołu z pieca, chociaż paliło się jeszcze dobrze. Duży stół jadalny został nakryty cienutkim adamaszkowym obrusem, na którym widniała wielka plama. Nie prano go chyba od czasu stypy po pogrzebie, który odbył się w lutym. Magnus Storlendet rozstał się w końcu ze swoim nędznym życiem.

Ingalill nie jest doświadczoną gospodynią. Tyle jednak powinna wiedzieć. To wstyd, że nikt nie wysprzątał domu przed Wielkanocą. Czy służące w Storlendet robią, co chcą pod rządami młodej gospodyni? Czy Ida już całkiem zrezygnowała z wszelkiej odpowiedzialności? Helena zmarszczyła czoło.

Córka jednak przywitała ją okrzykami radości, poza tym wygląda znakomicie. Helena nie mogła się powstrzymać, by nie przyjrzeć się specjalnie dokładnie jej talii. Czyżby się na coś zanosilo? Czy brzuch nie rysuje się wyraźniej niż zazwyczaj pod suknią?

Nie pytała jednak o nic, a kiedy przy obiedzie widziała, że córka zajada z apetytem ociekającą tłuszczem wieprzowinę, wyzbyła się wszelkich podejrzeń. Żadna kobieta na świecie nie byłaby w stanie jeść czegoś takiego, nosząc dziecko pod sercem. Gjert był jakiś milczący.

Uśmiechał się jednak przyjaźnie do młodej małżonki i pogłaskał ją po rękę, kiedy opowiadała zabawną historię.

- Tylko zaczekajcie! Zobaczycie, co się będzie działo podczas wiosennego tingu! Bo Nils z Heimlendet przysięga, że postawi przed sądem kobietę, która urodziła jego dziecko, będzie zabiegał o przyznanie mu ojcostwa, którego ona mu odmawia! Możecie w to uwierzyć? Ci głupi

mężczyźni walczą o wstyd!

Bendik mruknął, że nie widzi w tym niczego zabawnego. Helena jednak uśmiechała się.

- My zostaniemy tutaj do końca tingu. Zawsze można się dowiedzieć tyle nowego. Przyjadą pewnie muzykanci i mnóstwo obcych. Bendik, zostaniemy, prawda? Syn Ivera zajmie się naszym gospodarstwem. Możemy na nim polegać!

Bendik znowu coś wymamrotał. Rzucił pośpieszne spojrzenie na Arilla, który podczas całego posiłku nie odezwał się ani słowem. Chłopak wyglądał na zamyślonego. Nie żeby był smutny, ale jakby zamknięty w sobie i w ogóle dziwny. Może wciąż oplakuje ojca, choć utracił go właściwie przed wieloma laty. No, ale to jednak przeżycie, kiedy słyszy się, że ziemia uderza o trumnę i stary, szalony człowiek będzie spoczywał na wieki.

Arill ma prawo siedzieć w milczeniu. Ma prawo do ponurego nastroju. Ale że nie odpowiada na wprost zadawane mu pytania Ingalill... i że wzruszy! obojętnie ramionami, kiedy wuj próbował go nakłonić do opowiadania o polowaniu?

Bendik jadł twardy kawałek mięsa. Żuł go i żuł, popijał piwem. Radosny szczebiot Ingalill zaczynał go męczyć.

Co takiego jest w tej dziewczynie, że on się zawsze w jej towarzystwie czuje nie najlepiej? Siedzi oto przy stole, zaokrąglona i pewna siebie, odgrywa rolę gospodyni. Gjert najwyraźniej dobrze się nią opiekuje, a uśmiechy, które ona mu posyła, sprawiają wrażenie szczerych.

Skąd więc bierze się to napięcie, ten nieprzyjemny nastrój?

Popatrzył na swoich synów. Nawet oni siedzieli grzecznie i ładnie

jedli z porcelanowych talerzy.

Twarz Heleny jednak nie wyrażała żadnej troski, matka podziwiała córkę, że tak pięknie przystroiła stół suszonymi kwiatami, ułożonymi w emaliowanym naczynku.

Ingalill musiała się pochwalić.

- To Gjert mi kupił ten wazonik, bo taki sam widzieliśmy u majora. Prawda, Gjert, że u majora siedzieliśmy przy stole na honorowych miejscach?

Gjert potwierdził z przyjaznym uśmiechem.

- O, mammo, nie uwierzyłabyś, jak oni pięknie mieszkają! To najładniejszy dom, jaki widziałam. Ładniejszy niż Zamek Marji, naprawdę! Mammo, taki dom kiedyś sobie zbuduję!

Bendik zauważył, że Gjert wpatruje się w kufel z piwem.

Widocznie nie zapominał ani na moment, w jakiej sytuacji się znajduje. Musiało go niepokoić, że młoda żona nie pamięta, iż cały ten dobrobyt został im jedynie pożyczony. Że ów ciemnowłosy, młody mężczyzna obok Heleny wkrótce dojdzie do pełnoletności.

Odchrząknął i uniósł kufel. Lubił piwo, ale nie odmówił, kiedy Ingalill z dumą wniosła butelkę kosztownego wina.

- Za zdrowie nas wszystkich i za spokój w okresie świąt. Potakiwali i wypili. Ingalill śmiała się przejęta.

- I za przyszłość! Szturchnęła męża w bok niepotrzebnie tak mocno. On podniósł się niepewnie i raz jeszcze napełnił kieliszki.

Arill odwrócił głowę. W tej chwili Bendik dostrzegł iskrę w powietrzu między nim a Ingalill.

Serce podeszło mu do gardła.

Nie potrafiłby określić, jakie to uczucia łączą tych dwoje młodych, w każdym razie nie takie, jakich można by oczekiwać między mężczyzną i żoną jego wuja.

- Nie, nie możesz - powiedziała po prostu. W jej oczach czaił się śmiech. - Wiesz równie dobrze jak ja, że to niemożliwe. Boże drogi, człowieku, czyś ty całkiem zwariował? Myślałam, że już wylizales się z tej choroby. Czy ty nie rozumiesz, że ona cię nie chce? Czy ty nie umiesz czytać, Arill?

Przyglądał się jej spod zmrużonych powiek.

- Co masz na myśli, Ingalill? Może ty czytałaś ten list? Słowa, które wypowiedziałaś, pochodzą od Reiny...

Ingalill głośno wciągnęła powietrze. - Ja...

Potem wpiła w niego spojrzenie i uśmiechnęła się krzywo.

- Przyznaję, zrobiłam to. Twój wuj... uznał, że najlepiej będzie się temu przyjrzeć. Na wszelki wypadek. Martwimy się o ciebie, mój drogi. Nie chcielibyśmy, żebyś wdał się w coś głupiego.

Arill wciąż się w nią wpatrywał. Co jest w tej kobiecie, która zwabiła go i wywiodła na straszliwe bezdroża? Która go uwiodła, oślepiła tak, że pewnego ranka, o którym najchętniej by zapomniał, obudził się z jej nagim ciałem u swojego boku?

Po tym już nie dawała mu ani chwili spokoju.

Nie wiedziała, że on mógłby teraz dziękować jej za to, co mu zrobiła. Długo dręczyły go straszne wyrzuty sumienia, sam siebie karał za zdradę. Bo odczuwał to jako zdradę. Może i Reina wyjechała od niego bez słowa. Może i niczego mu nie obiecywała. Ale w głębi duszy Arill jednak wiedział, że myśli i czuje tak samo jak on.

To przeżycie z Ingalill sprawiło, że wyruszył w drogę mimo bardzo złej pogody.

Uśmiechnął się cierpko do siedzącej naprzeciwko niego kobiety.

- Należą ci się podziękowania, Ingalill. Gdyby nie to... gdyby nie twoje sztuczki, to bym pewnie do niej nie pojechał. Wciąż bym myślał, że to tylko moje marzenia i wymysły. Ale teraz już wiem.

Ona sama mi o wszystkim opowiedziała. Więc dziękuję ci, moja kochana macocho. Ingalill zbladła.

Powtórzyła jeszcze raz tych parę słów, które wysyczała, kiedy on opowiedział jej, że jutro, podczas chrzcin u pastorostwa, zamierza na oczach wszystkich poprosić Johannę Vildegard o rękę jej córki.

Ingalill długo dyszała ciężko, gniew ścisnął ją za gardło. Nie mogła jednak pozwolić, żeby zrozumiał, jak się rzeczy mają. Nie mogła zbyt wyraźnie reagować na jego oświadczenie. On nie może wiedzieć, że Ingalill bardzo się boi takiego obrotu spraw.

Nie mogła też pójść za własnym instynktem, rzucić się na niego, bić i szarpać, całować i gryźć, dopóki nie zrozumie, że to z nią powinien się ożenić. Że to ona zbuduje dla niego piękny dom, że go przystroi jak nikt inny, że będzie panował nad wszystkimi domami w okolicy.

Istnieją inne sposoby, żeby go przymusić.

Lepsze sposoby.

Uśmiechnęła się lekko.

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć, zanim to zrobisz, kochany Arillu. Czy pamiętasz tę noc, którą spędziliśmy razem? Otóż ma ona następstwa, mój przyjacielu. Poważne następstwa...

Arill zmarszczył brwi.

Ona kontynuowała beztrosko, gładziła ręką piękne rzeźby na biurku swego męża.

- Gjert... on by z pewnością był zachwycony. Gdyby nie to, że nie tknął mnie od Bożego Narodzenia...

Arill jęknął.

Poczuł, że wielki kamień przygniata jego bijące z trwogą serce.

- Kłamiesz! Znowu kłamiesz, ty rozpustnico! Tym razem to ona zmarszczyła brwi.

- Jakich to słów używasz, Arillu? - rzekła cicho i łagodnie. - Nie możesz w ten sposób nazywać żony swego wuja. Gospodyni tego domu! Chcesz, żebym poszła na skargę do lensmana? Żebym opowiedziała mu, jak mnie zmusiłeś? Że twój nieszczęsny wuj wolałby raczej śmierć niż słyszeć to, co mam do powiedzenia, ale chciał uchronić cię przed wstydem i dlatego o niczym nie wspomniał?

Arill wybuchnął:

- Nikt ci nie uwierzy w takie fantastyczne historie, Ingalill! Nie masz nade mną żadnej władzy!

Podeszła do niego wolno.

- Będę miała dziecko, Arillu. Ty jesteś ojcem. Nie wiesz, co to oznacza? Kiedy Gjert pod przysięgą będzie musiał oświadczyć, że mnie nie tknął... kiedy ty również pod przysięgą będziesz musiał przyznać, że spaliśmy ze sobą akurat w czasie, kiedy dziecko zostało poczęte... będziesz miał dziedzica, Arillu. To będzie twój dziedzic. Dziedzic tego dworu rozwija się właśnie w moim brzuchu!

Jeszcze odrobinę ściszyła głos.

- O, tak, mam władzę. Jestem matką twojego syna... mam tyle

władzy, ile tylko zechcę.

Arill opadł na krzesło. Kręcił głową, w oczach mu pociemniało. Jakąż to ponurą przyszłość przepowiada mu ta kobieta. Ingalill podeszła do niego od tyłu, lekko potargała mu włosy. Zadrżał pod jej dotknięciem.

- Ale masz szczęście, Arillu. Ja bowiem nie chcę mieć dziecka. Nie teraz. I nie chcę twojego dziecka. Nie chcę być gruba i brzydka, opuchnięta. Nie chcę narażać się na śmierć w położu... jestem za młoda, Arillu. Zbyt młoda, by dźwigać ciężę, by już pewnie nigdy nie przeżyć radosnego dnia. A więc unikniesz konsekwencji. Możesz nawet oświadczyć się o moją ukochaną, przyrodnią siostrę. Najpierw jednak musisz mi pomóc...

Spojrzał na nią oszołomiony.

- O czym ty mówisz? W zamyśleniu cmoknęła wargami.

- Musisz mi pomóc. Chyba rozumiesz? Musisz zdobyć coś dla mnie, Coś, co... wybawi mnie z tego kłopotu. Jeśli Reina naprawdę cię kocha, to z pewnością da ci to. Ja wiem, że szafy w Vildegard pełne są tego rodzaju proszków.

- Nie - szepnął gorączkowo. - Ona nigdy, nigdy czegoś takiego nie zrobi.

- Czy ona ciebie nie kocha? Odpowiedział jej krótkim spojrzeniem. Ingalill wzruszyła ramionami.

- A czy ty byś tego nie zrobił dla niej? Arill siedział w milczeniu. Za coś takiego karą jest śmierć. Kogoś, kto zabił płód, nie tylko się wiesza, lecz także karze utratą całego majątku. Wszystkich, którzy pomagali w tym przestępstwie, spotyka taki sam los. Zwłaszcza ojca dziecka, jeśli przyczynił się do usunięcia płodu.

- Dla niej... zrobiłbym wszystko - wykrztusił ochryple. Ingalill uśmiechała się zadowolona.

- Otóż to! W takim razie załatwione. Wszystko, co musisz zrobić, to poprosić ją o odpowiednią pigułkę. Słyszałam, że istnieją lekarstwa, które rozwiązują tego rodzaju problemy szybko i sprawnie, kobieta nie ryzykuje, że wykrwawi się na śmierć.

Posłał jej ponure spojrzenie. Ujrzał ją na moment przed sobą bladą, martwą. Przeniknął go zły dreszcz. Nie rozpaczałby po jej śmierci. Ingalill chodziła po pokoju i nuciła cicho.

- Dobrze, że jesteśmy zgodni co do tego - powiedziała zadowolona. - Szczerze mówiąc, nie wiem, co bym zrobiła bez tego lekarstwa. I wiesz co, poproś o trochę więcej. Na wszelki wypadek... nigdy nie wiadomo.

Arill zerwał się z krzesła, przebiegł przez pokój, chociaż w oczach mu ciemniało.

Jednej rzeczy był absolutnie pewien.

Reina nigdy by się na coś takiego nie zgodziła. Nigdy nikomu nie wspominała o tych nieszczęsnych kobietach, które po kryjomu przychodzą do Vildegard, nikt jednak we wsi nie mógł mieć wątpliwości, co Johanna myśli o takich sprawach: sama przecież postawiła przed sądem pewną kobietę, która prosiła ją o tego rodzaju truciznę, a później sama próbowała ukraść lekarstwo w szpitaliku.

Reina ma niewątpliwie równie jasne poglądy.

Arill wybiegł na pole, jak najdalej od domu i śledzących go oczu. W naciągniętej mocno czapce usiadł w końcu i próbował zastanowić się, co teraz robić. Jutro mają się spotkać. Wiedział o tym, choć się nie umawiali. Ona też jest zaproszona na chrzciny do pastorostwa, przyjdzie tam razem z

matką.

Ostatni raz widział ją, zanim wyjechał z Meisterplassen, wcześniej rano. Ustalili, że przy pierwszej nadarzającej się okazji poinformują Johannę o tym, co zamierzają.

Reina powiedziała wówczas, że powinien mieć zaufanych towarzyszy przy sobie, a najlepiej by było, gdyby mieszkańcy całej wsi byli świadkami jego rozmowy z Johanna.

Uzgodnili też, że przed nikim się nie zdradzą, dopóki nie nadejdzie właściwa chwila. Dzięki temu Helena uniknie nieprzyjemności. I wszystko musi wydarzyć się tak szybko, żeby ludzie opowiedzieli się po którejś ze stron, zanim wysłuchają Johanny.

Za Johanna nie stoi prawo, nie może im zabronić małżeństwa, jeśli tylko świadkowie potwierdzą, że oboje młodzi są dojrzałi do małżeństwa, oboje są zdrowi i odpowiadają za siebie.

Dojrzałi do pożycia małżeńskiego... cóż to za obrzydliwe określenie na te sprawy, o których on nawet nie miał odwagi myśleć. Jak mógłby sobie wyobrazić dotyk nagiej skóry Reiny, przytulanie się do niej, gdy ona będzie mu szeptać do ucha dobre słowa, jej silne ramiona, takie pełne życia... kiedy obejmowały go przy pożegnaniu.

Tęsknota była zbyt wielka, by miał odwagę dalej marzyć. Wiedział jednak, że ona także tęskni. I że uwolnią się od tęsknoty oboje dopiero wtedy, kiedy kapłan ich pobłogosławi i nic już nie będzie w stanie ich rozdzielić.

Czułość zalała mu serce.

Nikt tego nie powstrzyma. Ani Johanna, ani nawet podstępna Ingalill.

Naprawdę wszystko mogło się ułożyć jak najgorzej.

Dziecko, które dojrzeła pod sercem tamtej rudowłosej kobiety, nie ma prawa do życia. Zostało poczęte w wyniku nieszczęścia, w oszołomieniu, które jego ojcu odebrało pamięć. Ludzie mówią, że dzieci poczęte w upojeniu alkoholowym rodzą się kalekie, lub nie rozwijają się tak, jak trzeba. Miał wątpliwości, czy dziecko, które dorasta pod takim złym sercem, mogłoby zrobić dla świata coś dobrego.

Niech Ingalill działa, jak jej się podoba.

On jej w niczym nie pomoże, bo musiałby poczucie grzechu dźwigać przez całe życie. Karą za pomoc byłaby śmierć. Jednak urodzenie tego dziecka to gorsze niż śmierć. Być ojcem dziecka tej kobiety, a w dodatku może się jeszcze okazać, że to chłopiec. Chłopiec, który odebrałby cały majątek tym wielu synom, które Arill zamierzał spłodzić z Reineą.

Teściowa pastora Daae z dumą trzymała dziecko w ramionach. Przystrojona francuskimi koronkami i jedwabnymi wstążkami mała główka była prawie niewidoczna. Chłopczyk miał piękne, niebieskie oczka. Arill poczuł lekki skurcz żołądka. Czy to nowo narodzone dziecko przyprawia go o drżenie? Czy naprawdę by mógł?

Próbował sobie wyobrazić Ingalill z dzieckiem w ramionach. Z dzieckiem, które ma jego ciemne włosy, albo jeszcze gorzej: jej płomiennorude. Widział uśmiech na jej twarzy. Widział, że podaje mu małego potworka. Rączki dziecka wyciągają się ku niemu, chwytają go, trzymają... odpędzają Reineę. Nie.

Reina siedziała obok matki w pokoju, w którym zebrały się kobiety. Mężczyźni zostali zaproszeni na koniak i cygara do gabinetu pana domu.

Nie miał odwagi napotkać jej spojrzenia.

Wiedział jednak, że ona czeka.

A kiedy wreszcie opiekunka dziecka weszła do pokoju panów, by ojciec ucałował na dobranoc maleńkiego synka, spostrzegł, że Reina także przemknęła się do dziecinnego pokoju. Wkrótce niania wyszła stamtąd sama. Wtedy on wstał, obejrzał się pośpiesznie. Nikt chyba nie zauważył, że Arill zniknął.

Panowie śmiali się i rozmawiali głośno, błękitny obłok dymu unosił się pod białym sufitem.

Reina siedziała przy łóżeczku dziecka i nuciła cicho. Palcem dotykała ust maleństwa. Zaciskały się pod jej dotykiem niczym pączek róży. Widział, że Reina się uśmiecha, jakby z tęsknotą. Drgnęła, kiedy zobaczyła, że on stoi w drzwiach.

- Arill...

Szeroki uśmiech rozjaśnił jej twarz. Widząc to, Arill poczuł ucisk w gardle. Reina wstała lekko i podeszła do niego. Pocałowała go delikatnie, musiał się jej przytrzymać, żeby się nie przewrócić.

- Nareszcie - wyszeptała. - Teraz już nie będziemy dłużej czekać, mój kochany... Mam w torbie wszystko, bez czego nie mogę się obyć. Będziesz mógł mnie zabrać do domu dzisiejszego wieczoru, jeśli ona mnie odtrąci...

Arill w milczeniu skinął głową.

Ależ będzie skandal. Johanna nienawidzi takich rzeczy. Może nawet bardziej niż ludzi ze Storlendet.

Należy mieć nadzieję, że tak jest. Był jednak rad, że Reina przygotowała się na najgorsze. Oczy mu lśniły.

Patrzył na jej spokojną twarz i nie mógł pojąć, że ta dziewczyna tak

bardzo go kocha. Tak bardzo i mocno, że gotowa jest zerwać z własną matką. Odetchnął powoli.

Dziecko w pozłaczonym łóżeczku popiskiwało jak mały kociak.

Reina podeszła do niego, wzięła je delikatnie na rękę. Malec natychmiast się uspokoił w jej objęciach. Ona uśmiechnęła się delikatnie. Zamknęła oczy, smutny skurcz przebiegł przez jej twarz. Czy ona tęskni za własnym maleństwem?

Czy ona też widuje w marzeniach otaczającą ich gromadkę dzieci?

Podszedł ostrożnie, dotknął srebrnego dzwoneczka położonego przy haftowanej jedwabiem poduszce dziecka.

- Co o tym myśleć, Reino... niektóre dzieci rodzą się w wielkim przepychu. Tymczasem inne... innym bardziej by się rodzice przysłużyli, gdyby ich w ogóle nie sprowadzali na ten świat.

Posłała mu takie gorące spojrzenie, że umilkł i zeszywniał.

- Nie! Wszyscy posiadają największe bogactwo, samo życie! A więc powiedziała to, co chciał usłyszeć. Modlił się w duchu, by jej czyste oczy nie wyczytały z jego warg więcej, niż wyraził.

- A jeśli urodzenie dziecka kosztuje inne życie? Jeśli życie matki jest zagrożone przy porodzie... pewnie się to nieraz w Vildegard zdarzało?

- Oczywiście, że się zdarzało. Ale nigdy ani ja, ani mama nie zapomnialiśmy o tym, co należy robić i co jest ważne. Spójrz na tego malca! Spójrz mu w oczy! Każdy, kto patrzył w oczy nowo narodzonemu dziecku, wie, że to Bóg je zesłał. Mimo wszystko!

Arill uśmiechnął się niepewnie. Pochylił się i wciągał w siebie zapach tego obcego dziecka. Zapach lawendy.

Trudno było powiedzieć coś więcej.

W gruncie rzeczy przez cały czas wiedział wszystko.

A więc jest sam w tej sprawie z Ingalill. Trudno będzie utrzymać to w tajemnicy przed Reimą, ale musi spróbować.

Gra toczy się o bardzo wysoką stawkę.

O całe życie, o to wszystko, bez czego ona także nie potrafiłaby istnieć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Po jedzeniu towarzystwo zaczęło przysypiać. Panie siedziały w różowym pokoju i sęczyły słodką, mocną kawę z porcelanowych filiżanek pastorowej. Podano też małe ciasteczka na tacy i kawałki cukru oblewane czekoladą. Mężczyźni palili cygara lub fajki w drugim pokoju i pastorowi język już się zaczynał plątać po tych wszystkich toastach za zdrowie malca.

Wtedy weszła pokojówka i oznajmiła, że ktoś domaga się z nim rozmowy.

Pan Daae wrócił, mamrocząc ciche przekleństwa i poinformował małżonkę, że musi wyjechać. Wdowa z Laa leży na łożu śmierci i życzy sobie księdza.

- Obiecała swój majątek kościołowi. Nie mogę ryzykować, że zmieni zdanie. Posłaniec mówi, że lensman już przybył. Moja śliczna Charlotta, muszę ruszać.

Johanna wstała.

- Myślałam, że jej się poprawiło. Dostała bardzo dobre lekarstwo i prosiłam, by służące nie paliły tak bardzo w jej izbie. Tam po prostu jest gorąco jak w łaźni! Jadę z tobą, panie Daae. Może nie jest z nią tak źle i będzie można zapobiec...

Pastor odchrząknął niezadowolony.

- Pani Johanno, nie sądzę... wrócimy dopiero koło południa. To zbyt męcząca podróż. Zresztą zamierzałem jechać wierzchem...

- Oczywiście! Jadę z panem. Ja też potrafię utrzymać się w siodle! Ta nieszczęsna kobieta nie skończyła jeszcze pięćdziesięciu lat. Nie powinna się tak poddawać.

- Pozwól pani Johannie towarzyszyć sobie - powiedziała Charlotta cicho i pogłaskała delikatnie męża po ramieniu. - W przeciwnym razie ludzie pomyślą... tak, sam wiesz. Zabierz ją ze sobą.

I pastor się zgodził. Przyniósł z kantoru Pismo Święte, zawiesił na szyi duży srebrny krzyż na łańcuchu, wziął brewiarz.

Johanna powiedziała wszystkim do widzenia, Reinę poinformowała, że może tu zostać, jak długo zechce. Niedługo pani Charlotta będzie paniom grać na swojej pięknej harfie.

Reina poczuła wielki ciężar w sercu. No i nie udało się. Czekwała cierpliwie, podczas posiłku, podczas wszystkich przemówień, i potem, kiedy podano kawę. Arill jednak wciąż siedział w towarzystwie innych mężczyzn. Kiedy on zamierzał zwrócić się do Johanny?

A teraz jest po prostu za późno. Mignęła jej twarz Arilla, kiedy Johanna przechodziła przez tamten pokój. Zorientowała się, że on rozglądał się za nią. Popatrzył jej w oczy. Jego spojrzenie było spokojne, oczy płonęły ciepłym blaskiem.

Skinął jej nieznacznie, ale ten leciutki ruch zawierał w sobie obietnicę.

Nie bądź niespokojny, pomyślała. Trzeba to po prostu na trochę odłożyć.

I uśmiechnęła się do niego. On wchłaniał jej widok tak łapczywie, że serce zaczęło mu mocniej bić. W końcu jednak musiał odwrócić wzrok. Reina była zadowolona. Arill odczuwa to samo co ona. A w takim razie niczego nie można zniszczyć.

Ujęła kruchą filizankę i opróżniła ją. Na dnie została warstwa cukru. Charlotta wezwała pokojówkę, ubraną dzisiaj w czarną sukienkę i biały

fartuszek. W domu pastorstwa pokojówki były czymś więcej niż zwykłymi służącymi. Gadano, że piękna pani pastorowa przywiozła ze sobą własną garderobianą. I nikt zresztą nie widział małej Emeraldy na polu podczas żniw czy też na drodze do studni po wodę.

Tak pewnie żyło się w majątku Kaupanger, i tak chciała żyć Charlotta jako żona pastora w Lyster. Emeraldą podawała kawę, zajmowała się ubraniami pani i myła jej piękne włosy. Prawdopodobnie to ona też tak pięknie bandażowała piersi i talię Charlotty zaraz po urodzeniu, że teraz pastorowa była znowu szczupła jak przedtem.

- To musi być wielkie obciążenie, być małżonką pastora. Chciałam powiedzieć, że w każdej chwili może się zjawić posłaniec...

Charlotta uśmiechnęła się spokojnie.

- To obowiązek jak każdy inny. Dla sługi Pana każdy posłaniec jest błogosławieństwem.

Reina skinęła głową.

- Rozumiem. Ale sama muszę powiedzieć, że wiele razy żał mi mamy, kiedy musi w środku nocy wychodzić na wiatr i mróz.

- Twoja mama jest także w pewnym sensie służebnicą pańską. Nie wiem, co bym zrobiła bez niej...

Pozostałe kobiety kiwały głowami.

- Tak, Johanna z Vildegard jest bardzo zdolna. Toteż cieszy się wielkim szacunkiem. Och, niejedna kobieta dawno gryzłaby ziemię, gdyby nie słuchała jej rad!

Uśmiechały się to jedna, to druga.

- Jest co prawda surowa, ale też bardzo mądra. Wiele z nas zawdzięcza jej życie. Tak, wiele kobiet z tej okolicy.

Kobiety potakiwały zgodnie. Potem jedna z nich pochyliła się ku Reinie, była to Hildegard, która wyszła za mąż za najstarszego syna Hammarsbo.

- Wiesz, Reina... ludzie gadają, że twoja matka nie chce więcej widzieć córki twojego ojca. Ponieważ wyszła za mąż do Storlendet. Bo to znaczy, że przeszła na drugą stronę.

Reina patrzyła kobiecie prosto w oczy.

- O niczym takim nie wiem. Siostra nic mi nie mówiła! Kobieta zarumieniła się.

- O, przepraszam... zapomniałam... myślałam, że... Reina pomogła biedaczce:

- A w ogóle uważam, że ludzie za dużo gadają. Myślę, że wszyscy będą się mogli wkrótce przekonać, iż dawne czasy należą do przeszłości. Wszystko co się stało... pewnego dnia musi zostać pogrzebane.

Panie zgromadzone przy małym stoliku uśmiechały się z ulgą. Jedna z kobiet oblizwała wargi i wygłosiła cytat z „Listu do Rzymian”:

- Pan powiada: zemsta należy do mnie! Ja oddam. Reina objęła palcami filiżankę i zmusiła się do uśmiechu.

- Moim zdaniem powinniśmy częściej czytać słowa Jezusa. O tym na przykład, że jeśli ktoś uderzy cię w prawy policzek...

Charlotta załamała rękę.

- Moje drogie panie! Nie możemy tak siedzieć i roztrząsać teologicznych problemów. To już lepiej zaśpiewajmy. Emeraldą przygotowała harfę w błękitnym pokoju. Proszę za mną, drogie panie!

Podnosiły się, niechętnie odwracając wzrok.

Akurat teraz zaczynało być interesująco! Kto wie, z czym

wygadałaby się Reina, czego dowiedziałyby się o tej sprawie, gdyby młoda kobieta pozwoliła się sprowokować?

Jej zarumienione policzki były bardzo wymowne.

I czyż nie rzucała ukradkowych spojrzeń do pokoju panów, kiedy mijała tamte drzwi?

Tak, tak, w plotkach zawsze jest jakieś ziarno prawdy.

Reina z Vildegard i Arill Storlendet po raz pierwszy spotkali się na weselu Gjerta. Całe swoje życie spędzili w tej małej miejscowości i nigdy nie zamienili ze sobą ani słowa. To naprawdę podniecające! To jasne, że wszystkie panie były bardzo zaciekawione.

Splatały ręce i wymieniały wymowne spojrzenia.

Pani Johanna będzie musiała walczyć. To chyba jedyna istota, która może się przeciwstawić jej woli: córka Reina o głęboko osadzonych oczach, pełna niezwykłych pomysłów.

Teraz siedziała wyprostowana na kanapce i nie odrywała oczu od wąskich dłoni pastorowej. Dźwięczne tony pieściły ucho. Tylko że śpiew kobiet prawie zagłuszał piękną muzykę.

Skorzystał z okazji, że woźnica poszedł po konia. Reina stała przy powozie i wdychała świeże powietrze. Pokoje na plebanii pełne były gęstego dymu cygar.

- Ona chyba naprawdę musiała jechać - powiedział cicho. Reina spojrzała na niego. Zapragnęła rzucić mu się w ramiona i niech się dzieje co chce. Nie chciała wracać do domu sama, bez tego szczęścia, na które czekała, a które miało na nią spłynąć tego popołudnia.

- Wróci dopiero jutro - wyjaśniła. Arill oddychał pośpiesznie. Zamierzał prosić ją o wybaczenie, a tymczasem właściwie ona prosi jego.

- Pójdę z tobą - rzucił zdyszany. - Reina, nie mogę pozwolić, żebyś tak po prostu odeszła. Teraz.

Uśmiechnęła się.

Nigdy przedtem nie widziała go w stanie takiego rozgorączkowania. Miała wrażenie, że on się trochę boi. I że jest zły. Ale najbardziej stęskniony.

Tak jak ona.

Marzyła o tym dniu od chwili, gdy spotkali się w Meisterplassen. W jej fantazjach rozgrywało się to wydarzenie na najróżniejsze sposoby. Od szarpaniny między nim a matką, trwającą aż do rezygnacji Johanny, kiedy stwierdzi, że ci dwoje podjęli poważną decyzję. Wzięła Arilla za rękę.

- Chodź ze mną. Dziś wieczór. Jeśli chcesz, możesz u nas zanoćować. Wtedy... wtedy ona nie będzie już miała wyboru.

Nawet nie mrugnął, kiedy pojął, co Reina proponuje.

Nie jest to zbyt przebiegłe, ale może to jedyna możliwość. Przecież oboje o tym myślą. Tylko jaki honorowy mężczyzna zgodziłby się tak zhańbić własną narzeczoną?

Przymknął oczy i starał się zapanować nad swoim głosem.

Jej proste słowa sprawiły, że tłumiona tęsknota wybuchnęła w nim wielkim płomieniem.

- Przyjdę. Później. Reina drżała. Woźnica kłął gdzieś koło stajni, wkrótce na dziedzińcu rozległ się stukot końskich kopyt.

- Tak, przyjdź - rzekła pośpiesznie. Arill zniknął za węglem. Czowała, że całe ciało ją pali, nogi nie chciały jej dźwigać, uginały się pod nią, pierś rozsadzała rozkoszna świadomość: on przyjdzie. Zobaczy go na progu własnej izby. Będzie mogła wpuścić go do środka, kiedy służące już

posną. Będzie patrzyła, jak on siedzi na ławie, na której siadywał jej ojciec. Będzie jadł jej chleb i najlepsze masło jej matki doprawione cudzoziemskimi przyprawami.

A potem...

Wprost nie była w stanie oddychać. Nie ma już drogi odwrotu.

Czuł się, i to pod wieloma względami, jak złodziej, kiedy skradał się w stronę Vildegard. Przyszedł piechotą, tak jest łatwiej. Nikt nie powinien go widzieć. To sprawa między nim, Reiną i Johanna.

Nie sądził nigdy, że się na to odważy, gdyby konieczność go nie zmusiła.

Trzeba w jakiś sposób spowodować, by z nim porozmawiała. By mógł przedstawić jej swój punkt widzenia. Wiedział, gdzie są przechowywane lekarstwa: w tej dużej narożnej sali w izbie chorych.

Ludzie opowiadali o dziwnych zapachach, jakie płyną z tej szafy, o pięknych szklanych butelkach i słoiczkach, w których Johanna przechowuje swoje czarodziejskie środki. Ludzie mówili też, że znakuje te naczynia łacińskimi słowami. Ze trzyma tam nie tylko suszone rośliny...

Reina chętnie mu pewnie opowie. Nawet jej do głowy nie przyjdzie, że on pyta z jakiegoś innego powodu niż z czystego zainteresowania dla tych spraw, które mimo wszystko są połową jej życia.

I może wtedy nadarzy się jakaś szansa. Może kiedy ona zaśnie...

Arill jęknął. Poczul pieczenie w gardle. Żołądek się burzył, ręce drżały. Chciał przed wyjściem wypić kieliszek lub dwa, domyślał się jednak, że Reina poczuje cuchnący alkohol. Wszyscy znali przecież problemy jej ojca. Z pewnością nie podobałoby jej się to u kogoś, kto zabiega o jej względy.

Biegł drogą.

Widział światła w oknach Vildegard.

W środkowym oknie pojawiła się Reina. Dwór pogrążony był w ciszy, minęła już dziesiąta. Kiedy skradał się na tyłach spichlerza, ze strychu dotarło do niego głośnie chrapanie.

Co powinien teraz zrobić? Nie może przecież pukać, może jeszcze ktoś nie śpi.

Podszedł do oświetlonego okna. Zobaczył Reinę w pokoju, siedziała przy stole. Abażur lampy był uniesiony tak, że światło padało na okienne szyby. Reina siedziała poza kręgiem światła, ciemne włosy na ramionach wyglądały niczym skrzydła. Nie mógł rozróżnić twarzy, podszedł do samego okna.

Wtedy ona podniosła głowę, uśmiechnęła się do niego. Wstała i pokazała mu ręką, żeby okrążył dom.

Słyszał skrzypnięcie jakichś drzwi.

Po chwili znalazł się w środku. Reina nakryła duży stół, zapaliła świece w dwóch srebrnych świecznikach.

Zdumiał się na ten widok.

- Reina, ja...

- Czy nie przyszedłeś się oświadczyć? Czy zwyczaj nie wymaga, abyś został przyjęty czym chata bogata?

Roześmiała się cicho.

- Owszem, ale znam też inne obyczaje. Wiem, że kawalera przyjmują rodzice panny. I że to jej matka podaje jedzenie. Ale my będziemy musieli poradzić sobie sami. Myślisz, że nam się to uda?

Odważnie wspięła się na palce i pocałowała go. Gorący dreszcz

przeniknął jego ciało. Zamierzona zdrada paliła w gardle, choć jeszcze jej nie dokonał, jeszcze wszystko mógł odmienić.

Czy ona tego nie dostrzega swymi przenikliwymi oczyma?

Sądził, że nie. Przeczuwał, że choć Reina widzi wyraźniej niż ktokolwiek inny, przewiduje to, co się dopiero ma wydarzyć, jednak to, co dotyczy jej samej oraz jej bliskich, jest przesłonięte jakąś mgłą. Bo czyż w przeciwnym razie nie ochroniłaby swojej babki przed strzałem jego ojca? I czy nie odgadłaby działań Johanny, zanim tamta je podjęła? No, a wreszcie on sam, przecież gdyby wiedziała, że zostali sobie przeznaczeni, to przecież przyszłaby do niego dużo wcześniej.

Przełykał ślinę, żeby pozbyć się tego pieczenia w gardle. Reina wyciągnęła do niego rękę.

- Usiądź, Arill. Jest wiele spraw, o których musimy porozmawiać. Dzisiejszego wieczoru będziemy wspólnie jeść chleb oraz pić wino, a ja mam ci wiele do powiedzenia.

Uśmiechnął się. Pozwolił, by poprowadziła go do stołu. Boże, jest nie tylko piękna w tej ciemnoczerwonej sukni. Jest także władcza. Ona jest z innego świata. Ona jest...

Nogi się pod nim ugięły. Usiadł z wdzięcznością na krześle, na którym położyła miękką poduszkę. Sama usiadła naprzeciwko niego. Stół rozciągał się niczym bezkresne morze między nimi. Gdyby Arill wyciągnął rękę na całą długość, położył ją na tej okrytej obrusem płaszczyźnie, to z trudem dosięgnąłby do Reiny. Ona uśmiechnęła się i naląła wina. Arill siedział w milczeniu. To naprawdę wyjątkowa dziewczyna. Zawsze wiedział, że Reina z Vildegard nie jest taka jak inne młode kobiety. Cóż za poczęstunek! Chleb i wino, złociste masło, jakiego

nie dostałby w żadnym zwyczajnym domu.

Spostrzegła, że Arill jest onieśmielony.

- Moja matka musi ustąpić. Chyba nie mamy się tak naprawdę czego lękać, jak myślisz? Najgorsze, co się może zdarzyć, to to, że wyrzuci mnie z domu. Ze zacznie mnie bić. Ale przecież i tak niczego nie może powstrzymać, prawda?

W głowie mu się zakręciło. Zaszło mu w ustach.

- Ty... ty chyba zdajesz sobie sprawę z tego, co ryzykujesz? Stawiasz w tej grze całe swoje dziedzictwo, honor własnej matki...

Reina wzruszyła ramionami, była niezwykle spokojna.

- Moim zdaniem ona nie posiada honoru, skoro zmusza nas do tego. A przecież nas zmusiła. Arill, musisz wiedzieć, że dla mnie tylko jedna rzecz jest ważna. To mianowicie, żebyś był pewien, czego chcesz. Żebyś wiedział, że to ty ryzykujesz w tej grze honorem...

Reina uśmiechnęła się pośpiesznie.

- Poza tym mógłbyś zapłacić karę za to, wiesz... Arill chrząknął.

- Żadna cena nie byłaby za wysoka - powiedział cicho. Napili się wina. Reina ruchem głowy odrzuciła włosy i uśmiechnęła się szeroko.

- Czy ty możesz sobie wyobrazić, że teraz mama staje w drzwiach? Jak myślisz, co by wtedy zrobiła?

Przyglądał jej się długo.

- Można by powiedzieć, że tego oczekujesz, a nawet że masz nadzieję... więc nawet to przewidziałaś?

Potwierdziła skinieniem.

- To prawda. Biorę to pod uwagę, ale się nie boję. Już podjęłam decyzję.

- Hmmm...

Jedli przez chwilę w milczeniu. Reina przyglądała się, jak Arill smaruje kawałek chleba pachnącym masłem. Odłamywał spore kęsy i wkładał je do ust, język dotykał świeżego chleba, zdawał się szukać smaku masła, rozkoszował się nim. Reinę przeniknął słodki dreszcz.

Jego ręce łamały chleb z elegancją i pewnością. Widziała na jego dłoniach ślady po lejcach lub jakichś narzędziach. Wiedziała, że on się nie boi pracować ramię w ramię z parobkami.

Arill był spokojny. Lekko uniósł mieniący się kieliszek, podziwiał jego kształt. Reina spostrzegła, że po winie jego wargi są lśniące i odrobinę czerwiejsze. Przypomniła sobie ich dotyk. Chciała przeżyć to jeszcze raz, przeżywać codziennie, w każdej godzinie!

Radość rozrastała się w jej piersi, nie bardzo mogła przełykać jedzenie. Całe ciało było teraz wzburzone. Samo patrzenie na niego zapierało jej dech, nie bardzo wiedziała, jak zdoła dłużej siedzieć spokojnie i przyglądać mu się. Miała wrażenie, że za chwilę rozleci się na kawałki. Musi jednak wrócić na ziemię, zająć czymś myśli, jakoś zdławić te szalone uczucia.

- Miałam sporo zajęć dzisiaj po południu. To wielkie szczęście, że wróciłam do domu. Siedzieli tu dwaj mężczyźni z Feigum i czekali na mamę. Jeden z nich miał najgorszą ranę postrzałową, jaką kiedykolwiek widziałam. Wyrwało mu połowę uda. A poza tym do rany dostało się mnóstwo nieczystości.

Pochylił się odrobinę w jej stronę.

- I co zrobiłaś? Reina uniosła brwi.

- Naprawdę chciałbyś tego słuchać? To chyba nie jest temat do

roztrząsania przy stole.

Arill uśmiechnął się niepewnie.

- Pamiętaj, że obiecałaś zostać moją żoną. Muszę się więc zacząć przyzwyczajać do śmierci, do zarazy i wszelkiego cierpienia... Reina uśmiechnęła się.

- No tak, rzeczywiście, niezłe widoki! Ale wiesz, to naprawdę podniecające. Opatrywałam już wiele ran, nigdy jeszcze nie miałam jednak do czynienia z czymś takim. Do nieszczęścia doszło pięć czy sześć dni temu, babka tego człowieka opatrzyła ranę reniferowym mchem i wygotowanym igliwem z jałowca. Niestety, na tym nie koniec, w ranie zostały kawałki kości, wszystko spuchło i strasznie zaropiało... Arill skrzywił się.

- Musiałam to otworzyć. Moja mama ma bardzo dobre narzędzia, przysłane bezpośrednio z Instytutu Chirurgicznego z Kopenhagi, wiesz...?

- Biedny człowiek! Bardzo krzyczał?

- Nie, dałam mu kropli opium. A poza tym i tak był półprzytomny od gorączki. W czasie zabiegu po prostu pojękiwał, nic więcej. Natomiast jego brat zemdlał, kiedy ropa chlusnęła z rany...

- Jakie wy macie lekarstwa? Reina bawiła się kieliszkiem.

- Mama stosuje stare, dobre recepty. Niektóre pochodzą jeszcze od Liv Bergaheim, babki Marji, która z kolei była moją prababką. Mama zbiera recepty zewsząd. Przeważnie dostaje je z aptek. Ma też różne rzeczy z biblioteki, z czasów, kiedy studiowała. Nie wyrzuca jednak nawet bardzo starych przepisów. Marja zgromadziła wiele, ona знаła między innymi starą Cygankę mieszkającą tu niedaleko nad fiordem. Kari, może o niej słyszałeś?

Przytaknął.

- To czarownica. Reina uśmiechnęła się chłodno.

- Tak, tak mówiono. A na dodatek mamy mnóstwo książek z zagranicznymi poradami. Astrid też nas wiele nauczyła. Ale najważniejsze ze wszystkiego jest chyba opium. I spirytus do przemywania ran. Mama nauczyła się tego od pewnego felczera. Podobno teraz wymyślono jakiś gaz do czyszczenia tego rodzaju ran, tak czytałam. Uczni wciąż wynajdują też nowe, silne lekarstwa. Remmermann mówi, że niedługo niemal wszystko będzie można wyleczyć, chociaż ciało ludzkie to bardzo skomplikowana maszyna.

Arill przytakiwał.

- Ale wiele lekarstw jest niebezpiecznych. Czy naprawdę można ich używać do leczenia ludzi? A co by było, gdyby chory po takim lekarstwie umarł?

Reina wzruszyła ramionami.

- Mama jest bardzo ostrożna. Ona nie robi niczego pochopnie. Jeśli ludzie tutaj umierają, to z powodu chorób, nie od lekarstw!

- Bo to by właściwie było morderstwo - mruknął. Reina z powagą skinęła głową.

- Tak. Często o tym rozmawiamy. Ale moim zdaniem mama częściej żałuje tego, że czegoś nie zrobiła niż, że coś zrobiła.

Oczy Arilla błyszczały. - A ty?

Reina odparła, wpatrując się w stół: - Ja... ja niewiele umiem. Mało się znam na lekarstwach. Ja... próbuję innymi sposobami. Spojrzał jej głęboko w oczy.

- Twoje ręce. Ja pamiętam twoje ręce. Ty masz... tę siłę. Reina

popatrzyła na swoje dłonie. On też na nie patrzył.

- Ty rozumiesz. Zawsze rozumiałeś. Potwierdził uśmiechem.

- Sam tego doświadczyłem, więc muszę rozumieć. Rozmowa schodziła na niebezpieczne tory. Ale ważne, domyślał się Arill. Reina chce opowiadać. Tęskni za tym, żeby się z kimś podzielić tą niezwykłą wiedzą. Chyba bardzo jej brak ojca. On posiadał te same niezwykłe zdolności. Ludzie gadają też, że pani Johanna... ale to tylko takie plotki.

Cuda, których ona dokonuje, mają swoje źródło w maściach i tinkturaoh, i jej głębokim wykształceniu.

Chrząknął.

- Chętnie bym zobaczył. Niezależnie od tego, jak strasznie to brzmi, to jestem ciekaw tego, co robisz, chętnie bym się też nauczył. Wiesz, ja właściwie nigdy nie widziałem waszego szpitala...

Reina długo milczała. Potem podniosła wzrok.

- Chorzy w izbie śpią. Zresztą nic by się nie stało, gdyby cię zobaczyli. Chciałbyś popatrzeć?

Skinął głową. Serce tłukło się ostrzegawczo w piersi. Nie mógł jednak już zawrócić. Musi zdobyć to lekarstwo. Lekarstwo, które uwolni go od przeklętych więzów, jakimi spętała go Ingalill. Lekarstwo, które da niezależność synom jego i Reiny.

Reina położyła palec na wargach i ostrożnie otworzyła drzwi. Wzięła ze sobą świecę, ale przez duże okna nawet późnym wieczorem wpadało sporo światła. Niebieskofioletowe cienie kładły się na podłodze i na meblach. Pod ścianami słychać było śpiących ludzi, za parawanem z plecionej trawy ktoś pochrapywał.

Reina postawiła świecę na małym stoliku. Światło odbijało się w

ostrzach noży, w nożyczkach i dwóch głębokich cynowych miskach.

Z kryjówki przy piecu wyjęła klucz i otworzyła niską komodę. Światło padło na ułożone równo instrumenty. Arill zadrżał. Długie kleszcze. Jakieś szpikulce. I rząd lśniących stalowych noży. Reina uniosła jeden z nich.

Przytknęła go do włosów na ramieniu, lok opadł, choć wcale nie było widać, żeby stal go dotknęła.

- To jest skalpel, nazywa się siódemka. Remmermann sam pracuje nad udoskonalaniem tych instrumentów. Jest bardzo dumny z tego, że są coraz twardsze i można je wyostrzyć bardziej niż jakikolwiek inny nóż... ten skalpel tnie najtwardszą skórę, jakby to był papier.

Arill mimo woli jęknął. Zimna stal połyskiwała groźnie w jej małej dłoni. Odłożyła nóż na aksamit, którym wyścielono szufladę. Kolejna szuflada zawierała jakieś drewniane instrumenty. Reina wyjmowała je, jeden po drugim.

- To jest pas przeciwko przepuklinie. Popatrz, tutaj wkładamy ten okrągły kamyk i uciskamy przepuklinę tak, żeby jelita wróciły na swoje miejsce. Najlepiej jednak jest zaszyć pęknięcie. Nie wszyscy mają tyle odwagi... bo to nie jest bezbolesna operacja...

Pokazywała mu wiele różnych rzeczy. Szyny do składania złamanych kości, różne drewniane rurki, stetoskop z metalu. Klepsydrę do mierzenia tętna i maleńkie nożyki do operowania oczu. Reina nie mogła się powstrzymać, żeby nie wyjaśniać mu działania tego wszystkiego.

Najniższej szuflady nie otworzyła. Tam matka przechowywała swoje kleszcze położnicze. Tego ponurego urządzenia ze stali nie wolno już było używać. Akuszerka, która by się nim posłużyła, mogłaby zostać ukarana.

Johanna miała prawo wykonywać najrozmaitsze zabiegi lecznicze, ale tylko ta jedna operacja była przez prawo zakazana kobiecie.

Tymczasem owe kleszcze uratowały dziesiątki położnic. Żadna z nich jednak o tym nie wspomniała nikomu innemu, jak tylko swoim przestraszonym siostram. Wszyscy wiedzieli, że Johanna coś takiego ma. To jednak nie jest męska sprawa.

Spostrzegła, że Arill pogłaskał czarny aksamit na dnie szuflady. Pachniało tu środkiem, którego Johanna używała do zmywania krwi i mycia instrumentów po zabiegach.

- Twoja matka jest bardzo zdolna. Myślę, że nikt tutaj we wsi nie zdaje sobie do końca sprawy, jaka to niezwykła kobieta. I jakie ma wykształcenie, jak jest wyposażona we wszystko!

Reina z dumą skinęła głową.

- Masz rację, ludzie nie zdają sobie z tego sprawy. Ale sam wiesz, nikt nie jest prorokiem we własnym kraju.

Uśmiechnął się na te słowa.

Unióś z wahaniem rzecz, o której ona nie wspominała.

Ich oczy się spotkały.

Reina głośno przełknęła ślinę.

- Nie...

Wpatrywał się w nią. Ona ostrożnie wyjęła mu z ręki instrument. Potem chrząknęła i odwróciła się.

- A tutaj jest szafa z lekarstwami. Mama bardzo się boi, żeby klucze do niej nie wpadły w niepowołane ręce. Najczęściej nosi je przy sobie. Ale zaczekaj, może zostawiła je w swojej sypialni...

Serce znowu zaczęło mu bić ciężko, groźnie.

Reina wróciła, by pokazać mu zawartość szafy.

Teraz... teraz może to zrobić.

Było tak, jak ludzie gadają. Butelki jedna obok drugiej, jakieś słoiczki. Niektóre z drukowanymi etykietami, inne oznaczone pismem Johanny. Reina dotykała zielonych i brązowych szklanych słoiczków. Arill patrzył na wysoką rurkę z przezroczystego szkła, która wydawała mu się pusta w środku, mimo to była starannie zalepiona woskiem. Na niektórych słoiczkach zaznaczono duże krzyżyki. Domyślił się, że znajduje się w nich trucizna.

Udawał, że nie jest tym zainteresowany. Reina mówiła, na co służą lekarstwa, pokazywała buteleczki.

- ...wiele z nich używa się w chorobach kobiecych. I przy porodach. Tutaj jest wyciąg z ziół, który powstrzymuje mleko. A ten tutaj zwiększa jego ilość. A tu mamy tinktury uspokajające i łagodzące ból. Ta pobudza akcję porodową, gdyby ustały skurcze. Tu znowu jest ziołowa nalewka, która opóźnia skurcze, i mieszanka oczyszczająca organizm po porodzie. Mama sama uprawia te wszystkie zioła w naszym ogrodzie...

Arill wolno kiwał głową. Uznał, że to, o co mu chodzi, znajduje się w jednym ze słoiczków bez nazwy. Johanna na pewno nie opisywałaby wyraźnie naczynia, zawierającego coś, co mogłoby spędzić płód. Ale gdyby to była inna trucizna, to... Ingalill mogłaby umrzeć.

Nie byłoby to najgorsze rozwiązanie, przemknęło mu przez myśl.

Przypomniał sobie jej złośliwy uśmiech. Powiedziała mu, że on pierwszy będzie musiał spróbować lekarstwa, które przyniesie. Dla pewności, jak mówiła...

Dłonie same zaciskały mu się mocno. Reina zamknęła szafę.

- Co się stało, Arill? Jesteś jakiś zamyślony. Och, przykro mi. To, co mnie interesuje, ciebie pewno zanudziło na śmierć, zapomniałam, że te łacińskie nazwy nic ci nie mówią. Chodź! Wracamy. Zajrzę tylko do śpiących...

Odwrócił się na pięcie. Widział, jak Reina zagląda za parawan. Światło świecy padało przez plecionkę i rysowało na podłodze dziwne kropki i plamy. Arill stał bez ruchu, dopóki Reina nie wróciła. Widział, jak odkłada klucze do szafy z lekarstwami tam, skąd przedtem wzięła klucze do komody.

- Śpią spokojnie - uśmiechnęła się. - Waleriana działa. A jutro zajmie się nimi mama. Boję się, że tę nogę trzeba będzie amputować. Uff, znowu zaczynam, przepraszam.

- To jest twoje życie. Chcę o nim wiedzieć jak najwięcej, chcę wiedzieć wszystko, co mogę!

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

To dosyć dziwne, ale już pierwszego wieczoru, który ze sobą spędzili, wszystko wydawało się takie normalne i dobrze znane. Jakby on zawsze chodził z nią do szpitala na nocne wizyty. Jakby znał jej zwyczaje i poszczególne czynności.

Jakby byli małżeństwem od tysiąca lat!

Nie.

Reina zadrżała, kiedy przeszedł obok niej, a ona zamknęła drzwi. W miejscu, którego dotknął, skóra ją paliła.

A przecież tak nie jest, jeśli ludzie dobrze się nawzajem znają.

To uczucie było nowe i przytłaczające, niemal przerażająco intensywne.

I nie zawstydzila się wcale, że on widzi jej drzenie.

- Reina...

Szeptem wymówił jej imię. Stał tuż obok. Podniosła oczy i spojrzała mu w twarz. Ręka trzymająca świecznik dygotała. Arill pochylił się i zdmuchnął płomień, zanim ogień zdążył osmalić jej włosy.

Samotne światełko chwiało się na stole, otoczył ich magicznym kręgiem gęsty, czerwony półmrok.

Poczuła, że oplatają ją jego silne ramiona. Wyjął jej z ręki świecznik, postawił go na konsolce przed lustrem, ani na moment nie spuszczał z niej wzroku.

- Ja...

Pocałował ją. Miała wrażenie, że całe jej ciało krzyczy.

Wszystko pograżyło się w gęstej ciemnoczerwonej mgle.

Jak ona lekko idzie ku mnie, pomyślał Arill. Niczym wiatr...

Przymknął oczy. Wyobrażał sobie, że stoi przed nim naga.

Ze porusza się lekko jak obłok. Znowu zaczął ją całować.

Czuł, że się do niego przybliża. Najbardziej ze wszystkiego chciałby paść przed nią na kolana, dziękować za to błogosławieństwo, które za jej sprawą na niego spływa. Czuł się w jakiś niezwykły sposób uświęcony.

Serce nie biło już tak ciężko. Nie było w nim miejsca na lęk. Ani na myśli o ponurej tajemnicy Ingalill.

Na to właśnie czekał.

Och, tak, niedawno wystarczyło, że może na nią patrzeć, że czuje dotyk jej ręki, że może ją całować...

Ale teraz nie. Już nie. Ponieważ ona odczuwa to samo.

Uczucia zamknęły ich w ciasnym kręgu. Wiedział, że to bardziej

więzienie niż schronienie. Jeśli jednak istnieją jakieś klucze do tego pokoju, to gotów był odrzucić je jak najdalej od siebie.

Nikt nie może tam wejść.

I żadne z nich nie może stamtąd wyjść.

Kiedy otworzył oczy, wokół było ciemno. Ona bezgłośnie podeszła do stołu, na którym wciąż jeszcze stało jedzenie i wino. Nie sprzątnęła niczego, wzięła tylko świecę i wezwała go spojrzeniem. Poszedł za nią do mniejszej izby, w której pod ścianą stało wąskie łóżko. Reina otworzyła jakieś nieduże drzwi, po czym znaleźli się w najmniejszym pokoiku, jaki kiedykolwiek widział w zamożnym domu. Postawiła świecę na stoliku zarzuconym książkami i notatkami. Pachniało lawendą. Powietrze było rześkie, ale dziwnie trudno było tu oddychać.

Reina stała i patrzyła na niego.

Jej piersi unosiły się i opadały w nierównych odstępach czasu.

Po chwili złożyła ręce i przycisnęła je do szyi. Brodę oparła mocno na pobielających kostkach. Czy ona się boi? Czy modli się o odpuszczenie grzechu, zanim go popełniła?

Reina otworzyła usta.

Myślał, że chce coś powiedzieć, ona jednak zaczęła nucić jakąś monotonną piosenkę. Uśmiechnął się.

To jeden z tych kawałków, które każde z nich tańczyło z kim innym. Taniec, który grano podczas ostatniej nocy świętojańskiej.

Rozwiązała wąską wstążkę podtrzymującą jej włosy i rzuciła na podłogę.

I wtedy ona też się uśmiechnęła. Arill zręcznym ruchem złapał wstążkę i zawiązał ją sobie na szyi. Była zrobiona z cieniutkiego jedwabiu

i w blasku świecy mieniła się metalicznie.

Włosy Reiny opadły na ramiona. Ukryły niemal całą twarz, sięgały jej do piersi.

Bardzo chciał jej dotknąć, nie wiedział jednak, czy się odważy. Ona nie jest chyba zwyczajną kobietą. Jest boginią, istotą niebiańską, nie mogą jej dotykać ręce zwyczajnego mężczyzny.

Reina chrząknęła niepewnie.

- Nie zawstydzaj mnie, Arillu... pocałuj mnie jeszcze. A więc to takie proste. To, o czym ledwo odważył się myśleć, dokonało się samo, gdy tylko ich wargi się spotkały. Jego ręce bez pomocy odnalazły drogę, ona odpowiadała mu cichutkim jękiem, który czasami przypominał stłumiony śmiech. Marzył o tym, żeby posunąć się dalej, całować te miejsca, które dotychczas zawsze ukrywało przed nim ubranie.

Reina wygięła się niczym wąż i jej suknia sama opadła na podłogę. Miała na sobie błękitną koszulę. Arill nie dostrzegał tych jakichś sztywnych części garderoby, których kobiety używają, by nadać swemu ciału odpowiednie kształty, żadnego gorsetu ani niczego takiego.

Jej piersi nie były duże, wyglądały niczym niewielkie owoce pod cienką tkaniną koszuli. Widział czarujący kawałek skóry, zdejmował z niej koszulę, odsłonił brzuch.

O ile mógł to dostrzec, Reina się nie zarumieniła. Wcale się też nie bała. Stała po prostu i pozwalała mu patrzeć, dopóki mógł oddychać...

Czyżby się przy tym odrobinę uśmiechała?

Trudno to powiedzieć, włosy bowiem przesłaniały połowę jej twarzy.

Połowę twarzy.

Poczuł pieczenie pod powiekami.

Podszedł do zarzuconego papierami stołu, chciał zgasić świecę. Ona powstrzymała go stanowczym gestem. Ujęła świecę i trzymała ją wysoko między nimi obojgiem.

- Jesteś piękny. Wiesz o tym?

Jej szept rozlegał się w jego uszach tysięcznym echem.

Instynktownie uniósł rękę, położył ją sobie na ustach.

Ona potrząsnęła głową, uśmiechała się teraz wyraźnie.

Przyszło mu na myśl, że tego wieczoru nie poświęcił swojemu groteskowemu wyglądowi ani jednej myśli. Jakby to, co widział w jej oczach, wygładziło skórę, uczyniło blizny niewidzialnymi, ukształtowało mięśnie w miejscach, w których ospa je zdeformowała.

- Gdyby twoje oczy były zwierciadłami... to bym w to uwierzył.
Reina wolno pokręciła głową.

- Oczywiście, że są. Zawsze będą.

Po czym sama zdmuchnęła światło, ponieważ płomień zaczął chybotać. Każde uczucie, każde słodkie doznanie zapadało w jej duszy na wieczną pamiątkę. Chyba spała, w każdym razie znajdowała się daleko stąd i nie zauważyła, że on wstał i opuścił pokój.

Zdawało jej się, że pływa w tych pięknych barwach, które on malował w jej wnętrzu.

Wszystko zaczęło się w tej sekundzie, kiedy Arill zdjął z niej ostatnią część ubrania i pogłaskał ją tak leciutko, że zadrżała.

Zbliżał się do niej z wahaniem, a zarazem bez możliwości odwrotu. Odnalazł każdy jej nerw, każdy żywy fragment jej ciała, budził w niej wielką pewność.

Domyślała się, że jeszcze nigdy przedtem nie był z kobietą, i

zamknęła oczy w wielkim podziwieniu, że odnalazł tony, których nigdy przedtem nie słyszał.

Nie pytał jej oczywiście o nic, ale ona, rozgorączkowana, szeptała mu do ucha:

- Przyprawiasz mnie o szaleństwo... nie wiedziałam, że istnieje takie cudowne szaleństwo...

A wtedy on jęknął głęboko i położył dłonie na jej biodrach. Były jeszcze wąskie, raczej chłopięce, ale kiedy leżała na plecach, jego ręce kreśliły piękne łuki od talii w dół. Kciukami uciskał kości biodrowe. Jego dotyk palił. Po chwili jedną rękę przesunął na brzuch, znowu ją głaskał, odnalazł palcami zagłębienie pępka, zsuwał rękę w dół. Ona głośno wciągała powietrze. Łaskotał ją. Ale odczuwała to inaczej, niż kiedy Benjamin łaskotał ją źdźbłem trawy po karku, albo ojciec w dzieciennych zabawach. Teraz wstrząsały nią krótkie, gwałtowne spazmy, było to uczucie tak wielorakie i intensywne, że przywodziło na myśl feerie bengalskich ogni, które kiedyś Marja dla nich rozpałała...

Nareszcie w nią wszedł. O, ta sekunda przytłaczającej siły, nigdy tego nie zapomni. Przypuszczała, że nigdy więcej nie będzie tego odczuwać właśnie tak, jako jedyną naturalną rzecz na świecie, a zarazem przekraczającą wszelkie granice.

On był spięty, skoncentrowany, czuła, że zaciska zęby przy jej policzku.

Uniosła w górę biodra.

On krzyknął i cofnął się. Nie umiałaby powiedzieć, czy to, co poczuła, to był ból, napięcie bowiem tych nowych przeżyć ogłuszyło ją, nie pozwalało odróżniać od siebie wszystkich odczuć.

Przywarła mocno do niego.

On przytulił ją gwałtownie, już nie miał odwagi się poruszać. Ciało Reiny wiło się pod nim, poddawało się przenikającej je rozkoszy, która płynęła przede wszystkim z serca:

Oto są razem. Stali się jednością. Nic nie może ich rozdzielić, ani Bóg, ani człowiek. Ponieważ ona odczuwała jego pragnienie jako swoje własne i nie wiedziała, do którego z nich dwojga należy ten dudniący strumień krwi, który łączy i rozpala oboje.

Poruszała miarowo biodrami, on w pewnej chwili odchylił mocno głowę z przeciągłym jękiem.

Splotła palce na jego karku, chciała go przyciągnąć jeszcze bliżej, ale to nie było już możliwe. A kiedy on wolno podniósł się, oparł na łokciach i patrzył na jej twarz, miała wrażenie, że cały świat wokół nich rozplynie się i zniknie.

Tak się jednak nie stało.

Tylko ich rozpalone ciała zostały zastąpione czymś, czego Reina nie spodziewała się dotychczas z nikim dzielić.

To było niczym jej widzenia, nielogiczne i wsysające. Nie towarzyszył temu jednak oszłamiający ból, jaki odczuwała przy wizjach, otwierały się w niej natomiast wszelkie śluzy i całe jej ciało wypełniała absolutna, niewysłowiona błogość.

Zamiast oszołomienia i bolesnych skurczów, które zawsze towarzyszyły widzeniu, odczuwała teraz w sobie drżącą czułość, niczym w pięknym śnie.

Przywarła mocno do jego warg, on powinien jej w tym towarzyszyć, czuła jego gorący, wilgotny oddech, wciągała w płuca to samo powietrze.

Słodki ucisk w jej wnętrzu w końcu eksplodował, z jękiem chwyciła się kurczowo Arilla i dała się ponieść gorącej fali.

W oszołomieniu przyszło jej do głowy, że to jest właśnie ta sprawa, o której Astrid opowiada dowcipy, owo zjawisko, które parę lat temu matka próbowała jej wytłumaczyć z rumieńcem na twarzy. Obie jednak popełniały błąd.

Teraz o tym wiedziała. Gorączkowe skurcze, niezwykle fale, które ją przenikały, to coś całkiem innego. To tak jakby delikatne drgnienie warg porównywać z szerokim, czystym, niepowstrzymanym śmiechem!

Z trudem łapała powietrze.

On mruczał coś z twarzą ukrytą na jej piersi. Reinie kręciło się jeszcze w głowie, ale wybuchnęła śmiechem, takim czystym i szczerym. Znowu mocno przytuliła Arilla i całowała po całej twarzy.

On także był oszołomiony, ale napotkał jej spojrzenie zamglonymi, uszczęśliwionymi oczyma.

Nie znajdował słów, żadne nie pasowało do tej sytuacji.

Znowu opadł na nią, ale zaraz ułożył się na boku, przestraszony, że jej drobne ciało nie zniesie jego ciężaru. Ona splatała swoje ręce i nogi z jego, nie chciała wpuścić ani odrobiny świeżego powietrza między dwa spocone brzuchy.

Leżała z ustami przy jego szyi, czuła na czole jego ciepły oddech.

- Przysięgam - wyszeptał nagle. - Przysięgam ci, Reina: to nie jest z tego świata.

Uśmiechnęła się.

- Owszem. Ludzie to robią przez cały czas. Teraz rozumiem więcej. Teraz rozumiem, jak to się dzieje, jak dochodzi do tego, co dotychczas

wydawało mi się głupie i nierozsądne. Teraz rozumiem takie kobiety, jak Gretta Fjosne.

Arill drgnął.

Gretta Fjosne była kobietą skazaną przez ting za to, że uwiodła swego gospodarza i pozbyła się dziecka, które razem splodzili w hańbie. Została wysłana do więzienia w Bergen, teraz czeka królewskiej odpowiedzi na prośbę o łaskę.

Przeniknął go zimny dreszcz.

Ona jednak sądziła, że to rezultat gwałtownych, radosnych przeżyć.

Wkrótce ucichła i leżała w jego ramionach. Chyba zasnęła ze zmęczenia. Zresztą musiało być już późno. Za godzinę lub dwie zacznie świtać.

Czekał jeszcze przez chwilę. Najpierw ostrożnie wyciągnął ramię spod jej głowy. Potem wysunął się z łóżka. Otulił ją starannie. Zapach lawendy zakręcił mu w nosie, kiedy przysunął za blisko twarz do jej włosów.

Ubrał się cicho i wymknął do izby.

Gdyby się obudziła, mógłby powiedzieć, że chciało mu się pić. Mógłby powiedzieć, że widział beczkę z wodą przy stole w szpitalnej izbie i chciał przynieść sobie kubek.

Ona jednak spała spokojnie. Pomrukiwała coś słodko, kiedy on ostrożnie wyciągał swoją koszulę spod jej głowy.

Teraz, kiedy oczy przywykły do ciemności, szafa połyskiwała leciutko. Bez problemu znalazł klucze. Cichy zgrzyt metalu o metal, kiedy wsunął klucz do zamka, był taki głośny, że aż podskoczył. Przecież chorzy mogliby go usłyszeć.

Oni jednak chrapali miarowo. Przypomniał sobie, e Reina daa im co na sen. Wymaca palcami potrzebne mu soiczki. Waha si.

Zawieray trujce srodki. Waciwie to, co chcia zrobi, jest rownoznaczne z morderstwem. Ale przecie musi jej co da. Musi wypeni swoj cze umowy. Wtedy bed si mogli rozej bez adnych zobowia.

Wyj jaki may soiczek i przyglada mu si w sabej powiacie pyncej z okna.

Nagle usysza czyje kroki na ganku. Przez chwil zastanawia si, czy nie zatrzasn szafy i nie ukry si.

Zanim jeszcze zdrzy cokolwiek postanowi, w otwartych drzwiach pojawia si jaka posta. Wiedzia, e ona go widzi. Zrozumia, e natychmiast zorientowaa si w sytuacji i e go rozpoznaa.

Johanna staa jak przymurowana do futryny drzwi i wpatrywaa si w Arilla. Potem spokojnie podesza do paleniska, wsuna jaki wierek w tce si pod popioem wegle i czekaa, a si zajmie. Pniej bez sowa wesza do swojej prywatnej izby, Arill nie zamkn drzwi. Tam zapalia lamp i usiada przy stole. On wcia sta z zakazanym lekarstwem w rec. Serce tuko mu si w piersi.

Ona milczc czekaa na niego. Zdjea z siebie akiet i pooya go na kolanach.

Jej oczy...

Przenikn go dreszcz.

Te oczy go do siebie przyciagay, wcia nie pado ani jedno pytanie. Niczym we nie przeszed przez izb, bezszelestnie postawi soiczek na stole. Kieliszki po winie...

Ona najwyraźniej zdążyła się już domyślić przynajmniej połowy historii.

- Usiądź, Arillu Storlendet. Mam wrażenie, że nie powinniśmy wtajemniczać Reiny od razu w całą historię.

Skinął sztywno głową. Ona ujęła słoiczek, popatrzyła na etykietę.

- Chciałeś ukraść lekarstwo. Po co ci ono, Arillu Storlendet? W jej głosie było coś więcej niż groźba. To była lodowata nienawiść. I coś jakby nuta lęku.

Westchnął ciężko. Myśli w galopie przepływały przez jego głowę. Może powinien powiedzieć coś o starym psie, którego nie jest w stanie zastrzelić? A może o pladze szczurów we dworze?

Nie. Ona nigdy w coś takiego nie uwierzy.

Odetchnął głęboko i wyznał jej prawdę w kilku krótkich, pełnych goryczy zdaniach.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Ale teraz już wiesz, że mimo wszystko przegrałeś - powiedziała Johanna łagodnie.

Drżał, słysząc ten jej ton, oczekiwał raczej przekleństw, może nawet ciosów.

Ona jednak siedziała całkiem spokojnie i słuchała jego nieskładnej opowieści.

Nie mógł się uwolnić od jej przenikliwego spojrzenia. Zauważył, że oczy Johanny mają różną barwę. To także go przeraziło. Przedtem myślał, że tak mu się tylko wydaje.

Teraz dostrzegał, że zielone plamki mienia się niespokojnie w jednym oku, podczas gdy drugie jest niebieskie i spokojne niczym morze.

Postawiła słoiczek między nimi.

- Więc w ten sposób chciałbyś się pozbyć konsekwencji swego grzechu? Chciałeś tym zamordować dziecko swoje i Ingalill?

Szczerze potwierdził.

- Wiem, że możesz mnie za to zaprowadzić na szubienicę, Johanno. Ale przy okazji ty także musiałabyś się wytłumaczyć, dlaczego trzymasz taką truciznę w domu!

Uśmiechnęła się złośliwie.

- Wziąłeś niewłaściwy słoik - powiedziała po prostu. - Ten środek spowodowałby jedynie nieznaczne skurcze brzucha u Ingalill. To jest trucizna, muszę przyznać. Ale nie taka, która zabija, to nie robi krzywdy ani mężczyźnie, ani płodowi.

Podniosła się z ławki, z miną królowej przeszła do izby chorych. Słyszał, że hałasuje kluczami. Po chwili wróciła z innym słoiczkiem.

- Proszę. To jest to, czego szukasz - powiedziała cierpko. - Podaj jej to dwa razy w odstępie trzech godzin. I zadbaj o zapas płótna i starej pościeli. Będzie trochę krwawić. Po wszystkim. Nie możesz odejść od niej przez jakieś dwanaście godzin. Zawsze istnieje możliwość, że coś będzie nie tak.

Przyglądał się jej z otwartymi ustami.

- Co chcesz przez to powiedzieć... czy ona może umrzeć? Johanna wykrzywiła wargi w pozbawionym radości uśmiechu.

- Żadne z nas specjalnie by tego nie żałowało, prawda? Arill głośno przełknął ślinę.

Co to się dzieje? Czyżby Johanna chciała zamordować Ingalill i chce skorzystać z okazji, żeby potraktować go jako narzędzie? A co by się stało, gdyby ktoś to odkrył... Johanna znowu usiadła.

- Jest tylko jeszcze jedna sprawa. Musisz mi zapłacić za tę pomoc. Obawiam się, że dość drogo.

Spojrzał na nią. Wiedział, co teraz nastąpi.

- Będziesz się trzymał z daleka od Reiny. Teraz nie masz wyboru. Czy się na to zgodzisz, czy nie, ona nigdy nie wybaczy ci tego, co zrobiłeś.

Zauważył, że Johanna uśmiecha się z wielką pewnością siebie. Miała rację. Wiedział o tym przez cały czas.

- Powiesz jej o mnie i o Ingalill? Johanna wolno potrząsnęła głową.

- Ona by i to zniosła. Całkowicie straciła dla ciebie głowę. Ale tegoo... Johanna wykrzywiła wargi w triumfalnym uśmiechu.

- Tego Reina nigdy ci nie wybaczy. Ona by wolała wziąć ciebie z bękartem i w ogóle.

Arill jęknął.

Wiedział, że to niemożliwe. Gdyby Ingalill urodziła jego dziecko... to nigdy nie wypuści go już ze swoich rąk. Wbije w niego szpony na wieki. Może Reina mogłaby z tym żyć. Ale on sam by nie mógł.

Szklany słoiczek zdawał się chłodzić jego dłoń.

- A więc... a więc jest po wszystkim? Nie będę cię już musiała więcej oglądać, nędzniku?

Nie odpowiadał.

Ona roześmiała się krótko.

- Ja wiem, co ci chodzi po głowie. Ale przegrałeś, Arillu. Wymknąłeś się od niej, żeby ukraść truciznę, która potrafi zabić płód w kobiecie. Ona by ci tego nigdy nie wybaczyła - powtórzyła Johanna.

Czuł, że rozpacz tłumi w nim resztki dumy. Ze szlochem upadł przed Johanna na kolana.

- Nie rób tego... na Boga, nie... unieszczęśliwisz nie tylko mnie, ściągniesz nieszczęście na swoją jedyną córkę...

Johanna odpowiedziała lodowatym głosem:

- Idź sobie, Arillu Storlandet. Robię to, co dla mojej córki na dłuższą metę okaże się najlepsze. To, co wszystkie matki by zrobiły, gdyby taki gad jak ty chciał sączyć truciznę do niewinnych serc ich dzieci...

Podniósł się. Nie miało sensu dłużej błagać.

Wyprostowany, ze słoiczkiem w kieszeni spojrzał Johannie w oczy. Nie powiedział nic. Miał nadzieję, że widziała w jego spojrzeniu ból, i może ogarnie ją choćby cień współczucia.

Ona jednak zamknęła oczy. Widział, że jej ręka drży, nie był jednak w stanie odczytać jej myśli. Wskazywała mu drzwi.

- Nie powiem jej, że wyszedłeś - powiedziała Johanna łagodnie. Czuł

łzy spływające mu po policzkach, ale upokorzenie z tego powodu nie było wystarczająco silne, by stłumić ból w piersi.

Ona na widok jego łez nerwowo oblizwała wargi. Spostrzegł, że jest poruszona.

- Johanna... na Boga... Znowu błagał. Był niczym mała mrówka pod jej stopą. Przycisnęła tę stopę.

- Idź! Zdawało mu się, że ściany się za nim zawalą, pogrzebią go. Na pół oślepiiony przebiegł przez izbę chorych do wyjściowych drzwi. Dziedziniec oświetlał jasny sierp księżyca. Arill biegł, potykał się o kretowiska i kępy trawy. Słoik uwierał go w kieszeni, on wciąż biegł, szloch przemieniał się teraz w rozpaczliwe wycie.

Kiedy w końcu znalazł się we własnym łóżku, płacz przycichł, ale ciałem wciąż wstrząsały spazmy rozpacz.

Nie mógł się pokazać nikomu na oczy, dopóki się nie opanuje.

Słoiczek z trucizną lśnił w pierwszych promieniach słońca, kiedy Arill w końcu uspokoił się na tyle, że mógł ustać na nogach.

Ingalill powinna być zadowolona.

Zostanie uwolniona od złego losu, nie wypędzą jej z domu i nie postawią przed sądem za zdradę małżeńską. Biedny wuj Gjert. Spadło na niego więcej, niż jest w stanie udźwignąć.

I równie dobrze może się o wszystkim dowiedzieć.

Arill ostrożnie otworzył słoiczek. Brunatna ciecz pachniała cierpko.

Pośpiesznie zamknął słoik i odstawił go na bok. Najpierw musi wszystko od nowa przemyśleć.

Są dwa wyjścia. Dać Ingalill truciznę. Dziecko, które mogło go z nią związać na zawsze, nigdy się nie urodzi. W zamian za to jednak Johanna

będzie mieć nad nim władzę, dopóki będzie żyła. I przeprowadzi swoją wolę: nie pozwoli mu nigdy więcej zbliżyć się do Reiny.

Ale czy ona jednak na chwilę się nie zawahała? Może dotarło do niej, że ciągnie go do Reiny nie zła wola ani żądza zemsty? Czyż Johanna nie dostrzegła w tym miłości?

Jęknął w rozpacz.

Ona musi złagodnieć. Kiedy patrzyła mu w oczy, na krótki moment pojawiło się w nich coś, co przypominało współczucie.

Reina z pewnością opowie matce, co się stało.

Ona też będzie ją błagać.

Może zagrozi, że odejdzie z domu, jeśli matka się nie zgodzi!

Serce Arilla biło boleśnie.

Johanna chciałaby go zmusić, żeby sam prosił Reinę o zerwanie. Żeby cofnęli wszystkie obietnice. Ale on nie byłby w stanie tego zrobić.

Jeśli jednak nie podda się jej woli...

Wtedy Reina o wszystkim się dowie. I on będzie wobec tego absolutnie bezradny. Kłamać bowiem Reinie nie potrafił, na nic by się to zresztą nie zdało. Ponura historia Johanny jest przecież prawdą. I Reina domyśli się, jak się rzeczy mają, żeby nie wiem jak starał się to przed nią ukryć.

Westchnął ciężko. Gardło miał obolałe i zaciśnięte. Znowu popatrzył na słoiczek.

Ma tylko jedną jedyną szansę.

Okazać Johannie jeszcze wyraźniej swoją rozpacz, to może wreszcie zrozumie, że on jest żywym człowiekiem, zwyczajnym mężczyzną, który nie pragnie niczego innego, jak tylko przez resztę swego życia nosić jej

córkę na rękach.

Johanna jest uparta. To wszystko wygląda beznadziejnie. Ale powinien spróbować. Powinien nawet ją zmusić, gdyby to było konieczne, przekonać ją, że rozdzielić go z Reiną to jest to samo, co zamordować ich oboje.

Nie reagował na dzwonki wzywające na posiłek.

Przez cały dzień siedział na łóżku pogrążony w ponurych myślach.

Gdy się już ściemniło, zszedł na dół do izby, słyszał, że Ingalill śmieje się i żartuje ze służącymi w kuchni.

Stanął tylko w drzwiach, kiedy Ingalill zobaczyła jego bladą twarz, zrozumiała natychmiast.

Później w swoim pokoju wytłumaczył jej, co powinna zrobić.

Spoglądała na niego z uśmiechem na wargach.

- Jak też ty to zdobyłeś? Ach, Reina ci dała, tak? Kiedy tylko powiedziałeś, że popadłeś w kłopoty... mam nadzieję jednak, że nie wyjawileś jej, iż to o mnie chodzi?

Niechętnie potrząsnął głową. To nie ma żadnego znaczenia, co Ingalill sobie myśli.

Przysunęła się do niego. Jej ręce były jak szpony! Drapała go paznokciami po ręce.

- Ach, jak ty ładnie pachniesz... to coś znajomego... Przestał oddychać. Pochyliła się nad nim, chciała go pocałować, gwałtownie odwrócił głowę.

- Idź - rzekł ponuro. - Dostałaś to, o co prosiłaś. Roześmiała się znowu, cicho, gardłowo.

- Ale przecież była jeszcze jedna umowa, prawda? Ty też masz się

tego napić. Masz cierpieć razem ze mną... jeśli to na mężczyzn też działa. Chociaż nie przypuszczam. Ale i tak będziesz chory, ty także.

Prychnął w odpowiedzi.

- Histeryczna babo! Nie chcę mieć z tym więcej do czynienia. Zażyj to, albo nie, mnie jest wszystko jedno...

Ingalill zmarszczyła czoło.

- Ach, tak? Jest ci wszystko jedno? Dobrze, to niech wszystko zostanie, tak jak jest. Musisz mi tylko obiecać, że ożenisz się ze mną natychmiast, jak tylko nie będę już mężatką.

Nie zadał sobie trudu, żeby na to zareagować. Ona roześmiała się szeroko.

- To jedyne i najlepsze rozwiązanie. Arill! Wiele razy ci to powtarzałam. Pomyśl, jak cudownie mogłoby nam być razem!

Wstrząsnął nim dreszcz.

- Owinęłaś sobie Gjerta wokół palca. Ze mną nigdy ci się to nie uda - powiedział po prostu.

Widocznie uznała, że należy na tym zakończyć. Posłała mu przejmujące spojrzenie i chwyciła słoiczek.

- No to zajrzyj do mnie za dwanaście godzin. Powinieneś jednak wiedzieć, że dałam mojej przyjaciółce, Annie, zapieczętowany list. Jeśli umrę, to ona zanieś ten list do lensmana. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, odbiorę od niej list.

On wolno kiwał głową.

Aż taka podstępna jest Ingalill. Zawsze wszystko dokładnie przemyśli.

Ogarnęło go nieprzyjemne uczucie, że daje się oszukiwać.

Ale cokolwiek by zrobił czy powiedział, to i tak już przegrał na wszystkich frontach. Helena przyszła sama i błagała Johannę o pomoc.

- Moje dziecko jest chore! Kochana, dobra moja, nie możesz mi tego odmówić! Moja jedyna córka jest chora, a ty...

- Choroba, która ją dręczy, jest nieuleczalna. Ta choroba nazywa się zło! I powiem ci, że jest bardzo, bardzo zaraźliwa. Nie chcę jej widzieć, dobrze o tym wiesz!

- To daj jej chociaż jakieś lekarstwo! Daj mi coś, Johanno, nie mogę patrzeć, jak ona cierpi!

Johanna wzruszyła ramionami.

- Z tego co mówisz, wnioskuję, że ona po prostu zjadła coś nieświeżego. To na pewno przejdzie. Ból brzucha jeszcze nikogo nie zabił. W każdym razie nie taką silną i dobrze zbudowaną kobietę jak ona!

Po czym zatrasnęła Helenie drzwi przed nosem. O, nie, na tę chorobę Ingalill z pewnością nie umrze.

Johanna uśmiechała się sama do siebie.

Ale pocierpi solidnie. Będzie myśleć, że umiera. No dobrze, może to sprawi, że trochę spokojnie. Może zacznie żałować.

Johanna spokojnie kończyła operację, przerywaną przez błagalne krzyki Heleny. Reina spoglądała na matkę niepewnie. W jej oczach czaiło się mnóstwo pytań. Od samego rana Johanna bardzo się starała zachowywać tak, jakby nic się nie stało. Powiedziała Reinie, że owszem, wróciła do domu wcześniej. Nie, nikogo nie widziała. Dlaczego miałyby kogoś widzieć? Służące i parobcy nie wstają przecież nigdy przed szóstą. A kiedy ona wróciła, nie było jeszcze piątej.

Johanna widziała, że Reina zagryza wargi, że o mało nie eksploduje.

Ale nie powiedziała nic. Widocznie chce najpierw porozmawiać z Arillem, poznać jego wersję wydarzeń. Z pewnością umówili się, że on wymknie się potajemnie nocą tak, żeby nikt go nie widział. Johanna wróciła więc w odpowiednim czasie, miała też szczęście, że Reina zasnęła i nie widziała jej. Arill z pewnością bardzo się starał, żeby jej nie obudzić. Mimo wszystko, chodziło mu przecież o lekarstwo. Reina była jedynie środkiem...

Zaciskała zęby w skupieniu. Bardzo trudno było prowadzić ostrze noża wokół cienkiej kości, usuwać chory mięsień tak, żeby nie posunąć się ani odrobinę dalej niż to konieczne.

Reina wytarła krew, podała matce narzędzie do zamykania naczyń krwionośnych. Zdarzało się jeszcze, że używano do tego rozpalonego żelaza, ale to staroświecka metoda, teraz wynaleziono kleszcze.

Reina ujęła nieruchome ręce mężczyzny. Był mocno przywiązany do stołu, ale poruszał się bardzo nieznacznie. Prawdopodobnie w oszołomieniu opium, gorączce i bólu nie zauważył różnicy, kiedy Johanna zaczęła krajać.

Jego ręce były zimne. Serce biło nierówno. Reina widziała, że umiera.

Dramatyczna śmierć rannego postawiła cały dom na głowie i Reina nie miała ani minuty dla siebie aż do wieczora. Dopiero wtedy mogła pójść do swojego pokoju.

W poduszce był jeszcze zapach Arilla. Słyszała, że matka rozmawia stłumionym głosem z pastorem, ale on wkrótce sobie pójdzie.

Zanim jednak kapłan wyjdzie, ona musi być gotowa.

Wzięła ze sobą parę słoiczków, zawierały środki przeciwko bólowi

brzucha. Lekarstwo powstrzymujące biegunkę, a także przeczyszczające, gdyby na tym właśnie polegał problem.

Było pewnie tak, jak Johanna powiedziała Helenie: zjedli coś sfermentowanego lub nieświeżego. Ingalill nie jest najlepszą gospodynią na świecie. Nie pomyślała, by schować jedzenie do piwnicy. No, ale mogło też przytrafić im się coś gorszego. Reina uważała, że Johanna nie powinna była tak surowo obejść się ze zmartwioną matką Ingalill.

A teraz chyba o wszystkim zapomniała. Operacja i śmierć pacjenta pochłaniały wszystkie jej myśli.

Reina wyjrzała przez mały otwór okienny i stwierdziła, że noc jest ciepła.

Mimo to otuliła się grubą chustką. Lekarstwa ukryła w fartuchu, nikt nie powinien widzieć, że nosi jakieś pakunki.

- Idę się trochę przejść. Nie mogę zasnąć - mruknęła, odwracając twarz od matki, kiedy ją mijała. Dygnęła na pożegnanie pastorowi, życzyła mu dobrej nocy.

Początkowo szła spokojnie, ale gdy tylko znalazła się za zakrętem, pobiegła. Mogła była wziąć konia, ale wolała się przejść, chciała odświeżyć obolałe gardło czystym powietrzem. Wzgórza koło Storlandet nie były strome. Czuła zapach świeżo zaoranej ziemi i budzącego się życia.

Nad jej głową świecił jasno sierp księżyca. Spojrzała na niego, poczuła, że ją do siebie przyciąga. Jakie to dziwne, że gdziekolwiek na świecie się człowiek znajduje, to z każdego miejsca może widzieć ten sam księżyc!

Tak jak się spodziewała, Storlandet pogrążone było w ciszy. Minął

już czas obrządku, a owce pewnie jeszcze nie zaczęły się kocić. Służba spała więc, ich dni i tak były bardzo długie.

Nie była pewna, czy odważy się podejść do drzwi i zapukać. Gdzie może być Arill? Czy on też już się położył? Czy Ida także jest chora? A co z innymi?

Trzeba spróbować znaleźć Helenę. Reina wiedziała, w którym pokoju umieszczono Helenę i Bendika na czas wesela. Może powinna więc pójść tam?

Za węglem stała Ida. Wyłoniła się teraz w półmroku, podeszła blisko Reiny. Jej zmrużone oczy płonęły.

- Reina z Vildegard. Przyszłaś.

- Tak. Nie mogłam przyjść wcześniej, bo...

- Przyszłaś na czas. Tym razem także! Reina skinęła głową. W oczach tej kobiety widziała wdzięczność. Już kiedyś, dawno temu, uratowała Arillovi życie. Teraz znowu Ida była bardzo zmartwiona.

- On nikogo do siebie nie wpuszcza. Słyszymy jednak, że wierci się na posłaniu i jęczy. A Ingalill... ta zachowuje się całkiem cicho. Krzyczy tylko na nas, kiedy grozimy, że wyważymy drzwi.

Reina zamyśliła się.

- Co by to mogło znaczyć? Ida wolno potrząsnęła głową.

- Nie wiem - westchnęła. - Naprawdę nic nie wiem... miałam nadzieję, że ty będziesz wiedzieć.

Reina skoncentrowała się.

- No dobrze. Najpierw musimy ich zobaczyć. Przyniosłam lekarstwa. Czy wiesz, co oni jedli? Czy jest coś, co jedli Ingalill i Arill, a czego reszta domowników nie tknęła?

- Trudno mi powiedzieć. Oboje mają zwyczaj chodzić wieczorami do spiżarni i podjadać trochę.

- No tak. W porządku, Ida, musisz opróżnić spiżarnię. Wyrzuć wszystko, czego nie jesteś pewna. I, na Boga, starannie obejrzyj mąkę.

Ida z powagą kiwnęła głową.

- Już o tym myślałam. Uff! Obie miały na myśli to samo. Paskudnego grzyba, który pleni się w mące i czasami powoduje śmierć ludzi, którzy zjedli chleb z takiej zakażonej mąki. Najpierw chorzy cierpią na lekki rozstrój żołądka, potem pojawiają się skurcze i dreszcze. Ludzie się pocą. Kaszlą krwią. W końcu trucizna miesza im rozum. Wielu umiera. To straszna, długa śmierć.

Reinę przeniknął dreszcz. Czuła, że w całym ciele rozrasta się lęk.

On nie może umrzeć! Nie teraz!

Pośpiesznie szła za Idą. Instynktownie odgadła, w które drzwi zapukać.

Ida wycofała się. Pokazała tylko ręką, który pokój należy do Ingalill. Zresztą i tak było wiadomo, bo błagalne prośby Gjerta docierały aż tutaj.

Reina wstrzymała oddech.

Potem zapukała i cicho zawołała Arilla.

Za drzwiami panowała kompletna cisza.

Zapukała znowu, zawołała głośniej.

W końcu zaczęła grozić, że wyważy drzwi, mówiła, że się o niego boi.

Wtedy usłyszała cichy głos:

- Jesteś sama? Zapewniła, że tak.

- Co ty tutaj robisz, Reino?

- Przecież nie przyszedłeś na spotkanie! I Helena powiedziała, że jesteś chory. Ze ty i Ingalill ciężko zachorowaliście. Przyniosłam więc lekarstwa. Wpuść mnie, Arill!

Nie mogła zrozumieć, co go powstrzymuje.

W końcu po chwili uchylił drzwi. Twarz, która ukazała się jej w szparze, sprawiła, że oblał ją zimny pot.

Twarz Arilla była szaroblada, wilgotna. Włosy lepiły się do czoła, oczy zapadły głęboko, sprawiały wrażenie nieprzytomnych. Nie uśmiechnął się do niej. Poruszył tylko górną wargą w jakimś dziwnym grymasie. Widziała, że krew gwałtownie pulsuje w jego żyłach. Blizny na jego umęczonej twarzy zrobiły się sine.

- Arill! Ty... biedaku, ty...

- Tak, jestem chory... chory z tęsknoty za tobą, chory z powodu tego wszystkiego, co nas rozdziela.

O mało jej nie udusił w objęciach.

- Reina, to nie do zniesienia... Spojrzała mu w oczy, dostrzegła w nich czarną rozpacz. Czyżby aż tak to przeżył? Czy żałuje wszystkiego? Ogarnął ją lęk.

- Ja... nie przyszedłeś, Arill. Przecież obiecałeś...

- Zachorowałem, chyba sama widzisz! Całe ciało mnie boli. Helena poszła, żeby przyprowadzić tutaj twoją matkę. Myślałem więc, że będziemy mogli się rozmówić. Ze mógłbym ją zapytać...

Wiedział, że za chwilę się wygada. Ale błyszczące oczy Reiny domagały się odpowiedzi. Nie był w stanie jej od siebie odepchnąć. Jeszcze nie teraz. Musi po raz ostatni zobaczyć to uczucie w jej oczach. Musi wiedzieć.

- Reina, czy ty naprawdę mnie kochasz? Czy naprawdę wybrałabyś mnie spośród wszystkich mężczyzn świata?

Z powagą skinęła głową.

- Nie istnieje nikt inny. Tylko ty. Jęknął po części z radości. Oparła policzek o jego ramię. Głaskała skórę. Małe włoski podnosiły się przy dotknięciu.

- Reina, ja... ja dzisiaj też nie czuję się dobrze. Leżałem całą noc i zastanawiałem się...

To przynajmniej była prawda.

- Czy nie powinna być raczej zwrócić do Ingalill? Z nią jest chyba gorzej. To pewnie jakaś zaraza...

Reina westchnęła.

- Chyba masz trochę gorączki... ciągle jeszcze odczuwasz bóle? Widzisz dziwne wzory przed oczyma? Ruchome punkty i linie? Czy twój żołądek jest w stanie utrzymać jedzenie i picie? Nie marzniesz?

Uśmiechnął się. Wzruszył ramionami.

- Teraz, kiedy tu jesteś... to chyba mam wszystkie te symptomy - odpowiedział.

Reina też się do niego uśmiechnęła. Nie jest tak bardzo chory, jak myślała. Patrzył na nią rozognionym wzrokiem. Opuścił ramiona, uśmiechał się do niej. Czyż w jego oczach nie widać gorączki? Owszem, ale jest lepiej, niż się obawiała.

Usiadła na łóżku. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Ale gdy tylko wyzdrowiejesz, to zaraz przyjdiesz, prawda? Niepewnie skinął głową.

- Ja do tego czasu nic mamie nie powiem. Chociaż prawdopodobnie

już cała wieś o tym gada. Ktoś nas widział. I mnie, dzisiaj. Mama może pytać.

Przymknął oczy, na jego twarzy pojawił się wyraz udręki.

- Będę przychodziła codziennie, dopóki nie wyzdrowiejesz. I zajrzę też do Ingalill. Mama musi się na to po prostu zgodzić. Nie możemy odmawiać ludziom pomocy tylko dlatego, że ich nie lubimy. Myślę, że ktoś mógłby się poskarżyć władzom...

- Możliwe - powiedział cicho. - Ale może to głupie z naszej strony, Reina. Może nie powinnaś tu więcej przychodzić... to znaczy, zanim ja nie stanę na nogi.

Krew pulsowała mu głucho w skroniach.

Już ani słowa więcej. Nie może powiedzieć nic, co by później można było uznać za kłamstwo. Chciał ją tylko całować. Przytulić ją mocno do siebie jeszcze raz.

Tak dobrze mu było, gdy trzymał ją w ramionach. Kiedy poczuł jej ciało przy sobie, wszystko znowu w nim rozgorzało.

Ale przecież nie mógł jej w ten sposób zhańbić.

Po prostu nie mógł, chociaż tęsknota była nieznośna i chociaż wiedział, że będzie tej powściągliwości żałował w ciągu tysięcy samotnych nocy.

Ale teraz po prostu ją obejmował. Raz i drugi wstrząsnął nim szloch, ale ona nie zareagowała. Ten szloch mógł być równie dobrze wyrazem pożądania, jak i żalu.

W końcu wymknęła mu się.

- Jutro - uśmiechnęła się i posłała mu ostatni pocałunek w powietrzu. Wargi jej płonęły. Policzki także miała zaczerwienione. Włosy lekko

potargane, białe, wysokie czoło, taką będzie ją zawsze wspominał. I będzie wspominał ten jej uśmiech.

Ten głos, który wypowiedział najgorętsze wyznania miłosne w paru prostych słowach. Ciężko poruszył powiekami.

- Jutro - mruknął raczej do siebie. Jeśli jutro jej od siebie nie odepchnie, to Johanna może spełnić swoje groźby.

W całym zachowaniu Reiny szukał jakiejś odpowiedzi na swoje pytania. Czy ona by to zniosła? Czy chciałaby go później jeszcze kochać? Czy płomień w niej jest wystarczająco silny, by nie dać się zdusić takiemu wyznaniu?

Nie wiedział.

Nie mógł wybierać. Zbyt wiele w tej grze miał do stracenia. Zresztą właściwie już i tak ją utracił.

Chociaż jeszcze istniała odrobinka nadziei. Maleńka szczelina w tej ciemnej pokrywie chmur, która przesłaniała jego niebo.

Przecież Johanna okazała mu błysk współczucia. W jej głosie przez chwilę nie było nienawiści. Może jednak byłaby w stanie zmienić poglądy. Gdyby tylko miał trochę czasu...

Musiał jednak trzymać Reinę z dala od siebie, tak jak obiecał. Czy ona to zrozumie? Czy powinien jej powiedzieć, że chętnie dałby trochę czasu jej matce, dla dobra ich obojga?

Tak, może. Ale Reina jest taka silna i pewna siebie. Jest gotowa spakować się w każdej chwili i opuścić dom. Może nawet chciałaby tej wojny. Może to prawda, że potrzebuje trochę sprzeciwu, i że musi zachowywać się tak demonstracyjnie?

Był bezradny.

Powinien się teraz przespać.

Jutro...

Nawet w snach ona od niego odchodziła, obudził się zlany zimnym potem, lepki.

Zanim zdążył wstać i ubrać się, zapukano do drzwi. Otworzył, sądząc, że to Ida przyniosła wodę.

To jednak była Ingalill. Pobladła trochę, ale uśmiechała się tryumfująco.

- Już po wszystkim! Pokazała obiema rękami na brzuch.

- Koniec! Nie ma! Masz, zrób z tym coś! Rzuciła mu słoiczek, ledwo zdążył go złapać w powietrzu. Zauważył, że naczynie jest prawie puste.

Kolejny szeroki uśmiech.

- No a co z tobą? Mówią, że ty też miałeś bóle brzucha? No widzisz, mój przyjacielu. Potrafisz, jeśli musisz! Nie sędzę, żeby ktoś miał jakieś podejrzenia, ale...

- Wyjdź z mojego pokoju, Ingalill. Nie masz tu nic do roboty! Wślizgnęła się pod jego wyciągniętą ręką.

- Szczerze mówiąc... mam. Posłuchaj no mnie, Arillu. Tym razem naprawdę nie masz wyboru.

Czuł, że słoiczek pali go w dłoń. Oczy kobiety były takie wąskie, takie przenikliwe. Z trudem oddychał. Ona swobodnie usiadła na jego łóżku, akurat w tym samym miejscu, gdzie wczoraj siedziała Reina...

- Mamy to za sobą - powtórzyła Ingalill z głębokim westchnieniem. - Jesteś teraz wolny, Arill. W każdym razie jesteś wolny od kłopotliwych żądań spadkowych... I ja jestem wolna. Mogę robić nowe plany...

Domyślał się, że dla niego nie oznacza to nic dobrego.

- Chodź, usiądź obok mnie. Nie będziemy przecież nieprzyjaciółmi, prawda?

Nadal stał bez ruchu.

- Wyjdź stąd - mruknął. Ona uśmiechnęła się złośliwie.

- Wczoraj wieczorem przyjmowałeś tutaj Reinę. Widziałam. Tym razem też nie odpowiedział.

- Szybko idziesz do przodu, mój drogi. Bezwstydnie szybko... ale mogę wam pozwolić, byście za sobą latali po nocach. Po kryjomu. Bo przecież Johanna o niczym nie wie, prawda?

Arill domyślał się zasadzki.

- Owszem - potwierdził. - Nic cię to wprawdzie nie obchodzi, ale chcę ci powiedzieć, że ona wie.

- Tak...? Więc to znaczy, że wszystko jest w porządku? No to dlaczego twoja... narieczona... zakrada się tutaj po kryjomu? Dlaczego nie zaprosisz jej do stołu?

Odwrócił głowę.

- Nic ci do tego, Ingalill. Podeszła i położyła mu rękę na ramieniu.

- Oczywiście, że mnie to obchodzi. Ponieważ ona lata za mężczyzną, który pewnego dnia będzie mój. Już ci to mówiłam, mój kochany. Teraz jesteś jak oszalały z pożądania. Więc pozwolę ci, żebyś się wypalił. Z moją młodszą siostrą, bo ja jestem hojna, trzeba ci wiedzieć. Ale jeśli usłyszę choć słowo na temat małżeństwa, to będzie znaczyło, że złamałeś warunki, Arill. Bo to my mamy się pobrać. Tak szybko... jak to możliwe.

Zadrzał.

- Jesteś szalona. Przecież masz męża. Gjert...

- Gjert jest stary. Jest słaby, będzie coraz gorzej. Ta wiosna bardzo

mu się daje we znaki. Czy nie słyszysz, jak kaszle po nocach? Arill, masz dla siebie rok, może dwa. To mi bardzo odpowiada. Gdy tylko dojdiesz do pełnoletności, ja z pewnością będę wolna. A wtedy...

Przyglądał jej się. Miał świadomość, że na jego twarzy maluje się obrzydzenie i że ona to widzi. Pogłaskała jego zdrowy policzek.

- Ty szpetny diable... masz ciało, które wciąż wspominam z radością... Znowu przeniknął go dreszcz.

- Nigdy nie dostaniesz tego, czego pragniesz - oświadczył z uporem.
- Raczej się zastrzelę, niż ożenię z tobą.

Roześmiała się krótko.

- Naprawdę? No, zobaczymy. Ale Arill... jeśli nie zrobisz tak, jak mówię, to możesz oszczędzić tę kulę. Jeśli opowiem władzom tę niedługą, ale paskudną historię, to nie będziesz musiał do siebie strzelać, zajmie się tobą kat. Spędzenie płodu...

- Nie zrobisz tego, nie odważysz się mruknąć ani słowa. Bo jesteśmy oboje w to zamieszani, Ingalill.

Ingalill zrobiła bardzo smutną minę.

- Trudno jest młodej kobiecie rozmawiać o takich sprawach... ale ja już poczyniłam pewne przygotowania, Arillu. Dziś wieczorem opowiem mojej matce o tym smutnym wydarzeniu. Powiem jej, że byłam w ciąży, ale poroniłam. Ona zatrzyma to dla siebie, nie wspomni o niczym Gjertowi. Bo ja jej powiem, że on nie wiedział, iż jestem brzemienna. Że chciałam go oszczędzić... ale kubek, w którym mieszałam truciznę, zachowam, Arillu. Kubek, który później będę mogła pokazać i powiedzieć, że to ty podałeś mi lekarstwo.

Z trudem wciągał powietrze. To wszystko było zbyt niewiarygodne.

Ona jednak nie spuszczała wzroku.

- Kochamy się nawzajem, Arillu. W każdym razie ja kocham ciebie. Ty podstępnie zaciągnąłeś mnie do łóżka, w wyniku czego zaszłam w ciążę. A potem dałeś mi truciznę, żeby wybrnąć z tej nieprzyjemnej sytuacji. Ponieważ uznałeś, że Reina jest lepszą partią.

- Nikt na świecie ci nip uwierzy!

- Zobaczymy. Zobaczymy, kiedy Johanna odkryje, że mowa jest o tej samej truciznie, której brak z pewnością zauważyła. Zobaczymy, kiedy Reina będzie musiała pod przysięgą zeznawać, że byłeś w Vildegard akurat wtedy, kiedy lekarstwo zginęło.

Długo przętykał ślinę. Ucisk w gardle nie ustępował.

- Nie... Nie był w stanie powiedzieć nic rozsądnego, bąkał tylko gardłowo jakieś trudno zrozumiałe słowa.

- Nie... to... ty... Ręce same uniosły się do jej szyi. Złapał ją i potrząsał tak, że ruda czupryna wysunęła się spod czepka. Ingalill bała się, widział, że oczy wychodzą jej z orbit. Ale w ich spojrzeniu wciąż był triumf.

Ingalill wiedziała, nawet w tej strasznej chwili, że on nie odważy się jej zamordować.

Puścił ją.

Kaszlała długo i pocierała szyję.

- Ostrożnie, Arill. Zostaną ślady. Sine ślady. Postaram się, żeby jutro ktoś je zobaczył. Dla pewności... dzięki temu moja historia będzie dużo bardziej wiarygodna.

Podłoga zakołysała się pod jego nogami. Niemal słyszał, że zatraskują się za nim drzwi klatki.

Córka Heleny wyprostowała plecy, na jej ustach pojawił się znowu lekki uśmieszek. Patrzyła na niego bez lęku. Pocałowała go w brodę.

- Będzie naprawdę dobrze, zobaczysz - szepnęła. - Znam dużo więcej sztuczek, niż zdołałam ci ostatnio pokazać, zresztą byłeś strasznie pijany.

Pogłaskała się po piersiach.

- Czekaj więc... i ciesz się. Reina przyszła znowu, kiedy wiosenny wieczór sprawiał, że cienie były niebieskie. Przyniosła ze sobą łagodny wywar z czarnych jagód i kminku.

Sama tym razem znalazła jego drzwi, zapukała tylko cichutko i szybko wsunęła się do pogrążonego w półmroku pokoju. Nie zapalił jeszcze lampy. Leżał wyciągnięty na łóżku, nie odpowiedział, kiedy z uśmiechem zawołała jego imię.

- Arill, śpisz? Odstawiła koszyk. Przeszła przez pokój. Serce o mało mu nie pękło, kiedy musiał odwrócić od niej twarz.

- Zatrzymaj się - rzekł ochryplym głosem. - Nie zbliżaj się...

- Co? Ależ mój kochany, ja jestem przyzwyczajona do chorób. Wiesz, że ja sama nigdy nie choruję. A teraz mam...

- Zatrzymaj się! Nie dotykaj mnie! Słyszał, że Reina ze świstem wciąga powietrze.

- Co się z tobą dzieje, Arill? - powiedziała wolno. - Czy jest ci dzisiaj gorzej...?

- Nie jestem chory - syknął. - W każdym razie nie tak, jak myślisz. Niemal czuł, że ona zdrętwiała. W ułamku sekundy uznał, że ten jej lęk jest najlepszym rozwiązaniem.

- Ale tak - rzucił gwałtownie. - Tak, jestem chory! Na tę samą chorobę co mój ojciec. Trzymaj się z dala ode mnie, Reina! Tej choroby

nie da się wyleczyć!

Niepewnie cofnęła się o kilka kroków, ale nie dała się wypchnąć, trzymała się mocno futryny, kiedy on zerwał się z posłania i chciał zamknąć za nią drzwi.

- Nie! Arill, zostaw mnie! Nie jesteś szalony, nie jesteś... masz gorączkę, mój kochany, bredzisz nieprzytomnie! To całkiem normalne, nie bój się...

Chwycił ją za rękę. Niemal ją zmiażdżył, jego oczy ją przeraziły.

Kiedy jednak poczuł dotknięcie jej palców, przestał ją wypychać za drzwi.

Widziała, że drży. Przymknęła oczy i trzymała go mocno.

W końcu zachwiał się, przestał naciskać na drzwi. Reina znowu weszła do pokoju. Stała pośrodku i bez słowa przyglądała się Arillovi.

- Co się z tobą dzieje, mój ukochany? - wyszeptała w końcu ledwo słyszalnie.

Arill wciąż stał przy drzwiach, jak skamieniały, ale teraz spojrzał jej w oczy.

Zebrała się na odwagę i jeszcze raz go dotknęła. On gwałtownie zacisnął powieki, zaskomlał niczym raniony pies.

- Jesteś chory... Zaprowadziła go do łóżka, opadł bezwolny na posłanie. Ona uklękła przy nim, próbowała pochwycić jego spojrzenie. Ujęła jego lodowate dłonie, błagała o jakąś reakcję. On jednak trwał bez ruchu, daleki...

- Co się dzieje? - zapytała znowu z zaciśniętym gardłem. Wciąż nie odpowiadał.

- Arill, ja... czy ty żałujesz? Teraz drgnął. Popatrzył na nią

zdziwiony.

- Czy żałuję...? Nie... Odetchnęła z ulgą.

- W takim razie co ty ze sobą robisz? Przecież nie masz gorączki!

Wtedy roześmiał się krótko i ponuro.

- Co ty sobie myślisz? Reina, to niemożliwe. Ja nie mogę... nie wolno mi...

Czekała długo, ale on nic więcej nie powiedział.

Oparła się o jego kolana, pochyliła się nad nim, szukała wargami jego twarzy. Wciąż leżał jak nieprzytomny. Czowała jednak, że pierś mu drży, że chwytą powietrze, próbując równocześnie ukryć wzburzenie.

Jego wargi stawały się wiotkie pod jej pocałunkami, czowała, że w jego ciele narasta gorączka, nagle jednak stłumił ogień i odwrócił się od niej.

Reina przestraszyła się nie na żarty.

Chwiejnie stanęła obok łóżka.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała po raz któryś. Wtedy on popatrzył na nią pustym wzrokiem.

Lodowata obręcz zacisnęła się wokół jej serca.

Widziała Magnusa. Widziała, jak biegnie przez trawnik w stronę altanki, ku roześmianym ludziom. Widziała strzał, rozrastającą się gwałtownie plamę krwi. Włosy Marji, które uniosły się i opadły bezwolnie.

- Nie - jęknęła. - Tylko nie to... Arill czuł, że ogarnia go przyjemna niemoc. Jakby przemarzył do szpiku kości, a teraz chłód się cofnął, zabrał wszystko, zarówno ból, jak i radość. To pewnie tak jest, kiedy się umrze.

Reina wciąż przerażona patrzyła na niego. On ją powstrzymywał uniesionymi ostrzegawczo dłońmi.

- Nie, tylko nie to... Pozwalał jej patrzeć tak długo, jak tylko mogła. Potem widział, jak biegnie w stronę drzwi.

Słyszał stukot jej kroków w korytarzu, na schodach. Prawdopodobnie w stronę pokoju Ingalill. Zdążyła też zabrać ze sobą swój koszyk.

Arill się nie poruszył.

Czy zechce mu uwierzyć? Czy będzie się trzymać z daleka od niego?

Roześmiał się krótko, jak szaleniec.

Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości! Można przecież oszaleć z dnia na dzień.

Ingalill nie chciała nikogo wpuścić. Słyszeli, jak hałasuje w pokoju, ścieli łóżko i układa jakieś rzeczy, odpowiadała im wysokim i jasnym głosem:

- Czuję się już dobrze! Przeszło mi. Pozwólcie mi tylko ogarnąć się trochę, nie mogłabym się wam tak pokazać. Po prostu cuchnę! Reina, bądź taka dobra i przynieś mi trochę wody...

Reina nie była w stanie czekać, aż Ingalill będzie gotowa. Opuściła Storlendet zdecydowanym krokiem, nie zauważyła nawet, że żółte kwiatki podbiału płoną niczym małe słoneczka na skraju drogi.

Ida dogoniła ją zaraz za płotem.

Siwowłosej kobiecie najwyraźniej coś leżało na sercu.

Reina zatrzymała się.

- Ida... Małe oczy tamtej taksowały ją uważnie.

- On... on... mówi, że zwariował, jak Magnus. Ida ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Biedne dziecko - westchnęła cicho.

Reina czuła, że łyży palą ją pod powiekami. Współczucie to coś,

czego akurat teraz nie była w stanie znieść. A w dodatku Ida położyła szorstką dłoń na policzku Reiny, wtedy w sercu dziewczyny wszystko się załamało i wybuchnęła płaczem.

- Co to się dzieje? - szlochała. - Co to za szatani chcą nas rozdzielić...? Ida odważyła się nareszcie:

- Ty go kochasz, prawda? Mieliście plany...

- Tak! On przysięgał! Obiecywał! Mieliśmy się pobrać, jak tylko osiągniemy wiek, w którym będziemy mogli to zrobić bez zgody mojej matki!

Ida wsunęła rękę pod łokieć Reiny.

- Pozwól, że odprowadzę cię kawałek. Będziemy mogli porozmawiać, jeśli zechcesz.

Reina skinęła krótko, twarz miała zapłakaną. Ta kobieta jest jedyną osobą na świecie, która zna Arilla lepiej niż ona sama. Może będzie mogła dać jej jakąś odpowiedź.

Przytuliła się do Idy, która była niemal o głowę od niej niższa.

Ida popatrzyła spod oka w górę.

- Dorosłaś, Reino Vildegard. I jesteś bardzo ładna. Westchnęła ciężko.

- Ale to chyba ci nie pomoże... bo na dodatek do tego wszystkiego jesteś za mądra.

Mijały zieleniejące pola. Nad rowem kwitły zawilce. Ida wciągała głęboko zapachy wiosny. Nos Reiny był zatkany od płaczu.

- Ty rozumiesz, Reino... życie Arilla nie było łatwe. Ani przedtem, ani teraz. On... on ma te problemy... woli się wycofać, niż podjąć walkę. Ale nie, nie jest tchórzliwy. On po prostu nienawidzi awantur i

niepokojów. Kłótni...

- Ale chciał się przeciwstawić mojej matce! I zrobił to! Ida chrząknęła.

- Hm. Hm. Możliwe. Ale... jeśli za bardzo się go naciska, to robi się właśnie taki. Zamyka się, wycofuje... pamiętam, kiedy był mały... kiedyś zniknął na wiele dni. Zbudował sobie szałas w lesie.

- Tak chyba robią wszyscy mali chłopcy! Ida przystanęła.

- On jest wyjątkowy, mój Arill. Tak. Tak go nazywam. Jest wprawdzie synem mojej siostry, ale także moim. Nigdy nie znał innej matki.

Reina uśmiechnęła się poprzez łzy.

- I chyba nie potrzebował innej, Ido! Kobieta uśmiechnęła się z wdzięcznością.

- Mam dla ciebie radę, Reino. Reina czekała. Ida ujęła ją za rękę.

- Rozumiesz... ja wiem, co czujesz. Wiem, jaki człowiek może być oszołomiony. Nie śmieję się ze starej panny, Reina! Ja... ja też mam adoratora...

Reina musiała się uśmiechnąć. Twarz Idy zrobiła się okrągła i łagodna, kiedy o tym wspomniała. Oczy nabrały koloru!

- On też się wahał, trzeba ci wiedzieć. Bronił się przed odpowiedzialnością, może przed wstydem, że dwoje starych ludzi... No trudno. Ja wiem, że to się ułoży. Czekam cierpliwie.

Reina spojrzała na nią.

- Mówisz, że Arill się tylko trochę boi? Boi się małżeństwa ze mną? Ida spokojnie przytaknęła.

- On jest bardzo młody. A to małżeństwo, gdyby do niego doszło...

musiałby się zmierzyć z tym smokiem, którego masz za matkę. Niejeden starszy i silniejszy mężczyzna by się na to nie poważył!

Reina wpatrywała się w ziemię.

- Może i mówisz prawdę. Ale co ja mam zrobić? Ida przytuliła ją do siebie, pogłaskała wyprostowane plecy.

- Powinnaś być cierpliwa. Nie pozwól, żeby zwątpił w twoją wolę. Pozwól mu się zastanowić. Pozwól mu dojrzeć...

- Ja się boję! Myślę o nim w każdej chwili, każdego dnia! Ida chrząkała.

- To oczywiste. I ciesz się tym, Reino, ponieważ takie oszołomienie można przeżyć tylko raz.

- Ja chcę, żeby on przy mnie był! Całe ciało mnie boli z tęsknoty za nim, oszaleję, jeśli nie będę wiedziała...

- No właśnie. Może to jest tak, że ty potrzebujesz odrobiny szaleństwa? A jeśli chodzi o niego... to on do ciebie przyjdzie. O, tak, nie potrwa to długo. Ja znam Arilla. On jest zapatrzony w ciebie tak, jak tylko to możliwe. A jego uczucia są naprawdę silne. Bardzo silne, mój drogi chłopiec kocha raz na całe życie, jest wierny...

Reina skinęła głową. W końcu ta kobieta powiedziała słowa dające nadzieję. Otarła łzy rękawem bluzki.

- Dziękuję ci, Ida. Uspokoiłaś mnie trochę. Ida uśmiechała się leciutko.

- I o to właśnie chodziło. Ale Reino... ile wie twoja mama? Reina wzruszyła ramionami.

- Ona chyba myśli, że tych parę tygodni poza domem mi pomogło. Chociaż to nieprawda. My... my daliśmy sobie nawzajem słowo. I

dotrzymamy tego. Ona będzie musiała uznać naszą wolę, kiedy Arill poprosi o moją rękę w obecności świadków. W przeciwnym razie zrobimy... zrobimy coś desperackiego.

- Czy ty jesteś... wybac mi, nie chciałabym za bardzo się wtrącać w twoje sprawy, ale...

Reina pokręciła przecząco głową.

- Nie. Jeszcze nie. Tak myślę przynajmniej! Ida uśmiechnęła się, słysząc upór w głosie tej młodej kobiety. Tak, tak, dobra pani z Vildegard będzie stanowić twarde orzech do zgryzienia. Ubrana na czarno, z surową miną, przyjechała konno do Storlandet, żeby zabrać swoją córkę do domu. Tak samo zdecydowanie wywiozła Reinę do swego ojca do położonej na uboczu zagrody.

Z Johanną nie ma żartów. Nie należy jej prowokować. Jako jedyna kobieta zasiada w komisji dla biednych, jest też w zarządzie szkoły i ma pozwolenie księdza, by udzielać nauk kobietom.

Ma królewski list pozwalający jej być akuszerką, a w dodatku rozporządza lekarstwami, które na ogół znają tylko lekarze. Czyta książki w obcych językach i zna słowa, jakich nikt inny w całej okolicy nie słyszał. Nawet pastor i przyjeżdżający na lato studenci.

Reina wybrała sobie bardzo trudne pole do uprawy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nietrudno było zgadnąć, dokąd Reina chodziła przez dwa ostatnie wieczory. Johanna trzymała język za zębami. Teraz zobaczy, czy Arill zamierza dotrzymać obietnicy. Pierwszego wieczoru córka wróciła do domu rozjaśniona, beztroska, nic nie mogło wprowadzić Johanny w błąd. Dziewczyna promieniała zakochaniem. Szczęściem?

Chciała mu dać jeszcze jedną szansę, nie protestowała więc, gdy Reina następnego wieczoru też wymknęła się z domu.

A kiedy później Johanna zobaczyła jej twarz w chwili, gdy zamykała drzwi do swojego pokoiku, przekonała się, że Arill Storlendet wypełnił swoją część umowy.

Spokojnie poszła do Reiny.

- Wszystko skończone, prawda? On uznał, że dość już tej zabawy? To były twarde słowa, wiedziała, że rani serce Reiny. To jednak konieczne.

Reina leżała na brzuchu na swoim łóżku, ukrywając twarz w poduszce. Drżała, ale nie wydała z siebie najmniejszego dźwięku.

Johanna zapaliła lampę od świecy, którą trzymała w ręce.

- Zapomnisz o tym, moja mała. Jakkolwiek dziwne i niewiarygodne mogłoby ci się to dzisiaj wydawać, to zapomnisz o tym.

Reina nie protestowała. Leżała całkiem spokojnie.

Ale w jej głowie myśli toczyły się ciężko niczym młyńskie kamienie.

Bał się. Cofnęła się pod ścianę. Arill bał się Johanny tak jak wszyscy inni. Ale że jest aż takim tchórzem! Że nie zechciał przeciwstawić się Johannie, podczas kiedy ona sama...

- To ty zniszczyłaś wszystko - wybuchnęła w końcu. - Ty głupia,

uparta, bezduszna kobieto! Zniszczyłaś całe moje życie! Wystraszyłaś go śmiertelnie!

Johanna głośno przełknęła ślinę. Czy córka wie? Czy ten drań jej to powiedział?

Ledwo się odważyła dotknąć pleców Reiny. Córka odskoczyła gwałtownie.

- Wyjdz! Nie chcę cię tutaj. Wystraszyłaś go, ty nienawistny trollu! Rozmawiałaś z nim i Bóg wie, jakimi groźbami się posłużyłaś!

Johanna odetchnęła. Więc jednak Reina nic nie wie. Tylko się domyśla. Reina umie czytać w twarzach. Nigdy nie wie wszystkiego. Aż tak bardzo nie różni się od swojego ojca, a Johanna nauczyła się już dawno orientować, ile on jest w stanie widzieć.

- Przetrwasz to jakoś, córeczko - powiedziała łagodnie.

Wściekłe przekleństwa córki piekły ją w sercu, ale wybaczała jej to z ochotą.

Reina jest wstrząśnięta. Zdradzona. Porzucona. Najbardziej cierpi jej duma, domyślała się Johanna. A najgorszy ze wszystkiego jest chyba fakt, że musi potwierdzić, iż to matka miała rację.

Nie mogła postąpić inaczej. Johanna czuła się bezpieczna, uważała, że cel uświęca środki, wybaczała sobie kłamstwa, Reina bowiem zasługuje na coś lepszego. Trzeba ją chronić przed szponami rodziny Storlendet, żeby to nie wiem ile miało kosztować.

I tak jeszcze cena nie jest zbyt wysoka.

Johanna musiała się uśmiechnąć na wspomnienie Arilla, kiedy podawała mu słoiczek.

Nieszczęśnik był śmiertelnie przerażony. Pewnie bał się kary. Bał się

jednak też i tego, że musi dzielić się tą paskudną tajemnicą z własnym wrogiem.

Mimo to wziął słoik. Widocznie był ktoś, kogo bał się jeszcze bardziej: Ingalill.

Johanna domyślała się, jaka walka musiała się tam rozegrać, na tyle dobrze znała Ingalill, by wiedzieć, że ten młody człowiek musiał znieść wiele.

Reina nie wydawała z siebie głosu.

Johanna siedziała. Zaczęła sprzątać trochę na zarzuconym papierami biurku. Książki, notatki, złamane pióro, kawałki bibuły...

Uniosła jakiś arkusik do światła. Reina miała ładny, wyraźny charakter pisma, bez żadnych zawijasów, jakimi często kobiety ozdabiają litery. Ten przypominał raczej druk, a słowa stały równiutko w rzędzie. Dziewczyna jest porządna. Zręczna i zdolna. Powinna zająć daleko.

Nie wolno jej rzucać wszystkiego dla tego głupiego chłopskiego syna, który na dodatek zawraca jej w głowie tylko po to, by przeciwstawić się woli Johanny.

Ale przegrał. Na wszystkich frontach. I wie o tym. Johanna westchnęła.

Wkrótce nadejdzie lato. Wieś ożyje. Do Zamku Marji przyjadą jak zawsze goście, być może pojawi się też jakiś mądry młody człowiek, student lub oficer... ktoś, kto mógłby skierować myśli Reiny na inne tory.

Ktoś taki musi się gdzieś znajdować. Reina bowiem zasługuje na najlepszego.

W końcu usłyszała, że oddech Reiny stał się miarowy i spokojny. Dobrze. W końcu zasnęła, niech odpoczywa.

Johanna ułożyła porządnie książki na półce, zgarnęła kurz i papiery z blatu stołu. Potem okryła śpiącą córkę cienkim kocem i opuściła pokój.

Izba chorych była teraz pusta.

Usiadła tam i próbowała uwolnić się od uczucia pieczenia w żołądku.

Nie słyszała nad ranem stłumionych krzyków córki, nie wiedziała, że spokój, który Reina prezentowała przy posiłkach następnego dnia, był martwą, zimną maską.

Reina bowiem widziała.

Szukała, z wysiłku wbijała palce w drewnianą ścianę. To jest możliwe, to musi być możliwe! Któregoś razu musi doprowadzić do tego, że zobaczy także swoją przyszłość!

Wystarczyło, żeby trzymała jakiś przedmiot w ręce, a obrazy przepływały obok same z siebie. Mogła utkwic spojrzenie w jakimś człowieku i czytać z jego twarzy. Dowiadywała się, czy ludzie się boją. Czy są niespokojni. Czy noszą w duszy kłamstwa. Czy walczą z takimi samymi szarymi cieniami jak te, które i ona wiele razy dostrzegła za swoimi plecami.

Ale nie. Krzyczała, zmęczona wysiłkiem. Czuła, że jedyne, co spowodowała, to te przepływające przez nią obrazy, którymi nie była w stanie kierować. Potężne i gwałtowne.

To śmierć. Nagła, bolesna śmierć. Widziała tłumy ludzi, wiele łodzi. Przesłaniała to wszystko gęsta mgła. Potem ukazał jej się jakiś orszak weselny, młoda kobieta siedziała wysoko na koniu, na głowie miała ślubną koronę. Muzykant grał cicho, jakby z wahaniem. W każdym pociągnięciu smyczka czaił się lęk. W końcu muzyka ucichła.

Muzykant też zniknął we mgle.

Znajdowali się na morzu. Jeden tonący pociągał za sobą drugiego. Krzyk. Rozdzierające wołanie o pomoc. Słyszała imiona. Wszyscy ci ludzie byli młodzi, mieli nie więcej niż dwadzieścia lat. Po chwili mignęła jej jakaś znajoma twarz: to Bendik. Stał ze spuszczoną głową przed jakimś sędzią. Tłumaczył się. Był świadkiem nieszczęścia. Sam kogoś uratował.

Ocknęła się z tym obrazem pod opuchniętymi powiekami. Krzyknęła. Głośno wciągała powietrze, panika tonącej kobiety ogarnęła teraz ją.

Uspokoila się na moment, ponieważ nowe fragmenty obrazów przelatywały jej przez głowę.

Masakra, rzeź, martwe ciała ludzi rozrzucone na dużej powierzchni. Gęsty, ciemny dym z armat. Zimny świst stali w powietrzu. Buchająca krew, jakby pompowana na powierzchnię poranej ziemi.

Żadnej znajomej twarzy. Żadnych uczuć w pobliżu. Mimo to pochyliła się w skurczu bólu i zwymiotowała. Zewsząd sterczały bagnety, wszyscy żołnierze byli przerażeni, ona tymczasem wiedziała, że nigdy nie wrócą do domu...

To był jej los, wszystko to odczuwała jako własny los.

- Tato! Krzyczała niewyraźnie.

- Tatooo...! Głos nie chciał jej słuchać, krzyk przypominał skrzypienie zardzewiałego żelastwa. Wciąż jeszcze znajdowała się w szponach swoich widzeń, jeszcze się nie uwolniła.

Tej nocy nie mógł spać. Nie tylko ciało było zmęczone w wyniku działania pigułek, pocił się strasznie, czuł się ociężały także z powodu wypitego wina, zamazane doznania z trudem przedzierały się do jego świadomości.

Małe kamienne pomieszczenie było ciepłe. Lato powoli docierało aż tutaj, powietrze ogrzało się i pachniało kwiatami.

Niedawno minęła Wielkanoc, ale Ravi przestał liczyć dni.

Najpierw myślał, że to Viveke go woła, jej ostry głos był jedynym dźwiękiem, jaki przedostawał się przez grube warstwy wełny, którą, jak mu się zdawało, był owinięty.

Ale wołanie dochodziło z zewnątrz.

Kiedy sobie to nareszcie uświadomił, zaczął walczyć.

Wciąż był oszołomiony alkoholem, myśli rozbiegały się niczym cieleta po łące, kiedy próbował je jakoś zebrać.

Ale wołanie było wyraźne. To dodało mu sił.

Otworzył usta, chciał odpowiedzieć.

Zaraz jednak uświadomił sobie, że to nie jest konieczne. Zamknął więc oczy i starał się wsłuchać w dalekie wezwania.

Nie, nie, moja kochana... nie bój się. To przejdzie. Dasz sobie radę. Ale nie przymuszaj ich, tych diabłów, czy co to gra w twojej głowie, przewidując przyszłość. Nigdy nie próbuj ich przymuszać, moja najdroższa. Pozwól tylko, niech przepływają obok ciebie...

Uspokoila się. Wyczuwał to. Czuli, że wysuszone wargi pieką go i szczypią.

Potem zniknęła. On jednak był przekonany, że słyszała jego odpowiedź. I że teraz boi się trochę mniej.

Jego ukochana Reina, kiedy to po raz ostatni o niej myślał? Czy to minęła sekunda, czy rok?

Nie wiedział.

Powoli odzyskiwał rozsądek.

Mało brakowało, a byłby się poddał. Pozwoliłby unieść się temu, co zdawało się niemożliwe do zmienienia.

Ona go w jakiś sposób ochroniła. Ona przypomniała mu to, czego nie mógł zapomnieć, a czego nie był w stanie pamiętać.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Lipiec

- I co my zrobimy? - powiedziała Emmi cicho, przytulając głowę do ramienia Diany. Obie kobiety siedziały na wygodnej huśtawce pod dachem z kwiatów. Letni wieczór był jasny i bardzo piękny, w koronach drzew zawzięcie śpiewały ptaki, a niebo było takie błękitne, że niemal przezroczyste.

Diana zaciągała się powoli długim cygarem. Paliły je obie na zmianę, rozkoszowały się dymem, który również przypominał im Marję.

- Nie wiem - odparła Diana raczej beztrosko. - Ale to się jakoś rozwiąże, zobaczysz, pewnego dnia...

- Ona jest jak zaczarowana. Nigdy nie będzie lepiej. Ona ma serce z kamienia!

Diana zachichotała, ale nie było w tym radości.

- Nie powinnyśmy były pozwolić, by sprawy zaszły tak daleko. Nie powinnyśmy były sądzić, że to przejdzie. Naturalna rozpacz taka nie bywa. Nie jest taka zaciekła, nie trwa tak długo.

- Minęło zbyt wiele czasu. On nie żyje. Diana skinęła wolno.

- A najgorsze, że ona także jakby nie żyła. Jest martwa. Zgubiona, stracona dla nas.

Emmi wypuściła parę kółek dymu. Rozpływały się szybko w powietrzu.

- No ale co my zrobimy? Co powiemy innym? Przecież oni lada moment przyjadą.

Teraz Diana przejęła cygaro, zaczynało gasnąć.

- Powiemy po prostu, jak jest, a oni będą musieli się z tym pogodzić.

Johanny nie da się... odmienić. Nawet to, jak sędzę, nie jest w stanie jej odmienić. I jest niebezpieczeństwo, że ona by chciała... no wiesz. Jest taka twarda. Czasem myślę, że ona całkiem straciła serce. Tylko popatrz, co się dzieje z Reiną... moim zdaniem Johanna maczała palce w tej grze. Arill to nie jest chłopak, który by się bawił uczuciem.

Emmi wzięła z jej rąk cygaro i odłożyła na bok. Jakieś ptaki zaczęły teraz krzyczeć ostrzegawczo i wkrótce też zobaczyły małego pieska Aurory, jak się skrada w krzakach. Szykował się do polowania!

- Ona po prostu straciła godność - mruknęła Emmi z urazą. Diana przytuliła do niej policzek.

- Takie jest życie - powiedziała cicho. - Nie zawsze sprawy układają się tak, jak powinny. Dla nikogo z nas.

Pocałowały się czule.

Reina stała na dole przy starym drzewie i patrzyła na nie. Przeniknął ją dreszcz, szok pomieszany z zakłopotaniem. Nie miała odwagi się poruszyć, nagle przestraszona, że ją zobaczą.

Czy by się przelękły? Odskoczyły od siebie w popłochu? Czy próbowałyby się tłumaczyć? Jąkałyby się i czerwieniły?

Stała. Wpatrywała się w nie tak długo, aż policzki zaczęły ją palić.

I nagle uświadomiła sobie, że od dawna o tym wie.

Kiedy Emmi pochyliła się mocno, by dolać ciepłej kawy do filiżanki Diany, przed Reiną otworzyła się droga. Ruszyła przed siebie szybkim krokiem. Chciała, żeby ją słyszały.

Wołała je po imieniu, starała się, żeby jej głos brzmiał lekko i beztrosko.

To był błąd.

Obie popatrzyły na nią zdumione. W tym momencie sama sobie uświadomiła, jak fałszywie brzmi to jej wesołe powitanie. Przecież przez całe lato obnosiła chmurną minę, matka mówiła, że jest kwaśna.

- Reina! Jak to miło, że do nas wstąpiłaś! Aurora właśnie się położyła, Astrid również. Bo widzisz, one przez cały dzień ciężko pracowały ze służącymi. To całe zamieszanie z zamówieniami! Czy uwierzysz, że ten głupi kupiec jeszcze raz się pomylił? Pomyśl, przysłał nam cztery zwoje brokatu, chociaż wyraźnie zamawialiśmy adamaszek na nowe obrusy!

Obie zachowywały się nerwowo. Emmi mówiła bez przerwy. Reina panowała nad sobą, śmiała się razem z nimi. Ale jej wzrok nieustannie szukał rąk obu kobiet, kierował się ku ich wargom. Ku ich zarumienionym policzkom.

W końcu Emmi umilkła. Ponownie zapaliła cygaro, przytknęła je do niskiej świeczki pod dzbankiem z kawą.

- Był w tym jakiś sens - powiedziała cicho. Reina podniosła wzrok. Emmi uśmiechnęła się.

- No, że nas widziałaś... Reina spokojnie wciągnęła powietrze.

- Właściwie to nie wiem, co mam myśleć - jęknęła żałośnie. Emmi poklepała ją po ramieniu.

- To nie takie trudne - powiedziała. - Po prostu kochamy się. Jak każda inna para. Kochamy się od wielu lat.

Reina wyjąkała:

- Ale ty, ty... byłaś zamężna... miałaś męża! Takie kobiety nie wychodzą za mężczyzn!

Emmi uniosła brwi.

- Takie kobiety? Reina nie wiedziała, co powiedzieć. Wtrąciła się Diana:

- Dla nas nie jest to trudniejsze niż na przykład dla ciebie odgrywanie komedii, jeśli miała byś wyjść za kogoś, kogo nie lubisz. Czy rzecz nie polega po prostu na tym, by zaakceptować konieczność?

Reina przytaknęła niepewnie.

Tak, chyba tak to jest. Ale aż ją palił język, musiała bardzo nad sobą panować, by im nie wygarnąć.

To przecież grzech. To nienaturalne. To jedna z diabelskich sztuczek mająca na celu doprowadzenie człowieka do upadku.

- Czy... mama o tym wie? Ku jej wielkiemu zdumieniu obie potwierdziły. Wszystko wydało jej się przez to łatwiejsze. Johanna umiała oddzielić właściwe od niewłaściwego. Ona zna Boga dużo lepiej niż inni. Wie dokładnie, co on sądzi o każdej sprawie. Reina uświadomiła sobie, że szok, który przeżyła nie ma teraz znaczenia. Bo tak naprawdę to przeraziła ją myśl, co matka na to powie.

- Więc ona... nie uważa, że grzeszycie? Emmi wybuchnęła śmiechem.

- Moja kochana, śliczna mała... oczywiście, że tak uważa. Nie sądzi chyba jednak, że to bardzo wielki grzech. Powiedzmy taki średni. Taki, co to można wybaczyć, jeśli poza tym grzesznik zachowuje się poprawnie.

W głosie Emmi brzmiała ironia. Emmi kochała Johannę, nie lubiła tylko tej jej nieugiętej surowości ani tego jej czasami bardzo ponurego Boga.

- Johanna bywa bardziej surowa niż anioł zemsty - powiedziała Diana.

- Sama dobrze wiesz, Reino, że ona nie zboczy z właściwej ścieżki ani na krok. A z latami staje się coraz gorsza...

- Bardzo tęskni za tatą - powiedziała Reina. - Gdyby on tutaj był, to... Nie dokończyła, wiedziała jednak na pewno, że przy ojcu charakter matki tak bardzo by się nie zmienił. Z nim wszystko by było inaczej. Współczuła matce. Wiele o tym myślała. Kiedy Arill się wycofał, a matka demonstrowała, jak bardzo zawsze miała rację...

Wtedy chyba była zadowolona, choć przecież wiedziała, że serce córki krwawi.

Reina zwilżyła wargi i patrzyła, jak Emmi próbuje tchnąć życie w cygaro. Oczy Diany były czyste i spokojne.

- Czy o czymś jeszcze mogłybyśmy ci opowiedzieć, Reino? - zapytała łagodnie.

Tysiące pytań cisnęło się na wargi, ale Reina uważała, że teraz nie mają już znaczenia. Uśmiechnęła się. Podziękowała za herbatę.

- Właściwie to przyszedłam, żeby się przywitać z Aurorą i zapytać, czy nie poszłaby jutro ze mną do Britty. Biedaczka urodzi lada dzień i strasznie się nudzi.

- Powiemy o tym Aurorze jutro rano. Zresztą możesz sama pójść i zobaczyć, czy jeszcze nie śpi.

Reina wzruszyła ramionami.

- Nie, to nie takie pilne. Mogę poczekać do jutra. Zresztą to mama nalega, żebym tam poszła. Ja sama nie mam wielkiej ochoty.

Obie kobiety patrzyły w ślad za nią, gdy odchodziła, machając na pożegnanie.

- No, czas najwyższy - mruknęła Diana. - Już mnie zmęczyła ta gra.

Emmi ujęła jej rękę.

- Całe nasze życie jest grą - powiedziała łagodnie. - Ale my mamy szczęście, moja kochana. Jesteśmy wolne. A już tutaj, na wsi, jesteśmy wolne jak ptaki.

Diana oparła się o miękkie poduszki. Przymknęła oczy i westchnęła.

- To prawda - powiedziała. - Nie mogło nam się trafić lepsze życie. A już niedługo... niedługo będziemy znowu tańczyć i cieszyć się.

Zanuciła wesołego menueta.

- Ach, ty... żeby myśleć tylko o zabawach i przyjemnościach! Jesteś jeszcze gorsza niż Astrid!

Uśmiechały się tajemniczo do siebie nawzajem.

- Oooo, no nie wiem... Chyba jednak nie gorsza niż Astrid? I jak na dany znak obie kobiety wybuchnęły głośnym śmiechem. Matka nie miała nic przeciwko, kiedy wkrótce potem Reina oznajmiła, że zamówiła już miejsce na statku i zamierza pojechać z wizytą do brata.

Wzywał ją. Tak samo jak w czasach, kiedy byli młodszy, wyraźnie słyszała jego nieme wołanie. On czasami także słyszał ją, jak na przykład tego dnia, gdy wspięła się wysoko na drzewo i nie umiała zejść na dół. On przyszedł, wyciągał do niej rękę, przekonywał, żeby jednak próbowała zejść, a potem przyniósł drabinę.

Tak, teraz Benjamin jej potrzebuje.

W wizjach jednak nie było przymusu, to raczej jej własna tęsknota potęgowała wezwanie.

A poza tym bardzo też chciała obejrzeć siedzibę barona. Przekonać się, czy to prawda, co ludzie gadają, że to istny raj na ziemi. Ze już nie może być nic wspanialszego.

Powinna teraz napełnić serce wyłącznie dobrymi uczuciami i tęsknotą za bratem, którego wkrótce zobaczy. Może spotkanie z nim złagodzi choć trochę tę drugą tęsknotę, od której nigdy się przecież nie uwolni.

Arilla nie było od Wielkanocy. Dowiedziała się o tym we wsi. Ludzie mówili, że wyjechał, żeby zaciągnąć się do wojska. Starsi trochę się z tego śmiali, uważali, że to przesada z tymi żądnymi przygód młodymi ludźmi, którzy chcą się zaciągać do wojska. Do tego stopnia przesada, że władze powinny się wiele razy zastanowić, zanim wpiszą do wojskowych rejestrów dziedzica dużego gospodarstwa, który na dodatek jest sierotą. A poza tym po co komu teraz żołnierze? Wojna na świecie właśnie się skończyła. Norweskie statki handlowe świetnie zarabiały na swojej neutralności i byłoby lepiej, żeby chłopak ze Storlandet i wszyscy inni, którzy posiadają ziemię, z nią wiązali swoje życiowe plany.

Reina powiedziała sobie, że dla niej to żadna różnica. Czy Arill jest w domu czy nie, póki nie chce jej widzieć, jej sytuacji w niczym to nie zmienia.

Nieustannie rozmyślała o ich ostatnim spotkaniu, roztrząsała wszystko po wielekroć, a i tak nie mogła zrozumieć, dlaczego on ją od siebie odepchnął. Skąd ten nagły lęk o chorobę psychiczną? Czyżby nie mógł znieść myśli o ciągłej walce z Johanna? Może się bał, że taka presja go w końcu doprowadzi do choroby, podobnie jak jego ojca, który załamał się pod ciężarem własnym uczuć?

Tak to chyba było.

Nie mogła mu jednak wybaczyć, że nawet nie próbował skorzystać z jej pomocy.

Przecież ona by sobie z tym poradziła, miałyby dość siły, by uspokoić jego serce, dość odwagi, by mu pokazać, że dopóki są razem, dopóty nikt nie może im nic zrobić.

Musi być tak, jak powiedziała Ida.

On potrzebuje czasu.

Musi ostatecznie dorosnąć. Zresztą może oboje potrzebowali odroczenia?

Może nadejdzie dzień, gdy nie tylko Arill, lecz także Johanna dojrzeje, by uznać to, co musi się stać.

Wtedy ona stanie z Arillem przed ołtarzem. Nigdy w żadnej sprawie nie odczuwała większej pewności.

Chociaż akurat teraz Reina musiała przyznać, że nadzieja wydawała jej się bardzo chwiejna.

Cała ta kunsztowna tkanina, którą tworzyła w marzeniach i wyobrażała sobie, że to będzie jej życie, zaczęła się pruć i strzępić, i nic na to nie mogła poradzić.

Kontynuowała pakowanie.

Parobek miał ją zawieźć łodzią wiosłową do Ornes, gdzie była przystań statku.

Matka zaproponowała, by Reinie towarzyszyła Aurora, ale ta zamknięta w sobie dziewczyna przestraszona podziękowała. Ostatecznie więc postanowiono, że Reina pojedzie sama, Johanna godzinami wypytywała szypra o warunki panujące na statku. Był to spory statek, z niewielką kajutą na pokładzie przeznaczoną dla pasażerów. Kajutę miała zajmować matka szypra, chuda starsza pani o ciemnych, życzliwych oczach. Johanna uspokoiła się, widząc, że to godna zaufania i przyjaźnie

usposobiona osoba. Matka szypra zapewniła, że będzie dbać o Reinę w czasie podróży i towarzyszyć jej aż do Rosendal. Znała tam pewną rodzinę, która wynajmowała pokoje, więc i o to Johanna nie powinna się niepokoić.

Srebrne monety zmieniły właściciela.

Reina z ciężkim sercem machała matce na pożegnanie i załzawionymi oczyma patrzyła na znikającą w oddali osadę.

Bardzo by chciała, żeby ktoś bliski jej towarzyszył. Nigdy nie przypuszczała, że człowiek może być aż tak samotny.

- Samotność to jest, trzeba ci wiedzieć, to brzemię, pod którym musimy się uginać. To pokuta, której nikt nie powinien przerywać. Bo to nas uszlachetnia - powiedział Rafael cicho.

Pracowali, dopóki nie przerwał im gong wzywający służbę na posiłek. Wtedy Benjamin odłożył duże dłuto i poszedł tam, gdzie Rafael małutkimi narzędziami obrabiał detale. Restaurował właśnie obijane skórą krzesła z Sali Dworskiej. Służyły już ponad pięćdziesiąt lat i zostały poważnie zniszczone w czasach, kiedy majątek nie miał odpowiedzialnego gospodarza.

Rafael wygłaszał swoje sentencje z wielką łatwością, mówił to tak, jak inni rozmawiają o pogodzie, bez najmniejszego wysiłku.

Benjamin znał go już teraz lepiej, klepnął go więc tylko w plecy i powiedział, żeby przestał.

- Muszę z tobą porozmawiać o ważniejszej sprawie - oznajmił. Rafael odwrócił się. Mrużył oczy.

- Ważniejszej? Cóż może być ważniejsze od człowieczej samotności, mój przyjacielu?

Benjamin nie dostrzegał bolesnego wyrazu jego oczu, machnął po prostu rękami.

- Spotkasz najpiękniejszą kobietę na świecie. I najmądrzejszą, a do tego najbardziej interesującą.

Rafael otworzył usta.

- Co? Twoja mama przyjechała? Benjaminim roześmiał się.

- Ha, ha, coś ty! Nie, ktoś całkiem inny. Ale powiadam ci, ty draniu, masz się trzymać od niej z daleka! Nie będziesz bałamucił mojej ukochanej siostry, Reiny.

Rafael wyprostował plecy, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Twoja siostra, Reina? Tutaj? Przyjechała w odwiedziny? Benjamin przytakiwał z dumą.

- Dziś wieczorem będzie na nas czekać na dole w hotelu. Gdy tylko skończymy...

Rafael roześmiał się ponuro.

- My nigdy nie skończymy! Młody pan przyjedzie najdalej za dwa tygodnie, a tu co najmniej połowa sufitu jeszcze w proszku.

Majster podszedł do Benjaminina. Uśmiechał się tajemniczo.

- Wszystko w porządku, młody przyjacielu. Pracowałeś znakomicie. Jutro sobota i będziesz miał wolne, Benjaminie. Porozmawiaj z siostrą, weź ją na spacer po okolicy. Zasłużyłeś sobie na to.

Benjamin mógłby paść przed starym na kolana i całować jego buty. Majster bywał gderliwy i gonił do roboty, ale potrafił też okazać dobroć.

- Tylko, czy wyrobimy się na czas? Stary spokojnie skinął głową.

- Jeśli cię dobrze znam, to w przyszłym tygodniu będziesz pracował dniami i nocami, i dzięki temu zdążymy. No, Knut, co ty na to?

Benjamin początkowo nie rozumiał, do kogo majster się zwraca. Dopiero po chwili sobie przypomniał, że przyjaciel na chrzcie dostał takie zwyczajne imię. Rafael odpowiedział natychmiast:

- Jestem za, Mistrzu. Zostały jeszcze tylko dwa krzesła, wszystkie inne już wyszykowałem. Pominąwszy małą niespodziankę, jaką szykuję dla pana... ale z tym nie ma pośpiechu.

Majster chrząkał zadowolony. Będzie mógł zapewnić lejtnanta, że zdążą, tamten bowiem z dnia na dzień bardziej poganiał. Oczekiwano, że młody Marcus, dziedzic majątku, zjedzie tu w pierwszej połowie sierpnia na kilkutygodniowe wakacje, zanim rozpocznie dalszą naukę.

Kiedy majster wyszedł, Rafael powiedział szeptem:

- Wiesz, on nie przyjedzie.

- Kto?

- Młody Marcus. Nie przyjedzie.

- Tak? A skąd wiesz? Rafael wzruszył ramionami.

- Ma już blisko trzydzieści lat, tego domu nie odwiedzał od czasu, kiedy miał jedenaście. Jechał wtedy do Bergen.

- Ale lejtnant...

- On tak tylko gada. Żeby nas zmusić do pracy. I żeby służbę trzymać krótko.

Ów akuratywny dzierżawca, jak wszyscy nazywali zarządcę, nie mógł przecież tak ich oszukiwać? Rafael znowu pochylił się nad krzesłem.

- Kończmy - mruknął. - Bardzo się cieszę na spotkanie z twoją siostrą. Pokój dostała duży, pomalowany na żółto. Pośrodku stało piękne mosiężne łóżko, szerokie firanki uszyte z lekkiej, połyskliwej tkaniny, a umywalka w rogu też wyglądała na kosztowną. Miała bardzo ładne,

niebieskie dekoracje.

Czy to jest gospoda? Musiała się uśmiechnąć. W porównaniu z tym ciemne izby w Dosen wyglądały jak zbójckie jaskinie. Tutaj nie czuło się też zapachu jedzenia z kuchni, nigdzie nie było pajęczyn ani kurzu. Właściciel ubierał się jak pan, uklonił jej się elegancko i z zadowoleniem przyjął zaliczkę.

Pociągała nosem zdziwiona - pokój był perfumowany!

Okręciła się na pięcie i poczuła, że naprawdę rozrasta się w niej radość.

Za parę godzin spotka Benjamin. Gospodarz wziął od niej list i obiecał, że pośle do dworu najszybszego chłopca. Ona tymczasem będzie się mogła doprowadzić do porządku po podróży i odpocząć. Może zresztą zechciałaby zejść na dół i zjeść coś lekkiego?

Jakbym się znalazła w jakimś zamku, myślała Reina. Siedziba barona, położona pięknie nad fiordem, nie może być dużo ładniejsza od tego miejsca. Kiedy rano statek dobijał do brzegu, Reina spała. Była okropnie zmęczona i chociaż szyper ostrzegał, żeby nie zasnęła, bo straci niepowtarzalny widok, ona spała tak mocno, że nie mogli się jej dobudzić. Ocknęła się dopiero, kiedy matka szypra potrząsnęła nią i powiedziała, że czas schodzić na ląd.

Zobaczyła trochę okolicy, kiedy jechała powozem do domu, w którym miała mieszkać, mignęły jej wtedy potężne góry. To prawda, znalazła się w niewypowiedzianie pięknym miejscu, przecierała oczy, uroda krajobrazu porażała ją, czuła zapach róż i innych kwiatów.

Dotarła nareszcie na miejsce w nadziei, że będzie mogła jeszcze trochę odpocząć.

W całym ciele czuła kołysanie statku, pokój kiwał się lekko. Reina ułożyła się na łóżku i przymknęła oczy. Miała nadzieję, że nareszcie czeka ją coś dobrego.

- Skoro dane mi było zobaczyć taki piękny i trudny do określenia kolor, to mogę umrzeć szczęśliwy - powiedział Rafael, nie mogąc się nachwalić urody jej oczu. Reina musiała się uśmiechnąć.

- Myślę, że moje oczy są po prostu niebieskie. Całkiem zwyczajnie... niebieskie.

- O, nie! Nie są niebieskie! Tak się może zdawać, jeśli się człowiek dobrze nie przyjrzy. Pani ma oczy szmaragdowe, jak moja siostra. Ale też mienią się żółtawo, jak złoto, którym pokrywam glinę. I można w nich dostrzec głęboką czerń, jak futerko najrzadszego gatunku gronostajów... Panno Reino, pani ma najładniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

Jak na rzemieślnika był to niebywale wyszukany komplement, ale Reina nie mogła go po prostu zlekceważyć. Ten niezwykły przyjaciel Benjamina zdawał się bowiem mówić szczerze. To nie było silenie się na oryginalność.

Podziękowała, a na jego poważne spojrzenie odpowiedziała uśmiechem.

Benjamin uściskał ją raz jeszcze. Nie poznawała go. Miała wrażenie, że jeszcze wyrósł, klatkę piersiową miał szeroką!

- Wyglądasz bardzo zdrowo, braciszku! Widocznie dobrze ci się tu powodzi...

- Teraz już wszystko jest dobrze - odpowiedział przytulając twarz do jej włosów. Mały kapelusik zsunął się jej z głowy, wisiał wdzięcznie na plecach przytrzymywany zawiązaną pod brodą jedwabną wstążką Rafael

stał za nimi, ale ona wciąż czuła na sobie jego spojrzenie. Nie sprawiało jej to przykrości.

- No i co ja tu robię? - zawołał nieoczekiwanie. - Całkiem nie wiem, jak się zachować. Ale już zostawiam was samych, domyślam się, że macie mnóstwo spraw do omówienia.

Benjamin wypuścił Reinę z objęć.

- O, nie! Zjesz z nami kolację! Przecież powiedziałem, że zapraszam cię na spotkanie z Reimą! Poza tym mamy mnóstwo czasu! Jestem wolny aż do poniedziałku rano. Zresztą ty pewnie też. Jeśli tobie... jeśli tobie, siostrzyczko, to odpowiada?

Reina ścisnęła rękę brata. Skinęła głową.

- Byłoby bardzo miło, gdyby twój przyjaciel zjadł z nami. Porozmawiać o naszych sprawach możemy później. Zresztą w jadalni gospody i tak nie ma na to warunków, siedzi tam co najmniej z tuzin obcych ludzi...

- W jadalni hotelu, chciałaś powiedzieć - poprawił ją Rafael. Cmoknęła.

- Ach, tak? Tak pięknie się to nazywa? Bardzo mi się tu podoba, nigdy jeszcze nie spałam w hotelu!

- I wewnątrz też jest pewnie pięknie - powiedział Benjamin. - Cieszę się, że będę mógł to obejrzeć. Ale może najpierw zrobimy sobie mały spacer?

- W Hestasletto są dziś wieczorem tańce, gdyby wam odpowiadała taka zabawa. Chociaż panienka jest pewnie zmęczona po podróży?

Rzeczywiście, Reina była zmęczona. Najchętniej zamknęłaby drzwi za sobą i Benjaminem, i w końcu dała upust uczuciom.

On by może tego nie zrozumiał, ale w każdym razie chciałby jej słuchać, tego była pewna. Podczas podróży statkiem nareszcie pojęła, że jej tęsknota za bratem ma bardzo oczywiste źródło: chciałaby po prostu złożyć na jego barki wszystkie swoje żale i zmartwienia. Chciała nareszcie mieć okazję, żeby o tych sprawach mówić, wygadać się, powiedzieć o trudnych, bolesnych wydarzeniach i może dostrzec w tym jakiś sens.

On zaś ani by jej nie osądzał, ani nie krytykował. Pogłaskałby ją delikatnie po plecach i wszystkie jej tajemnice zachował dla siebie. Tego także była najzupełniej pewna.

To by jej nie tylko sprawiło ulgę, to by jej uratowało życie!

Ale miała czas.

Wszyscy mieli czasu pod dostatkiem. Nie ma powodu do pośpiechu. Reina przywiozła ze sobą dość pieniędzy, by mieszkać w tym pięknym hotelu do poniedziałku. W domu nikt na nią nie czeka.

Już kilka razy przemknęła jej przez głowę zdumiewająca myśl:

A może w ogóle nie powinna już do domu wracać? Może powinna przyłączyć się do Benjamina? Wędrować z nim z miejsca na miejsce... już zawsze?

Reina uśmiechnęła się przelotnie do Rafaela i jeszcze raz powtórzyła, że zaprasza go na wspólną kolację. Podobno dziś wieczorem ma się w hotelu pojawić także pastor, który odczyta swoją pracę na temat topografii okolicy, później zamierza wysłać tę pracę do królewskich archiwów.

Szli drogą nad brzegiem fiordu. Po jakimś czasie Rafael przystanął i pokazał ręką.

Słońce mieniło się w dachu wielkiego, białego budynku. Jeszcze wyraźniej odbijało się od czarnego, lśniącego dachu. Reina zmrużyła oczy

i aż krzyknęła z podziwu.

- Jakie... to ogromne! Benjamin potakiwał.

- Tak. To Rosendal. Prawda, że piękne? Gdybyś chciała, to moglibyśmy obejrzeć dom z bliska jeszcze dzisiaj wieczoru. Jest naprawdę niezwykły w blasku zachodu. Skoro więc nie masz siły na tańce...

Reina nie bardzo mogła się zdecydować. Nieoczekiwanie poczuła głód. Ujęła obu młodzieńców pod ręce i uśmiechnęła się szeroko.

- Wszystko tutaj jest takie cudowne! Cieszę się, że będę mogła to obejrzeć! O, Benjamin, żebyś ty wiedział, jak ja za tobą tęskniłam!

Przekrzywił głowę.

- Wiem, Reino. Mnie też strasznie cię brakowało! Rafael wtrącił poważnie:

- Pojęcia nie mam, Benjamin, jak ty przeżyłeś tyle czasu. Gdybym ja miał taką siostrę...

- Milcz lepiej, pochlebco! Teraz ona tu jest, prawda? Więc nie ma co gadać... Przyjechała, ku mojej wielkiej radości. I twojej... pewnie też.

Za plecami Reiny szturchnął przyjaciela w bok.

Śmiała się z ich chłopięcego zachowania, zaraz jednak ponownie ujęła ich pod ręce. Jaki dziwny jest ten Rafael. Ubrany trochę jak chłopski syn, a trochę jak aktor. I te jego jakby znajome oczy, które wciąż jej się przyglądały...

Poczuła skurcz w żołądku. Miała ochotę śpiewać, dawno czegoś takiego nie doświadczyła.

Zjedli pieczeń cielecą w śmietankowym sosie i ze śliwkami konserwowanymi w jabłkowym occie z cukrem. O słodkawych, niedużych

bulwach, które podano do mięsa, Reina tylko słyszała. Powiedziano im, że to pastor kazał je przygotować do tego uroczystego posiłku. Mówił o bulwach: ziemniaki, i zapewniał, że są bardzo łatwe w hodowli, a przy tym niezwykle pożywne. W każdym razie smakowały znakomicie, lekko przypieczone na maśle, w środku były miękkie i mączyste.

Reinę i jej dwóch kawalerów posadzono w rogu jadalni. Niedaleko znajdował się drugi nieduży stolik, również odizolowany od licznego towarzystwa; siedzący przy nim dwaj panowie jedli te same wykwintne dania.

Rafael posilał się z apetytem, ale zrobił wielkie oczy, kiedy służąca w obcisłym stroju, zwróciła się do niego per pan. Pochylił się nad stołem do Reiny i opowiedział jej, że widział tę służącą w różanym ogrodzie z jednym z panów od sąsiedniego stolika.

- Opowiedzcie mi więcej o tym pięknym miejscu. Czy naprawdę mieszka tu sam baron?

- Nie, i to od dawna, chociaż jest to posiadłość rodowa, należy do potomków pana Londemanna i będzie należeć, dopóki ród nie wymrze.

- Czyli na wieki - wtrącił Benjamin. Reina słuchała zaciekawiona.

- A kto teraz mieszka w domu? Rafael odłożył widelec.

- Tylko dzierżawca, zacny Vincent Segelcke ze swoimi domownikami. No i kilkoro gości każdego lata. Mówią, że wkrótce przyjedzie pan, więc wszystko stoi na głowie, ale ja nie wiem...

- Znasz go? Ty też pochodzisz stąd? Rafael zamrugał spłoszony.

- O, moja droga... to bardzo długa historia. Benjamin przerwał im:

- Rafael z pewnością zechce ci później opowiedzieć historię swego życia, ale teraz musimy jeść. Patrz, dziewczyna już czeka z następnym

daniem!

Wrócili więc do uczy. Solona ryba, wędzona jagnięcina z najdelikatniejszymi przyprawami, potem ozorki i jakieś niezwykle danie z serc gęsich i kurzych, a na koniec deser: wypieki ze słodkim i kwaśnym kremem.

Reina uważała, że posiłek nie może się równać z przyjęciami Marji, ale jednak wszystko było bardzo smaczne.

Liczne towarzystwo w centrum sali wznosiło głośnie toasty, trójka młodych gości uśmiechała się, oni też wypili.

- Za nasze szczęście - powiedziała Reina.

- I za zdrowie - dołączył się Benjamin. A Rafael po dłuższym wahaniu dodał:

- Za boską samotność każdego z nas... Reina uniosła brwi, napotkała jego spojrzenie nad krawędzią kruchego kieliszka.

Fala gorąca zalała jej policzki, domyślała się, że to nie tylko wino tak ją rozgrzało.

- To wyjątkowy chłopak - powiedział Benjamin, kiedy po kolacji Rafael poszedł załatwić jakąś sprawę. Brat i siostra usiedli w małym domku, który gospodarz nazywał Oranżerią, a który był chłopską próbą skopiowania wspaniałości z siedziby barona.

Było tu bardzo ładnie, a zapach kapryfolium odurzał oboje. Reina siedziała i przyglądała się urodziwej twarzy brata. Wciąż trwał w niej ten wyraz smutku, który zapamiętała z czasu, kiedy brat opuszczał dom. Mimo wszystko promieniował życiem i chyba był zadowolony.

Spojrzała na dół, na jego szczupłe ręce spoczywające na kolanach. Nie dostrzegła ani jednego skaleczenia, ani jednej blizny, w ogóle śladu

jego niebezpiecznej pracy. Opadła na miękkie poduszki i słuchała, jak Benjamin opowiada o przyjacielu.

Była to niezwykła historia o przygodzie francuskiego hrabiego gdzieś nad fiordem Hardanger, bardzo daleko od Lionu, gdzie były jego korzenie.

- Myślisz, że to prawda? Że on w istocie jest synem szlachcica? Benjamin wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale w przeciwnym razie jak zwyczajny chłopski syn zdołałby objechać niemal cały świat?

- Ile on ma lat? Benjamin zastanawiał się.

- Nie wiem. Jakieś dwadzieścia pięć, może dwadzieścia siedem...

- Tak, masz rację, to niezwykły człowiek. Bardzo go lubię. Benjamin ucieszył się.

- Tak? Rzeczywiście, Rafael tak właśnie działa na kobiety. Nieraz w nocy budzą mnie jego wielbicielki stukaniem w szybę...

- On ma dużo... przyjaciółek? Benjamin roześmiał się.

- Tuziny! Uwodzi wszystkie, od najostatniejszej dziewczyny kuchennej do pastorówny... Teraz zresztą właśnie z pastorówną zniknął. Przez jakiś czas go nie zobaczymy.

Reina przytuliła się do brata.

- To nie szkodzi. Mam ci tyle do opowiedzenia, mój ukochany braciszku... tyle się wydarzyło.

Benjamin wiedział, że tego nie uniknie, ale starał się odsunąć jak najdalej tę chwilę. Oczywiście, że chciał się dowiedzieć nowin z domu, oczywiście, że chciał słuchać pozdrowień matki, opowieści o starych znajomych, sama opowieść o ślubie Ingalill to już niezwykła historia. Ale

prędzej czy później będzie musiała wspomnieć o Aurorze.

On zaś nie wiedział, czy akurat teraz temu podoła.

Ten wieczór jest wieczorem powitań, wieczorem jedzenia i wina. Wolny wieczór, a może nawet i noc spędzona na wesołych tańcach z Reina.

Usiadł wygodnie, uśmiechał się do siostry.

- Jutro pokażę ci niezwykły widok. Będziemy tam siedzieć i rozmawiać, i spoglądać na najpiękniejszy fiord świata.

Reina zmarszczyła czoło.

- A czy zapomniałeś widok z góry na Karlsgard? Nie tęsknisz za domem? Wolno potrząsnął głową.

- Nie, siostrze. Nie tęsknię. W każdym razie teraz, kiedy ty tutaj jesteś.

- Ale mama... Delikatny palec spoczął na jej wargach.

- Nie dzisiaj, Reino. Nie teraz... Posłuchała go, ale nie bardzo mogła zrozumieć. Myślała, że brat wyjechał z domu tylko dlatego, że musiał się uczyć. I że zawsze tęsknił, że brakowało mu bliskich! Ale najwyraźniej tak nie jest, Benjamin zdaje się ukrywać jakąś bolesną tajemnicę. Co by to mogło być?

Jakieś wspomnienie przemknęło jej przez głowę.

Spojrzała mu w oczy. Czyżby on nadal myślał o Aurorze?

Wypite wino nie pozwoliło jej podążać ścieżką, którą tamto nagłe wspomnienie otworzyło. Czy to możliwe, że Benjamin i Aurora... czy to poważne, te przelotne rozmowy, te niezdarne próby taneczne...?

Ale teraz się nie dowie.

Na pewno nie, bo właśnie wrócił Rafael. Czerwonym szalikiem

przewiązał czoło i udaje Cygana.

- Moi państwo, idziemy? To niedaleko... słyszycie muzykę? Ciii... sam Tare - Tormod przygrywa! A może panienska przywykła raczej do menuetów?

Reina roześmiała się.

- Nie jestem żadną elegancką panienką. Jestem przeciętną chłopską dziewczyną. Coś ty mu naopowiadał, bracie?

- Przyrównywał cię do królowej i miał rację. Jesteś królową, Reino. Nie wiedziałaś o tym?

Znowu się roześmiała i ujęła rękę, którą podawał, żeby pomóc jej wstać. Reina przebrała się do kolacji i cienka sukienka z chmurą koronek pod szyją była zbyt elegancka jak na zwyczajną wiejską zabawę.

- W takim razie pospacerujmy, piękna panno - powiedział Rafael i pocałował ją w rękę.

Zarumieniła się i cofnęła onieśmielona. Krew pulsowała jej w skroniach, odczuwała wielką potrzebę, żeby wszystko wykrzyczeć, tu i teraz. Ale Benjamin niczego się nie domyślał.

Poszli więc, noga za nogą, zmęczeni i ociążali po winie. Reina pragnęła, żeby wróciło tamto oszołomienie, kiedy czuła pieczenie w gardle i tak strasznie chciało jej się śpiewać.

Krajobraz był równie piękny teraz, w niebieskawym świetle letniej nocy, jak po południu, przynajmniej góry wyglądały tak samo majestatycznie w swojej dzikiej grozie.

Ale nie wypowiedziane słowa kładły się niewidzialnym cieniem i mąciły nastrój. Nawet widok ubranych w jaskrawe stroje ludzi tańczących w dolinie nie uwolnił jej od dziwnego, drżącego niepokoju.

Była zmęczona. Odbyla daleką podróż. A poza tym spotkanie z Benjaminem, niezależnie od radości, jaką jej sprawiło, było też poważnym obciążeniem psychicznym. I ten Rafael... On także w jakiś dziwny sposób wytrącał ją z równowagi.

Gnębił ją lęk, że nie dotrwa do końca wieczoru i załamie się. Już teraz czuła ucisk pod powiekami, choć za nic nie chciała tego przyjąć do wiadomości.

Kiedy Rafael poprosił ją jednak do tańca i po raz pierwszy poczuła jego oddech na twarzy, musiała usiąść, tłumacząc się, że po obfitym posiłku nie czuje się dobrze.

Zmartwieni przygotowali jej wygodne miejsce, Benjamin wysłał Rafaela do strumienia, żeby zmoczył chustkę. Wiedział, że to nie pomaga na chorobę Reiny, chciał jednak, żeby kolega wrócił dopiero, kiedy wszystko minie.

Reina nie lubiła, żeby ktoś ją widział podczas ataku.

Już wielokroć przedtem pomagał jej to ukryć.

Szła, a raczej płynęła, przez najpiękniejszy ogród. Podzielony był na kwadraty połączone wąskimi drózkami. Każdy kwadrat posiadał własny wzór, gwiazdy lub kręgi, niektóre rysunki były bardziej skomplikowane. Różnokolorowe kwiaty tworzyły małe, żywe malowidła. Widziała fiołki, wysokie, smukłe lilie. Czuła zapach rozmarynu, mięty i lawendy, i setki innych zapachów...

Widziała idącego z naprzeciwka mężczyznę. Był ubrany jak sędzia, na głowie miał białą perukę. Pod togą jednak nosił obcisłe spodnie i bardzo kolorowy kaftan. Uśmiechał się do niej smutno i machał ręką. Ogród musiał należeć do niego, mimo to ów człowiek nie wyglądał na

szczęśliwego.

Dziwne, myślała Reina.

Zaraz jednak zrozumiała: to jeden z byłych właścicieli dworu i widocznie nie uważał, że jego dzieło zostało zakończone.

- Czy to ci się teraz często zdarza? - pytał przestraszony Benjamin. Rafael wrócił ze swoim czerwonym szalem, który umoczył w wodzie, ale chłodny okład nie potrafił przywrócić kolorów twarzy dziewczyny. Przerażony wpatrywał się w chorą i pytał o to samo co Benjamin.

Reina nie miała odwagi potrząsnąć głową, żeby znowu nie pogрузić się w ciemności. Nie była też w stanie nic powiedzieć.

Bezwładnie opadła w objęcia brata. Muzyka brzmiała w jej uszach jako przeraźliwie głośne zgrzyty, a tańczący ludzie zdawali się dziką, tupiącą hordą.

- Uspokój się, siostrzyczko. Odpoczywaj. Nikt nas tu nie widzi. Jęknęła boleśnie. Z wysiłkiem starała się wydostać na powierzchnię, ale miała wrażenie, że znajduje się w jakimś głębokim pomieszczeniu o bardzo gładkich, śliskich ścianach. Benjamin trzymał ją mocno. Czuła, że ręce mu drżą, widziała jednak, że w jego oczach jest spokój. Nie bał się. Rozluźniła więc mięśnie, wciągnęła haust powietrza i pogрузiła się w mroku. Miała nadzieję, że znowu zobaczy starego barona, czy kto to był, zamiast tego jednak wirowała w jakimś ciasnym przejściu, pośród nieznanomych twarzy, widziała ułamki zdarzeń, w końcu pochłonięła ją czarna nicość.

Kiedy się ocknęła, Rafael przyglądał jej się wytrzeszczonymi oczyma. Czuła, że ręce jej płoną. Często tak bywało. Spojrzała na swoje nogi i stwierdziła, że Rafael przyciska je całym ciężarem do ziemi.

Benjamin trzymał jej głowę, obaj byli wystraszeni.

- Co... co jej jest? Rafael pytał bez tchu. Reina uświadomiła sobie, że stać ją na blady uśmiech. Zanim Benjamin zdążył coś powiedzieć, mruknęła do Rafaela:

- Chyba masz rację, jeśli chodzi o moje oczy. Są dziwne. Widuję dziwne rzeczy.

Nie otworzył ust, nie wyglądał też na zaskoczonego. Skinął po prostu i mocniej przycisnął jej nogi.

- Wiedziałem o tym - rzekł po chwili przejęty. Jego głos był miękkim aksamitem. Ucałował jej ręce. Omal się nie oparzył. Reina wciągała głęboko w płuca chłodne nocne powietrze. Na równinie ludzie wciąż tańczyli.

- Pomóżcie mi wstać - poprosiła matowym głosem. - Muszę odpocząć. Och, nie wiem, czy zdołam zejść tam...

- Wcale nie musisz! - zawołał Rafael pospiesznie. - Ja znam takie miejsce... tu niedaleko. Chodźcie...

Oddalali się wolno od tanecznego zgiełku. Miejsce Rafaela znajdowało się naprawdę niedaleko placu zabaw, a mimo to jakby w całkiem innym świecie. Reina była zdumiona, że nogi chcą ją nieść, w końcu Rafael przystanął i wskazał wielki głaz. Kawalek góry.

- Chodźcie za mną - powiedział, spoglądając na nich przez ramię. - Pokażę wam Kościół. I będziesz tu mogła odpocząć, Reina.

Wprowadził ich w mrok między dwoma ogromnymi głazami. Reina była bardzo zmęczona, ale trzymała się na nogach. Posłusznie szła za Rafaelem i wkrótce znaleźli się w dużej grocie, rozjaśnionej poświatą letniej nocy, sączącą się przez otwór w sklepieniu.

- Grota? - zapytała. Rafael potwierdził.

- Tak, moja tajna kryjówka. Spędziłem tu wiele nocy, i w dzieciństwie, i później, kiedy wróciłem do domu. Patrzcie! To moje dzieło! Jakie niezdarne! Ale mimo wszystko widać zdolności...

Pokazywał jakiś wzór wyryty na kamiennej płycie tworzącej stół wsparty na czterech nogach. Pogładziła stół dłonią.

- Piaskowiec? Potwierdził z dumą.

- Bezczelnie ukradziony z muru pałacu. Jeśli się dobrze przyjrzyysz, to zobaczysz, że wciąż brak jednej płyty w północno - zachodnim narożniku... ukradłem też dłuto, żeby móc ryc.

Reina opadła na coś w rodzaju drewnianej ławki pod ścianą. Rafael szukał czegoś w głębi groty. W końcu przyniósł duże okrycie ze skór. Pachniało zgnilizną i wyglądało na mokre, ale Reina z wdzięcznością pozwoliła mu je rozścielić.

Nie było mokre, tylko bardzo zimne, bo leżało tu z daleka od promieni lipcowego słońca.

Ten chłód uspokajał Reinę.

Słyszała, że Benjamin i Rafael rozmawiają ze sobą półgłosem.

Widocznie Benjamin wyjaśniał niezwykle zdolności swojej siostry. Nie protestowała, Benjamin nie nadużywa słów. Skoro ma tyle zaufania do Rafaela, to niech mu powie i to.

W końcu krew przestała się w niej burzyć. Odetchnęła zadowolona i ułożyła się do snu.

W głębi duszy wiedziała, że właściciel hotelu będzie się martwił, ale było już za późno, żeby wracać. Żadna siła na świecie nie zmusiłaby umęczonego ciała Reiny, by się podniosło i przebyło po nocy drogę do

hotelu.

Poza tym podobało jej się tu, w otoczeniu tych solidnych gładów. Podobało jej się to tajemne pomieszczenie pod ogromną górą, od początku wyczuwała, że tutaj już dawniej przestraszeni ludzie odzyskiwali spokój. Jutro...

Westchnęła. Czowała rękę brata na czole.

Teraz powinna zasnąć. Teraz te straszne siły, które szalały w jej głowie, powinny ją na jakiś czas opuścić.

Uświadomiła sobie, że jej towarzysze także układają się do snu, Benjamin tuż przy niej, a Rafael na skraju okrycia, na którym leżała.

Zasnęli wcześniej niż ona.

Znowu była sama, a przez to stała się łatwiejszą ofiarą.

Obrazy wciskały się pod powieki, za każdym oddechem wyraźniejsze, w końcu nie mogła już zachować normalnego wyrazu twarzy. Odsunęła się od brata, na czworakach przeszła pod ścianę groty. W sposobie, w jaki obrazy przepływały przez jej głowę, nie było niczego nowego. Przywykła też do tego, że musi walczyć z własnym rozsądkiem, by zaakceptować to, co się z nią dzieje.

Obrazy były bardzo jasne, a zarazem jakieś bardzo dalekie.

Widziała siebie jako pannę młodą. Widziała, że ktoś wpiął białe kwiaty w jej rozpuszczone włosy, że te włosy są bardzo długie, spływają jej po plecach, sięgają aż do ziemi. Po raz pierwszy w wizji widziała siebie, a nie pogrzyżyła się chyba za bardzo w świecie zwiądów, bo mogła się temu dziwić.

Słyszała jakąś niebiańską muzykę, podzwaniające dzwoneczki, harfy tak wspaniale nastrojone, o takim głębokim dźwięku, że w porównaniu z

tym brzdąkanie pastorowej wydawało się śmieszne. Słyszała śpiew, ale nie widziała żadnych ludzi.

W ogóle nikogo tam nie było, z wyjątkiem Arilla, który szedł jej na spotkanie. Kiedy poczuła wielkie, wszechogarniające szczęście, zwróciła leciutko głowę w prawo. I tam dostrzegła spokojną twarz swego ojca. Czowała jego rękę na swoim ramieniu. Czowała, że drugą rękę ojciec wyciąga do Arilla. Uśmiechał się do niej, ale bardziej to czowała, niż widziała. Była szczęśliwa. Chciała iść do Arilla, spojrzała w dół na swoje stopy. Nie zobaczyła niczego, widocznie nie miała stóp. W rękach trzymała kwiaty, czowała ich ciężki, duszny zapach.

Ale nie miała rąk.

Ojciec przyglądał jej się trochę zasmucony. Potem pocałował ją, ale nie miał ust, a ona czowała jego pocałunek, ale nie miała skóry, w końcu usłyszała, że ich serca łączą się w jedno, biją tym samym rytmem.

Ale nie mieli serc.